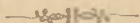






Słowo wstępne.



Autor niniejszego zbiorku, STANISŁAW ANDRZEJ RADEK, wchodzi do literatury polskiej, zbrojny w puklerz talentu świeżego i oryginalnego, krew z kiwi i kość z kości proletariatu polskiego, długoletni działacz Polskiej Partji Socjalistycznej z epoki, która zaczęła się w roku 1905, przyjaciel i towarzysz sławnego bojowca, poległego w legjonach w r. 1915 „Franka“ (Gibalskiego), któremu poświęcił wzruszającą broszurę biograficzną — wnosi St. A. Radek do literatury wrażliwość, nasyconą mnóstwem obrazów, obserwacji i przeżyć ze sławnego okresu działalności bojowej. Później zaś w roku 1910 aresztowany, włączony po więzieniach w Warszawie, odsiadujący katorgę w Piotrkowie w początkach sierpnia 1914 r., w chwili gdy jego przyjaciele i towarzysze z karabinem na plecach zbliżali się do Piotrkowa, gdy nadzieja wolności świtać zaczęła, wraz z towarzyszami więzienia zo-

staje zabrany przez uciekające władze carskie do Orła, potem osadzony w katordze w Moskwie. Dopiero wiosną 1917 roku i rewolucja rosyjska przywraca Radkowi wolność.

Te kojeje losu życia naszego pisarza: bojówka, konspiracja i katordga rosyjska stanowią, jak dotąd główną ośnowę jego nowel i opowiadań. Ale — i to stanowi odrebnyą cechę indywidualności Radka — te opowiadania wcale nie mają barwy czarnej, ponurego pesymizmu i tragicznej beznadziejności.

Twórczość St. A. Radka jest nawskróś męska. Niema w nim łzawości i krakania, niema rozpaczki i zniewieściałości. Dlatego postacie jego opowiadań w chwilach najcięższych doświadczeń, zagrzebanie w lochach i karczerach zdobywają się na — humor. Humor nie szubieniczny tylko, nie uśmiech ironisty lub szyderstwo rezygnacji, ale humor, który jak promień światła słonecznego wciska się przez szparę do ciemnych piwnic. Humor ten jest właśnie świadectwem siły, która sobie ufa i wierzy nawet wbrew wszelkim „oczywistym“ niemożliwościom. I forma, język tych opowiadań jest męski. Słowo rzeczowe, proste, jędrne uderza zawsze w centr, w środek sprawy, nie gubiąc się w skomplikowanych zaułkach

półcieni i zagadek. Stąd też plastyka i wyrazisty rysunek figur.

Długie lata życia konspiracyjnego i katorżniczego zapłodniły wyobraźnię Radka niewyczerpaną obfitością sylwetek, osób, bajecznych a przecie prawdziwych zdarzeń, przygód i scen, tryskających życiem, werwą, nieoczekiwaną fabułą i niespodziewanym finałem. Gra w nich fantazja proletariusza polskiego i chłopca wszystkimi blaskami natury polskiej. I to jest znowu rys ciekawy i ważny. Pisarz ten, którego wyrzuciły głębiny klasy dopiero od pół wieku istniejącej historycznie, dostrzega w duszach tych bojowców, „fraków“, katorżników, działaczy, chłopów, sołtysów, pisarzy gminnych, cechy, które słusznie uważane są za cechy rdzenne charakteru polskiego. Ziemia polska, ta sama, co przez wieki ongi kołysała szlachtę polską, naznaczyła duszę nowej warstwy temi samemi znamionami instyktu, odruchu, formy reagowania psychicznego.

Z pisarzy młodych, którzy ukazali się w latach ostatnich St. A. Radek najbardziej pokrewny jest autorowi „Konia na wzgórzu“, Eugenjuszowi Małaczewskiemu, Różnią się oni treścią i wykładnikiem intelektualnym, kierunkiem ideowym, bliżcy są sobie

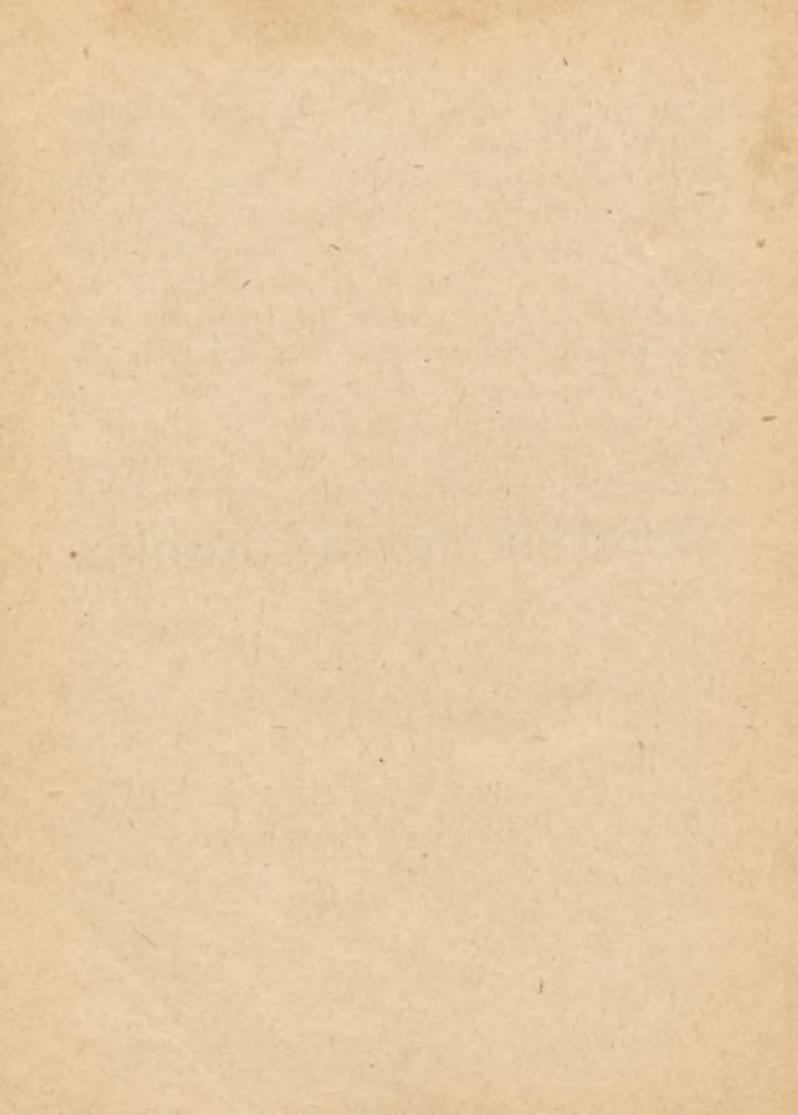
treścią wewnętrzną — męskością, siłą, humorem i prostotą. Tylko w St. A. Radku niema tej zawiłości psychologicznej, jaką niekiedy spotykamy u Małaczewskiego i tej podskórnej podejrzliwości — względem nurtów świadomości dnia dzisiejszego.

St. A. Radek wyrósł z proletariatu, jest dzieckiem jego rodzonym, samoukiem, co nie miał możności ani czasu przechodzić długo trwałych studjów. Widi wszystko i czuje w trzech wymiarach, ale też wszystko to posiada formy, kształty, myśli, uczucia zdecydowane, ostre i organicznie wiążące się w sobie, jak prawda. I jeszcze jeden rys bardzo rzadki — świeżość, pęd i naturalność swobody talentu samorodnego.

Zygmunt Kisielewski.

Warszawa, w grudniu 1921 roku.

Ostatnia deska ratunku.



Z poza żelaznych krat
Tęsknica idzie w świat
Wpleciony ma we włos
Zdeptany życia kwiat
Ciernisty los“.

Znawisłych ponuro ciemnych chmur północy
sączył się zwolna wilgły mrok na ziemię.

Oślizgły, ślepy czołgał się po pod groźnemi murami
zamczyska, wałęsał wśród podwórza między budkami
szyldwachów; znieścaka — tajemnie dopadał zagłę-
bień baszt i strażniczych tulejów w twardym murze
wykutyach.

Wciskał się w kąty więziennych cel i — nieznacznie,
zdradziecko kładł swoje cmentarne dłonie na smutne
więźniów oczy; omotywał serca pakułami trwożnych
uczuc, przywalał piersi grobowym kamieniem smutku
zmarłego i gwar powoli w celi przycichał, jakoby
stygł i zamierał. I wtedy dopiero z mroku i ciszy
wydzwaniała się, sercem słyszana, czarna, więzienna
pieśń — męki i tęsknoty, męstwa i rozpacz.

Parami, ująwszy się pod rękę, lub ze splecionemi po bratersku ramiony, spacerowali więźniowie w kółko po dużej, jak pańska obora, celi — rozmawiając półgłosem, niekiedy szeptem, spojrzeniem, albo tylko tajemnym dłoni uściskiem. Inni zaś, rozwaliwszy się swobodnie na drewnianych narach, w samotnym głuchem milczeniu, rozpamiętywali to, co było i ostrzyli, jak miecze, swe harde dusze do przyszłych walk, do rozkruszenia twardszej, nad granit-katorżniczej swej doli.

Nieco z boku, pod oknem, z podwiniętymi po tatarsku nogami, siedział Czesław Jaworski, były student prawa lwowskiego uniwersytetu i uparcie, jakby się zdawało — wpatrywał się w rozłożoną przed nim szachownicę.

Naprzeciw niego, również wpatrzony w pole szachownicy, siedział, pochylony nieco — ó duszy ognistej — piękny jak cherubin Stach Fertner, z racji swoich włosów, „Pierzatym“ zwany.

— No, posunąłeś już? — pytał Jaworski i nucił z cicha:

„I ta i ta ładna,

„Lecz próżne ich chęci“...

Zaraz, zaraz. Co tobie tak pilno — odpowiadał Fertner i z coraz większym zdenerwowaniem przecierał sobie kufakami oczy.

„Już mię teraz żadna“... Jeszcze nie posunąłeś? Ooo!

Fertner nie odpowiedział. Pochylił się jeno bardziej nad szachownicą, jak gdyby chciał bliżej przyrzeć się pionkom i nagle wyprostował się energicznie. Obrócił głowę w stronę okna, potem na celę i powoli, jakby się namyślając, usiadł z powrotem. Na jego pięknej twarzy odbiło się przerażenie, a słodkie, błękitne oczy patrzyły teraz nieruchomo, jakby zastęły w rybim wyrazie osłupienia.

W pewnej chwili, ruchem niemej rozpaczy, położył na nich Fertner swoje wychudłe dłonie.

„Czemużeś ty, Jasiu

z drugimi figlował“ — podśpiewywał Jaworski, obejmując serdecznie swoje suche kolana. No, jakże? Posunąłeś, nie posunąłeś? — dopytywał się.

Naraz drgnął. Wyciągnął rękę i dotknął nią brody, a potem ramienia Fertnera.

— Stach, co tobie? Stach?

— Czesiek, och, Czesiek! — zawołał Fertner, ochryplym ze wzruszenia głosem.

— Rzeknijno słowo po ludzku, nie cześkaj; co tobie?

— Oślepiłem, oślepiłem — mówił Fertner jakby do siebie, odrywając co chwilę dłonie od oczu z nadzwyczajnym zdenerwowaniem.

Po twarzy Jaworskiego przewinęło się coś, niby podobne do uśmiechu.

— lii, bagatela. Nie przerażaj się i grajmy dalej.

— Ale ja nic nie widzę! Czesiek, nawet ciebie nie widzę! Przed chwilą, wszystko widziałem, a teraz już nic. Oślepiłem!

— Nie krzycz! Mówię ci, że to głupstwo. Ja też nic nie widzę, ale udaję, bo śmieliby się zaraz, kanalje, a ja tego nie lubię. Po to siedzi, psiakrew, jeden z drugim w tiumie, aby się umartwiał, nie śmiał. No, posuwaj pionka.

— Jakże będę posuwał, kiedy nic nie widzę? Zwarjowałeś!

Posuwaj na pamięć. Pamiętasz przecie, gdzie stała szachownica? Otóż. Teraz ja. Gram na ślepo, ale udaję, że widzę doskonale. To, uważasz z osłabienia — mówił Jaworski, zabierając jakiegoś pionka. „Kurza ślepoła“ nazywa się. Trzeba pić tran, ale to już byłoby „czerezczur“, jak mówi i słusznie zupełnie nasz weterynarz. I tak, już więcej wydajemy na tiumy, niż na tak zwaną — oświatę. Zresztą, tiuma, to nie opasarnia, żeby jeszcze tego... tranu... Posuwaj pionka. Niedługo — mówił dalej — poślepiemy wszyscy, ale teraz udawaj. Poco masz się wyróżniać? Nie powinienes się nigdy wyróżniać ani w złym, ani w do-

brym, ani w szczęściu, ani w nieszczęściu — prawili mentorskim tonem. — Tego, uważasz, wymaga solidarność — jak się nazywa — socjalistyczna i carskie regulaminy — nie tylko więzienne, oczywiście.

— I ty nic nie widzisz? — dopytywał się Fertner nieco uspokojony.

— Nie. Jeżeli się lampa pali, to widzę tylko przesuwające się cienie i według nich miarkuję gdzie stoi miska z krupnikiem. Posunąłeś pionka. Dobrze. Teraz ja biję. Nic z tego, oczywiście, nie wyjdzie, atoli, jak powiedział — nie wiem kto — skoro się coś rozpoczęło, trzeba skończyć, gdyż w przeciwnym razie powiedzą, że nie posiadasz woli, ani charakteru i słusznie. Posuwaj pionki na ślepo — w prawo, albo w lewo, a o resztę się nie troszcz — jak mówi pismo święte.

— Nie. Ja nie mogę! nie mogę! nie mogę! — zawołał naraz Fertner, rozpaczliwie kładąc dłonie na oczach. Może ja już na zawsze oślepiłem? Och. Czesiek, Czesiek! Pomyśl tylko — nie móc już widzieć nic, nic, nic! Nawet tych żelaznych krat w oknie i tego żołdaka z bagnetem...

— O, to najważniejsze! Dla nas przecie żelazna krata w oknie i żołdat z nastawionym bagnetem — to jak dla Izraela w pustyni miedziany wąż Mojżesza. Ale nie trap się. Jutro zobaczysz jedno i drugie.

W tej chwili wszedł do celi Marcin Karski, który w charakterze pomocnika kucharza pracował w kuchni. Wygoda z tego powodu dla celi była ogromna, bo był on niejako łącznikiem ze wszystkimi innymi celami w całym więzieniu, a oprócz tego przynosił rozmaite wiadomości ze świata, których pod wielkim strachem udzielał mu stary mentyka Wasilij Dzia-
duchin — dozorca kuchni.

Zwykle gdy Karski powracał z kuchni — cała cela ożywiała się — otaczano go ze wszystkich stron i natarczywie pytano o nowości. Jeżeli je przynosił, wybuchał w celi taki gwar — jakby kto dymem dmuchnął w ul pełen roju.

Tym razem jednak, Karski, ku powszechnemu oburzeniu, żadnych wiadomości nie przyniósł.

— To jest, skromnie mówiąc, — świństwo! — oburzał się Jaworski. Cały dzień tam siedzi, wszystkie nasze skwarki co najtłuściejsze — zeżera i wieczorem przychodzi bez niczego!

— Mogliście przecie choć coniebądź, bodaj wymyślić...

— Zełgać poprostu — „pro publico bono” — mielibyście za to wdzięczność narodu, a tak — jechał was sęk — dodawali inni.

Karski uśmiechał się dobrodusznie, usprawiedliwiał jak mógł, poczem, nieznacznie zbliżył się do Jaworskiego i z wielce tajemniczą miną szepnął mu na ucho:

— Byczo się składają. Przywieźli nowe deski.

Ex student podniósł na niego swoje ślepe oczy.

— Jakie deski? — zapytał w zdumieniu.

— No, jakież? Zwyczajne. Dwucalowe. Złożyli je koło środkowej baszty.

— No więc cóż? Na jakiegoż djabła mogą nam się przydać te deski?

— Jakto, na jakiego? Nie potrzeba będzie sznurów, ani kotwicy. Przystawi się do muru deskę i cała parada!

Jaworski strzepnął ręką. — Rzeczywiście — zawołał radośnie. — Kwadratowy ze mnie osioł! No, a klucz? Jakże z kluczem?

— O kluczu niema co marzyć. Ale znalazłem w kuchni kawał żelaza i zakopałem pod murem. Będzie nim można kłódkę oderwać.

Jaworski się rozrzewnił. — Ech Marciu! — rzekł, ściskając go za rękę — gdyby tak nam się udało, co? Psiakrótką, przedarlibyśmy się do Legjonów i dopierobyśmy prali to psiarstwo, mój ty miły Boże,

Mówiliście już z Fertnerem? — przerwał mu te słodkie marzenia Karski.

— Nie. Z nim trzeba być tak ostrożnie, jak i z drugimi. Narwaniec — i fantastyk...

— Tak, ale jego w celi lubią i wierzą mu. A bez niego nie wszyscy zgodzą się na nasz plan.

— Zgodzą się. Już ja wam ręczę, że zgodzą się, ale powiemy im już w ostatniej chwili — w przeciwnym razie dowie się zaraz wójt i cała gromada i wtedy zostanie nam tylko jedno — powiesić się. — A co dziś na kolację? — zapytał naraz.

— To samo: liście.

— Hm, będziemy mieli kłopot, bo oni odgrają się głodówką, a do tego dopuścić nie można. Już i tak ledwie włączymy nogami, a Fertner dzisiaj także oślepl.

Akuratnie wniesiono miski. Więźniowie z łyżkami i kawałkami chleba okrążyli je, ale nie jedli. Markotnie patrzyli na zielonkawą ciecz, którą rozbełtywał w misce Józek Kolczuga, i milczeli — jakby oczekiwali cudu, azali nie pojawią się ziarenka fasoli, albo chociażby białe kawałki kartofli.

Przekonawszy się, iż najskrupulatniejsze poszukiwania nic nie wykryły — wyjął Józek łyżkę, uśmiechnął się po swojemu i zadeklamował:

„Darmo kocino, darmo chłopczyno
Nawet kartofle do ust nie płyną...”

— A u was tam jak? — zawołał ogromny Biedrzyński -- do drugiej miski.

— Tak samo — odpowiedziano.

— No więc jakże?

— Co tu się namyślać! Wylać im to świństwo na korytarz i niech ich tam morowa śmierć ogarnie z ich jedzeniem.

— Wiadomo! — Dawajcie miski! — odezwały się gniewne głosy.

— Czekajcie, towarzysze! — odezwał się naraż Jaworski. Trzeba się naradzić, może nie warto...

— Co to — nie warto! Dostyc już tego! — Wylać i koniec! — zakrzyczano go ze wszęch stron. Co gorętsi brali już miski i taszczyli do drzwi.

Porwał się Jaworski i stanął na narach.

— Stójcie! Towarzysze! Pytam się, czy warto na jeden wieczór rozpoczynać głodówkę?

— Jakto, na jeden wieczór? — Ho! ho! — Wy-noście chłopcy miski!

— Rozpedził się na jeden wieczór! — Zobaczymy!

— Ależ warjaci! Jutro na obiad mają dac groch! Czy także wyrzucicie na korytarz?

— Groch? A skąd wiecie?

— Marcin mówił...

— Marcin? I czemużeś nic nie gadał?

— Bo jeszcze napewno nie wiem, ale słyszałem, że mają dać, — mamrotał ten, zakłopotany, opuszczając w dół oczy.

— He! — słyszał dopiero! — Czekaj tatka latka aż kobyłę wilcy zjedzą!

— Dadzą, to będziemy jedli, a to im wyrzucić precz!

Ale już większość była po stronie Jaworskiego. Wynikły gorące spory i kłótnie — w końcu jednak postawiono miski na narach i wzięto się do jedzenia.

— Czekajta! — trzeba wziąć dla chorego — wołał Józek, przeciskając się do miski. Nabrał w garnuszek, jeżdżąc łyżką po misce, na co niektórzy patrzyli z zazdrością i niezadowoleniem, bo im się wydawało, że wybiera conajlepszą. Wreszcie z pełnym garnuszkiem poszedł w kąt celi, gdzie na sieniaku leżał, podobny już raczej do trupa, niż do żywego, chory więzień, Zygmunt Dałicki.

Z ostrożnością tak delikatną, jaką tylko było go stać, dzwignął go Józek do góry, aż chory jęknął, wcisnął mu potem dla oparcia się czyjś chałat pod chude plecy i, wtykając w zgrabiałe ręce garnuszek i łyżkę — prawil pocieszająco:

— Zdaje mi się, że jakbyś potłuścił. He! he! Jeno mnie się słuchaj, a będziesz zdrów! Cóż się krzywisz? Tobie się zdaje, że liście buraczane — to co? Jeno się wiedz dobrze, a zobaczysz. Krowy od tego jeszcze jakie mleko dają!

— Żle — mówił strapiony Jaworski do Marcina. Trzeba im będzie prawdę powiedzieć, ale wtedy rozejdzie się po całym więzieniu, wsypią nas, przeprowadzą do innych cel i bastą. Ano, zaczekamy do jutra — może się jako odmieni, rzekł w końcu, nie wiedząc jednak dokładnie — co właściwie ma się odmienić.

— Roskosz nie życie! — zachwycał się tymczasem Józek Kolczuga. Pyskowaliśmy, aby tylko osiem godzin pracować — nie robimy teraz nic. Tłukliśmy, gdzie się ino jaki nawinął strażniczyna, — jemy teraz z jednego kotła, a nawet z jednej miski! I czego wy, ludzie niezadowolone, chceta jeszcze od tego cara?

— Jan Kulesza powiada, że zjadłby jeszcze teraz kaszy jaglanej ze słoniną — zawołał ktoś z drugiego końca celi.

Kulesza zwykle uśmiechał się jeno dobrotliwie gdy zeń strojono żarty i docinano nieraz w gruby sposób — zawsze cichy i milczący — teraz wstał

nagle i wzburzonym, nieco ochryłym głosem, począł krzyczeć na całe gardło:

— Czego wy chcecie ode mnie? Com ja jeszcze wam winien?... Mało wam jeszcze mojej udręki, mojej nędzy i sieroctwa?... Przez was ja tu siedzę! Przez was wrzody oblepiły moje ciało! Tak jest! przez was i przez tę waszą niepodległość zatraconą zdycham ja tu, a moje dzieci tam pewnie na wolności! -- Z jękiem upadł na swoje posłanie i zapłakał żalonym, jak wicher jesienny, głosem.

W milczeniu, z przykrym uczuciem niemocy i jakby winy, układali się więźniowie do snu. I nikt do niego nie podszedł, nie rzekł dobrego słowa, nie pocieszył.

Obojętnie, z nienawiścią nawet słuchano starczego póchlipywania Kuleszy. Zakrzepłe w clerpieniu serca zda się zupełnie zatraciły uczucie litości i współczucia.

Na drugi dzień wstali wszyscy jeszcze chmurniejsi. W rozmowach padały słowa bezlitosne i twerde jak kamienie, albo złe i niecierpliwe brzęczały po celi jak muchy pod jesień tłukące się o ściany pokoju, w którym nagle zgaszono światło. Zgodnie — jakby przejęci jedną myślą — starali się wzajemnie na siebie nie patrzeć. Tak już obmierzłą i nienawistną

wydała się każdemu — blada, wykrzywiona cierpieniem i zeszpecona anemicznymi gruzłami — twarz własnego towarzysza.

W takim usposobieniu wyszli na spacer, Odrazu rzuciła im się w oczy sterta długich nowych desek, złożonych pod murem. Jakaż zajmująca i przyjemna nowość. Znali już tu przecie na pamięć, aż do obrzydzenia, każdy potrącany nogą kamyk, każdą grudkę ziemi, każdą niemal cegłę w murze obszarpanym z tynku; pasiastą budkę strażnika i jego karabin; znali nawet każdą załamującą się fałdę na jego butach! To też zmęczone oczy z przyjemnością prawdziwą patrzyły teraz na stertę białych desek. Z ciekawością rozpatrywały ich kształt, każdy sęczek, słoje i — czego tam jeszcze nie widziały! Mnóstwo rozmaitych, ciekawych rzeczy! Przyczem znalazł się nowy, tak bardzo pożądaný temat do rozmowy.

— Patrzcie! Widzieliście! Deski! — wołano ze zdziwieniem i jakby radością.

— Aha! A jakie nowe! — I sosnowe zdaje się!

— Sosnowe. Czujecie jak pachną?

— Prawda! Jak w lesie. Jak Boga Kocham jak w lesie!

— To żywica. Widzicie? Błyszczą jak krople złota.

— Ciekawość na kiego licha im one deski? — zainteresował się ktoś.

— Pewnie na trumny dla nas. Przygotowują za-wczasu.

— Ale też pachną, to pachną! — zachwycał się stary Zawichowski.

— No, nie dziwota. Stary już jesteście — to was ciągnie do onych desek. Ho, dopiero będziecie uży-wali jak wam to będzie pachniało ze wszystkich czterech stron.

Jeden tylko Jaworski myślał inaczej.

Z serdeczną tkliwością ogarniał wzrokiem długie deski i uśmiechał się tajemniczo, — wyobrażając sobie jak to się będą drapali po nich jak koty na mur.

Można będzie — myślał — przetrzucić nawet jed-ną deskę na drugą stronę i zjeżdżać po niej. Nawet tak trzeba będzie zrobić koniecznie, bo mogliby no-gi sobie połamać — skacząc.

A powróciwszy do celi rozpoczął ostrożną agita-cję przeciw głodówce.

Objeżdżał zdaleka, jak myśliwy lisa, udając, że wcale w przeciwną stronę zmierza — a zaczął o mi-łości i cierpieniu. Posłyszał go jednak Fertner i cały plan zepsuł.

— Co? Miłość bliźniego! — zawołał ironicznie patrząc na Jaworskiego, który się skrzywił niechętnie przeczuwając długą zacieklą dyskusję.

Tymczasem wniesiono miski.

— No, macie groch — mówił Józek, mieszając zielonkawą ciecz. Na takich obiadach, to z cierpieniem czy bez cierpienia djabli nas wezmą.

Spochmurniały twarze więźniów. Spojrzeli sobie w oczy z niemym pytaniem: być albo nie być?

— No, więc jakże? — rzucił pytanie stary Zawichowski.

— Ja powiadam, ażeby jeść — zaczął nieśmiało Jaworski. Nic teraz głodówką nie wywalczymy. Wojna. Oni się tem tłumaczą i nikt im nic nie robi. Zresztą, kto na nas zwróci uwagę? Wszyscy zajęci są wojną, gdzie giną tysiące ludzi. Nie wyobrażajmy sobie, że gdy zagłodujemy — przywiozą nam od razu grochu, kart fli, kaszy, albo mięsa — nie — oni się naszej głodówki nie złączą.

— Ja też tak myślę — podtrzymał go nieoczekiwanie długi Rafalski. Gdyby to jeszcze z nami zagłodowało całe więzienie! Ale tak, jedna cela — nic nie znaczy. — Powiedzą — dla wszystkich to jedzenie jest dobre, ani jedna cela nie protestuje — tylko dla was nie dobre?

— To prawda. Wszystkie cele żrą — nikt słówka nie piśnie — ozwały się nieśmiało głosy tu i owdzie.

— No więc jakże? — jemy, czy nie jemy? — niecierpliwił się Zawichowski.

— Jemy. Naturalnie, że jemy. Co jedna cela poradzi? — posypały się jeszcze liczniejsze głosy.

„A bydło jadło, jadło, jadło,

Aże się pokładło“! zaśpiewał Józek i spojrzał na Jaworskiego.

Zabrał głos młczący dotąd Fertner.

— Nie jemy i nie będziemy jedli — zawołał. Powiadacie, że sami nic nie poradzimy? A i cóż wam pomoże jeżeli będziecie jedli? Chyba to tylko że się męczarnie nasze przewleką jeszcze kilka tygodni. Słuchajcie! Tamte cele nie protestują i nie będą! Złodzieje nigdy nie zgodzą się na głodówkę, tem bardziej, że oni mogą wytrzymać. Posiadają tutaj rodziny, przyjaciół — otrzymują posyłki i pieniądze — widzieliście przecież jakie „wypiski“ robią! A z nas już nikt od dwóch miesięcy kawałka cukru nie widział! Żyjemy tylko z kotła. Umiera nasze ciało, klekoczą nasze kości, gdy się poruszamy — z gnijących dziąseł wypadają zęby — pokryły nas strupy — jesteśmy jak trędowaci! Czegóż wy się jeszcze spodziewacie? Wy, żywe trupy! Czy nie ma-

cie odwagi ażeby skonać? Wszak pozostało nam już tylko jedno jedyne wyjście z tego piekła — jedna, jedyna ucieczka od tej ohydy — śmierć! Umrzycmy więc razem, towarzysze!

— Umrzycmy razem! — ozwało się kilkanaście młodych głosów.

— I niechaj z trupów naszych wybuchnie zaraza i rozejdzie się po tej ziemi niewoli! — zawołał Fertner a jego piękne, słodkie oczy zionęły teraz dziką nienawiścią.

Szare więźniów twarze zaostrzył jeszcze bardziej grobowy, ponury smutek i zaciętość.

Ano, jak zdychać, to zdychać, — rzekł po pewnym namyśle stary Zawichowski — i cisnął ze złością o podłogę łyżkę, aż się rozleciała w kawałki. — Juścić, co prawda, to prawda — mówił wśród powszechnego milczenia. — Umrzeć zawsze kiedyś trzeba, a w tak zacnej kómpanji będzie nam jakoś weselej. Niema co — wynośta chłopcy miski.

— Kiedy nie będziemy głodować — rzekł ze stanowczością Jaworski.

— To już chyba wy sami, ale w takim razie wyprowadźcie się z celi — powiedział chłodno z równą stanowczością Fertner, przechodząc odrazu z „ty“

na „wy“, zaznaczając w ten sposób, że przyjaźń między nimi — skończona.

Spojrzał na niego Jaworski, niemile zdziwiony i uśmiechnął się.

— Słuchajcie, — zaczął — widzieliście te deski pod murem? Otóż, one istotnie będą dla nas na trumny jeśli zagłodujemy.

— Ho! ho! A to nastraszył — zawołał rozweselony Józek.

— Tak, nastraszyłem, bo one mogą też być dla nas ostatnimi deskami ratunku.

— To jest, przypuszczacie niby, że możnaby one deski zjeść?

— Nie, ale możemy uciekać. Będziemy uciekać.. Za parę dni możemy być na wolności, a wy chcecie głodować.

Błysnęły oczy ciekawością i nadzieją ożywiły się twarze.

— Kiedy? Jak? Gadajcież prędzej! — otoczono go kołem. Tylko Fertner pozostał z boku — mierząc przyjaciela podejrzliwym wzrokiem.

— Opowiem później — bronił się Jaworski. — Jak przyjdzie Marcin... Obmyśliliśmy we dwóch. Droga pewna, Ale jeśli zagłodujemy, djabli wszyst-

ko wezmą — przyczem stracimy i tę resztę sił, co nam pozostały.

— No, więc jakże? — po raz trzeci postawił to pytanie Zawichowski.

— Ha, jeśli tak, to niema co. Bierzmy się do jadła i tyle — odpowiedziano, skwapliwie rozchodząc się do misek.

— He, mądrzyście, a moja łyżka! — zawołał stary, stojąc bezradnie nad rozbitymi kawałkami.

Dano mu inną, ale to go nie pocieszyło. Stracił humor, jadł bez apetytu, a po obiedzie, pozbierawszy kawałki starej łyżki, oglądał je żałośliwie, przymierzał, czy nie udałoby się zesztukować i wyrzekał.

— Jeździła ze mną z Częstochowy do Piotrkowa z Piotrkowa do Sieradza, z Sieradza znowuż do Piotrkowa. Wtedy mi ją nawet w „mecu“ złodzieje ukradli i musiałem psiem krwiom dać 30 kop. na „halpkę“, dopiero oddali. I przywędrowała ze mną aż tutaj! Strzegłem jej jak oka w głowie, bo — co tu gadać — z Polski! Że też mię zawsze jakieś djabli muszą podkusić — aby na wyprzódki! Nie mogł sobie tego porywu darować.

Więźniowie chodzili jak zgorączkowani. Jaworski nic nie chciał mówić bez Marcina, a tego ostatnie-

go trudno się było doczekać. Posądzano nawet Jaworskiego, że ich oszukał — ale przyszedł Marcin i okazało się, że prawda.

Cały wieczór i późno w noc trwały narady, sprzeczki i szepty, zgodzono się jednak powszechnie, że uciekać można i trzeba.

— Ale jakże my w tych naszych, białych ubraniach? Toż jeśli nas nie wystrzelają jak gęsi, to gdzie się tylko pokażemy, będą patrzeć jak na warjatów i połapią — mówił Fertner, naradzając się z Jaworskim.

— Widzisz, akuratnie w środkowej baszcie jest skład cywilnych ubrań aresztantów. Oderwiemy kłódkę i — na wolność. Niestety tylko, że tak bardzo jesteśmy osłabieni, no, ale trudno.

Na drugi dzień wstali wszyscy jakby zdrowsi i silniejsi. A gdy wyszli na spacer — oczy ich nie mogły się oderwać od białych desek pod murem. Wydały im się dzisiaj jeszcze piękniejsze i takie jakieś — dziwnie kochane! Szczególnie Józek, aż mieszał spacer. Przystawał, zagapiał się bez powodu, aż naraz czegoś stęknął, jak człowiek który raptem spadł z wysokiego drzewa.

— Co tobie? zainteresowali się sąsiedzi.

— E, nic, — odparł zawstydzony, obcierając kroplisty pot z czoła. — Wyobraziłem sobie tylko, że przystawiłem jedną deskę, wdrapałem się na mur i skoczyłem na drugą stronę.

— I tegoś tak jęknął?

— Ano, cóż chcecie. Wysoko, siarczyste...

Potoczyło się teraz życie w celi zupełnie innym torem. Pocichu, ostrożnie, ale z przepelnionem radością sercem gotowano się do drogi. Kto miał kogo przeprosić, to przeprosił; kto co przebaczyć, to przebaczył, Zapanowała w stosunkach dawna serdeczność, pojawił się w celi dawno niesłyszany gość, nowy towarzysz — śmiech i co chwilę rozlegał się w celi to tu, to tam — opróżniając twarze swoją dziecinną beztroskliwością.

Ta — oczekiwana, ta mająca przyjść — Wolność, godziła teraz wszystkich jak najmiłsza siostra.

Pod jej tchnieniem — jak pod tchnieniem wszechwładnej, cudotwórczej wiosny — rozmarzały szare, skute lodem cierpienia i smutku beznadziejnego twarze więźniów, ożyły zmęczone serca, budziła się ze snu długiego, zawsze piękna jak różana zorza wschodu i najwierniejsza kochanka człowieka. Nadzieja! Pod jej to słodkimi pieścotami duszy pod jej czarownym, lecącym w dal uśmiechem — przy-

pomniął sobie Józek nagle wszystkie piosenki, jakie tylko kiedykolwiek słyszał i wyśpiewując od rana do wieczora zdumiewał całą celę ich mnogością. Zaś stary Zawichowski, zapomniawszy o łyżce, śpiewał tylko jedną, ale zato, coraz to innym głosem.

„Na bik chłopci, na bik wsi,
Bo czort muža nese.

Jak zobaczy mene z wami,
To go febra trase“.

„Nehaj trase, nehaj trase
Jak cej wicher bodiakom!
A ty młoda, jak jagoda
Taj pohulaj z kozakom!“

Grała im w sercach poezja, grała radość — nadzieja.

Nawet chory Dalicki czuł się coraz lepiej. Opiekowali się też nim wszyscy. Wyławiali z misek gdzie jeno jaki skwarek, kartofel i nieśli choremu.

— Na, wsuwaj, brachu, bo to przyjdzie ci drałować na piechotę Bóg wie jak daleko!

Z początku się wzdragał, nie chciał, że to ich niby objada, ale go zwymyślano.

— Ty na nas nie zważaj. My tam jeszcze jak chłopskie konie o suchym kiju trzy mile ulecim.

Stanisław Andrzej Radek.

Ostatnia deska ratunku

i

INNE NOWELE

1922.

Nakładem Księgarni Robotniczej.
WARSZAWA. == LUBLIN.



W. Rybicki i S-ka.
Żórawia 7.

Więc był posłuszny i jadł, bo tak mu radził Józek.

— Ty nic, tylko wsuwaj — mówił. — Chcesz, czy nie chcesz, złe, czy dobre — wszystko jedno — uważasz — wełna, nie wełna... Zdrow będziesz jak byk powiadam ci, ino się tak w sobie zbierz, a krzepko, to chorobę zaraz djabli wezmą. Uważaj tylko co ja robię. Wcale nie jesteś chudszy odemnie.

Więc się też „zbierał“ w sobie, ile miał sił, ale rwąca się do życia dusza nie zdołała już tchnąć życia w umierające ciało. Pokładał się też często, ale nie dawano mu spokoju:

— Nie leż tak ciągle, nie leż, bo pozrastają się w tobie gnaty i nie będziemy mogli kroku jednego zrobić.

Wstawał tedy i pałędał się po celi, a gdy już omdlewał ze straszliwego utrudzenia — brali go pod pachy i wlekli do okna, aby „chlipał“ świeże powietrze.

— Odwykłeś już, widzisz, od wszystkiego i musisz się przyzwyczać.

Pewnego dnia przed obiadem przyszedł Marcin do celi, niby to po lekarstwo, które zapomniał i oznajmił, że mogliby dziś zacząć. Naczelnik gdzieś pojechał i strażnicy na to konto wyprawiają

u siebie czyjeś znowuż imieniny. Sprowadzili już denaturowanego spirytusu, a w kuchni piecze się dla nich mięso i pierog z kaszą. Będą więc siedzieć w „dyżurce“ i chlać. Prawdopodobnie, że Żubkin spije się tak, że będzie spał w swojej budce. Okoliczności więc składają się jak najpomyślniej. Dodał jeszcze, że siekierę już przygotował. Niech więc uradzą, a w czasie obiadu przyszlą znak, czy ma ją zabrać z sobą wieczorem, czy nie?

— No to jakże? — zapytał jak zwykle, Zawichowski, obrzucając wzrokiem znieruchomiąłych, jakby spiorunowanych tą wiadomością towarzyszy.

— Co tu gadać — odezwał się wreszcie któryś— podobna okazja nie prędko się znowuż trafi. Zaczynajmy, zaczynajmy! Niema co odwlekać. A tam już śmierć albo życie, zagadali naraz wszyscy.

— A Dalicki? — odezwał się Józek.

— No, cóż — Dalicki! Nie będzie mógł iść, to go weźmiemy pod rękę i poprowadzimy. Nie zostawimy go tu przecież?

— Naturalnie, że nie! Razem tyleśmy przecierpieli, razem zginiemy, albo żyć będziemy.

Dalicki wstał ze swego pośłania i uklęknął.

— Towarzysze serdeczni... rzekł drżącym głosem i łzy głębokiej wdzięczności przeczystymi kroplami popłynęły mu z ocz.

— Et, głupi jesteś! — uspakajano go. — Kładź się i wypoczywaj, a wieczorem... hej, bracie! Abyś tylko zdążył nogami przebierać, a my cię już poniesiemy.

Ale przed wieczorem Dalicki dostał silnej gorączki, majaczył, był nieprzytomny. Więźniowie byli zrozpaczeni, postanowili jednak nie zostawiać chorego i odłożyć uciezkę jeszcze na dzień, dwa. Siekiere, którą był Marcin, ukrytą na piersiach przyniósł, na drugi dzień rano zabrał z powrotem.

Fertner, gdy oną siekiere rano zobaczył, przeraził się. Chodził potem długo po celi, stawał przy oknie — rozmyślał, medytował, wreszcie zbliżył się do Jaworskiego.

— Więc wy myślicie go tą siekiere tego... — zapytał.

Jaworski spojrzał na niego zdziwiony:

— Cóż to, dopiero teraz się o tem dowiadujesz?

— Nie, ale — nie wyobrażałem sobie.

Na usta Jaworskiego wypełznął drwiący uśmiech:

— Mój kochany — rzekł. — Nie mamy szabli, ani pistoletu, ażeby go po rycersku — „tego“... Zresztą

byłby huk, a my chcemy aby cała parada odbyła się o ile możliwości po cichu.

— Hm, znienacka?... rzekł Fertner jakby z ironją

— Tak jest, z nienacka! — zawołał rozłoszczony tem Jaworski. — Mnie też nie ostrzegano! Znienacka trzasnął mnie na ulicy szpicel między oczy, że opamiętałem się dopiero w ratuszu! Nie myślę też bawić się z nimi w rycerskie ceregiele. Zresztą nawet rosyjskie prawo pozwala mi wystąpić z bronią, a nawet zabić w obronie własnego życia. A ja wszem wobec i każdemu z osobna mogę dowieść, że mię tu mordują.

— Jaka to szkoda, że nie można inaczej — rzekł Fertner ze szczerym smutkiem i anielskie jego oczy stały się jeszcze piękniejsze.

Jakoś trzeciego dnia chory poczuł się znacznie zdrowszy.

Wstał zaraz rano, chodził, rozmawiał, usiłował nawet śmiać się i żartować.

Więźniowie byli uradowani, widząc go takim i starali się jeszcze bardziej go „rozruszać“.

— No i patrzcie się — mówili — a myślelim, że już się wykopyrtniesz.

— Ale rozmyśliłem się i wolę do Królestwa Polskiego niż do niebieskiego.

— Jeszczeby! — odezwał się Zawichowski. — Tam, w królestwie niebieskiem pono niema nijakich partji, jeno wszystko internacjonaliści.

— U, a to dla was, zdaje się najgorsze. Nie będziecie się mieli z kim wadzić.

— Jak tam będzie, to mniejsza, ale ty Dalicki, jak myślisz? Możebyśmy jutro... tego... ruszyli?

— Ja jestem gotów i dzisiaj.

— Gawędzisz?!

— Co mam gawędzić. Sprobuj się Józek ze mną.

— He, he! Kości bym ci pogruchotał.

— No chodź! Sprobujemy się! Chyba, że się boisz — kusił go Dalicki, stając w bojowej pozycji.

— Ano sprobujta się, zobaczymy — zainteresowali się inni.

— Ty, Józek, także wyglądasz jakbyś dopiero co zwiął grabarzom z pod łopaty.

— Ech, pierony! — rzekł Józek i zeszedł z nary.

Chwycili się za wystające gnaty, ale Józek zamiast się zmagać — począł bić o podłogę ukraińskiego „trepaka“ i podśpiewywać:

Trim, ta tata-drata!

— Patrzcie, patrzcie! Dwa kościotrupy idą w taniec piekielny — śmieli się więźniowie.

Ale chory chciał widocznie naprawdę spróbować swoich sił, bo szarpał przeciwnikiem i w prawo i w lewo, ale nogi rozlatywały mu się w różne strony, zupełnie jakby poprzywiązywane sznurkami. Na czoło wystąpił kroplisty pot i posiniały usta. Wreszcie jęknął i opuścił ramiona.

— Oj, nie mogę... Usiadł i ciężko dyszał. Więźniowie markotnie kręcili głowami. — Nic z niego nie będzie. Zostawić go, albo co?..

Z trudnością dowlókł się Dalicki do swego posłania.

— Wiesz co, Józek? — szepnął układając się z powrotem. — Wiesz co... Ja pewno — umrę...

— A cóżeś ty myślał — żeś nieśmiertelny?

— Tak, ale... mnie już mgła przysłania oczy...

— Jaka tam mgła. Spać ci się pewno chce...!

— Nie. To śmierć przysłania mi oczy... Poszlijcie po felczera... Może mi da jakie lekarstwo... Oj, Józek... tak bym chciał jeszcze żyć...

Ledwie przed wieczorem przyszedł wezwany felczer. Popatrzył na chorego, zmierzył gorączkę i, milcząc, zabierał się do odejścia.

No, jakże? Co jemu jest? — zatrzymali go więźniowie.

— Mówiąc w rzeczywistości, to — ni za tego, ni za tamtego — odpowiedział felczer. — Obydwaj byli diabła warci.

— Ale co zrobicie z chorym?

— Z chorym? A cóż ja z nim mogę zrobić? A cóż to ja jestem „jego jaśnie państwo?“ Nawet „wasza szlachetność“ nie jestem. W gardle mię pali i też na to nie mogę nic poradzić. Zresztą — zamyślił się — zabiorą go do szpitala. Akuratnie jest jedno łóżko wolne — i płasającym krokiem wyprowadził się z celi.

— Co on mówił? — zapytał chory.

— At, co z pijanym za rozmowa. Mówił, że zabiorą cię do szpitala.

— Do szpitala? Acha, już wiem — szpital... Józek, czy wiesz? zabiorą mnie do szpitala, a wy pójdziecie.. Wszyscy pójdziecie na wolność... do Polski... Tylko ja tu zostanę sam... Nie tu, ale w grobie... pod ziemią... Tak, ja umrę, ale moje serce nie umrze i moja tęsknota i mój żal także... Powloką się za mną do grobu i będą nocami rozkopywać ziemię, siadać na grobie i płakać za wami, za krajem, za wolnością...

— Ot psiachmać, rozgadał się! — zawołał Józek siadając. — Kto będzie płakał? Na jakiego tu psa płakanie! Ty myślisz, że ja także z nimi pójdę? Nie bój się, będziesz miał kompanję.

Tymczasem więźniowie jeszcze raz naradzali się — czekać na Dalickiego, czy nie?

— Po co czekać! Na kogo? — przekonywał długi Rafalski. On już tak jakby trup. Nic my już mu pomóc nie jesteśmy w stanie i sami możemy przepaść. Moim zdaniem — jutro ruszajmy i koniec.

Przyznać trzeba, iż prawie większość była takiego samego zdania, ale nie śmieli głośno wyjawić. Ogarniał ich jakiś wstyd, zdawało im się, że popełniliby podłość, zdradę względem towarzysza, który był jeszcze nieszczęśliwszy od nich.

— Co tu gadać — odezwał się Fertner — powiedzieliśmy, że zabierzemy go z sobą, więc zaczekamy — aż wyzdrowieje cokolwiek.

Markotni trochę pokładli się spać.

— Zimno mi, Józek, bardzo mi zimno — skarżył się chory, kurcząc się coraz bardziej i dzwoniąc zębami. — Przykrył go Józek jedną kapotą, drugą, nakładł na niego jakie tylko znalazł pod ręką ubranie. Nic nie pomagało. Chory wciąż jęczał i skarżył się jak dziecko.

Wsunął się tedy Józek sam pod jego kołdrę.

— Przyciśnij się do moich pleców, zmarzłaku! — mruczał. — Niewiele ci to pomoże, ale zawdy... Pierzyny ci przecie znikąd nie przyniosę.

— Oj Józek, Józek... jaki ty dobry...

— Zaczynaj...

Chory zamilkł. Po chwili chciał jeszcze jakimś serdecznym słowem wyrazić swoją wdzięczność, ale pomyślawszy, że może już Józek śpi — począł rozmyślać o swojej śmierci. Poczem spostrzegł, że absolutnie nie uczuwa z tego powodu żadnego żalu. Przeciwnie, tak mu jakoś było lekko, swobodnie, taki przedziwny spokój roztaczał się w duszy. I pierwszy raz w życiu bez buntu, bez żalu, bez strasliwej tęsknoty w sercu — począł rozmyślać o Polsce o towarzyszach, o wolności. Odżyły w pamięci dziecinne lata, młodzieńcze zawody i tryumfy, ale już nie uczuwał, jak dawniej, tego dziwnego, jakby ostrogą łechcącego serce, niepokoju — że jakby coś zapomniał, co — trzeba koniecznie zrobić, dokończyć, bo inaczej wszystko przepadnie — zginie, rozleci się. Nagle wydało mu się, że ma jeszcze coś takiego ważnego powiedzieć Józkowi. Dokładnie nie mógł sobie uświadomić co mianowicie, ale już jakiś niepokój w nim rósł i naglił. Chciał się podnieść, ale był tak przywalony łachami, że poprostu nie mógł się poruszyć. Uszczypnął tylko parę razy przyjaciela w ramię, lecz ten ani drgnął, więc dał pokój. Ogarnęły go znówuż marzenia, otoczyły obrazy i wspomnienia.

Tymczasem, Józek, zasypiając — myślał także o śmierci;

— Umrę, nie umrę; umrę, nie umrę? A niech go tam wreszcie pierony! — Umrę, to umrę.

I zasnął. Zasnął i śniło mu się, że umarł.

Odchodząc, obejrzał się i zobaczył samego siebie jak śpi spokojnie nakryty derką, niczego się nie domyślając.

— He, a to się dopiero zdziwi rano, kiedy zobaczy, że mnie już niema — pomyślał o tym, co spał, i aż chciał zaśpiewać z wielkiego ukontentowania. W czas jednak przypomniał sobie, że może tamtego obudzić, więc pocichutku wymknął się na drogę i poszedł do nieba.

— Ciekawym, czy też to daleko, myślał — idący i z zainteresowaniem rozglądał się po okolicy.

— Abym tylko nie zbłądził, wspominał sobie. Droga bowiem wydała mu się znaną i bardzo podobną do „Warszawskiej“ szosy, pełną wyboi, wyrw i sterzących po środku ogromnych głazów, tudzież gałęzi i wszelakiego śmiecia — chociaż po bokach leżały pięknie usypane pryzmy tłuczonych kamieni. Tu i owdzie po stronach drogi sterczały drzewa-kaleki, obłupione z kory, ponacinane i osmolone. Nie, to

chyba droga do piekła — pomyślał, przeskoczył rów i poszedł brzegiem pola.

W tem posłyszał za sobą turkot i wkrótce wymi-
nęła go fura pełna rozmawiających ludzi; potem prze-
jechali jacyś państwo powozem we cztery kare konie
i znowu zwyczajne furmanki. Niektórzy mieli dobre
konie, inni chabety, ale wszyscy rwali z kopyta.

— Rzną jak na jarmark — dziwował się Józek.
— Wreszcie nagnali go jacyś piesi ludzie.

— A dokąd to? — zapytał ich Józek.

— Do Częstochowy, na misje — odpowiedzieli
i skręcili na lewo.

— To mnie trzeba się będzie wziąć na prawo
— pomyślał — przeskoczył znowuż przez rów i poszedł
środkiem drogi.

— Pewnie już niedaleko niebo — rozmyślał —
miarkując po jasności, która się wokoło niego coraz
bardziej rozlewała.

— Tylko, czy aby mnie tam puszcza? — zasta-
nowił się i zwolnił kroku. Ha, jak nie puszcza, to się
będę szwarcował — postanowił i zaraz mu ulżyło.

Jakoż — po niedługiej chwili zobaczył rogatkę,
a tuż obok św. Piotra. Staruszek siedział na kamie-
niu i drzemał sobie mile w cieniu rozłożystej lipy.

— Nie będę go chyba budził! — pomyślał Józek i skręcił z drogi, chcąc obejść rogatkę, ale wtem trącił jakiś mały kamyczek, który z szelestem począł spadać gdzieś w przepaść.

— Ha? co? A ty dokąd? — przebudził się św. Piotr.

— To ja. Właśnie dziś umarłem i chciałem do nieba... Niech będzie pochwalony... bąknął nieco zawstydzony Józek.

— Po wszystkie wieki wieków — odparł św. Piotr. — A możesz ty chciał się szwarcować?

— Niech Bóg broni! Niechący tylko trąciłem nogą kamyk...

— Otóż to. Jak zachcecie tak niechący, to wszystkie gwiazdy postrącacie z nieba, smyki jedne... Ale widząc pokorną minę Józka, staruszek zmiękł i spytał łagodnie:

— A nie masz ty czasem zapalek przy sobie? — Fajka mi zgasła...

— Zapalek nie mam — zawołał prędko Józek — ale mam „pulwer“.

Szybko wyjął z kieszeni guzik z przewleczoną przez niego nitką, kazał mocno trzymać jeden koniec św. Piotrowi, poczem podjął z drogi kamyk i trrr. trrr. — zrobił ogień na poczekaniu.

— Patrzcie się wszyscy apostołowie! — dziwował się święty zapalając fajkę. — Powiadasz więc, że chciałeś do raju?

— Właśnie — odparł Józek, uśmiechając się — ale nie wiem, czy tego... Bo jeśli Adam nie wytrzymał, to o mnie już niema co gadać..

— Hm — zamyślił się święty. — Cóż ja tu z tobą zrobię? Bo gdybyś był mahometaninem, to inna rzecz, posłałbym cię gdzieindziej. Ale możebyś tak zechciał wstąpić do sekcji św. pustelników?

— O nie! — zawołał Józek — Sześć lat siedziałem w więzieniu, a przytem...

— W takim razie — przerwał mu św. Piotr — puszcze cię chyba prosto do nieba. Ale skąd ty jesteś?

— Z niemieckiej dzielnicy.

— Z Niemiec? O, bratku!

— To u nas w Polsce, w Zagłębiu Dąbrowskim jedna dzielnica nazywa się Niemce — objaśniał Józek.

— Ano, to tak mi gadaj — uspokoił się św. Piotr — A coś ty dobrego zrobił na ziemi?

— Najpierw pasiałem kozy, potem ładowałem w kopalni węgiel, byłem śleprem i latałem za psami. Zapsami? O, hyclu jeden i do nieba jeszcze chcesz!..?

— Ale, bo święty Piotr nie wie, za jakimi psami — rzekł Józek nieco obrażony.

— Wszystko jedno za jakimi — obstawał przy swoim święty. — A pokaż no, co masz w kieszeni? Bo to nie myśl sobie, że do nieba można przynosić z sobą różne rupiecie z ziemi. Ho! ho! gdyby wam tak pozwolić, to byście całą ziemię wzięli na plecy i przetaskali tutaj...

Józek włożył rękę do kieszeni i, ku najwyższemu swemu zdumieniu, wyjął stamtąd pełny naboju magazyn do brauninga.

— O, nie mówiłem! Cóż to za blaszka? — dziwował się święty — do czego ona?

— Ta blaszka? Ta blaszka, to tego... Ta blaszka, to akuratnie na ten... na wróble — rzekł wreszcie mocno zakłopotany Józek.

— Widzisz, jakiś ty gałgan! To już nie tylko psy, ale nawet biedne ptaszyny przeszkadzały ci w powietrzu?

Józek miał zamiar gmatwać sprawę do końca; jak to już u niego było we zwyczaju, ale przypomniał sobie w tej chwili, że przecież nie stoi przed naczelnikiem żandarmerji, jeno przed św. Piotrem i postanowił wyznać całą prawdę⁶

— Interes, proszę św. Piotra, jest taki: Ta blaszka, to nie na wróble, ale na psy jeno nie na te zwyczajne, a na carskie psy.

My tak dla konspiracji nazywamy szpiclów i żandarmów.

— Aaa! dziwił się coraz bardziej święty—no i co?

— Ano, to pralim złodziei, że pewnie aż tu było słychać. Strasznie już nam psia ich mać dokuczyły.

— Miarkuj się, chłopaku, co mówisz. Przed niebieskimi wrotami stoisz i przeklinasz! — zgromił go staruszek.

— Prawda, ale to takie łotry, że i święty by nie wytrzymał.

— Tak, to tak. Ja też jednemu gałganowi obciąłem ucho w obronie Pana, ale byłem wtedy daleko młodszy i wiele rzeczy jeszcze nie rozumiałem. No puszczę cię już do nieba, ale za pokutę, żeś chciał przede mną skłamać, wytargam cię trochę za ucho.

— I targnął go tak mocno, aż się Józek obudził i przekonał się, że to Dalicki tak go ciągnie za ucho.

— Czego ty chcesz?

— Józek, ja umieram... — wyszeptał chory.

— Zwarjowałeś! — zawołał Józek, zrywając się z pościeli.

— Naprawdę już umieram... Bracie mój... och! jak ciężko...

— Może ci dać wody?

— Nie... ale jak będziesz na ziemi... na polskiej ziemi... szeptał chory i nagle wyprężył się i począł charczeć. W pewnej chwili palce jego kurczowo wpiły się w rękę, z ocz popłynęły ostatnie łzy. Serce bić przestało.

Długo w noc siedział Józek i nieruchomo wpatrywał się w okratowane okno, poza którym gdzieś w ciemnych otchłaniach nocy przebłyskiwało kilka gwiazd, aż wreszcie jedna po drugiej zgasły wszystkie i niebo posrebrzył blady świt.

Na drugi dzień, po obiedzie wybrano delegację, która poszła prosić naczelnika aby pozwolił im wszystkim pożegnać ciało zmarłego towarzysza. Nie było ich dósć długo, wreszcie wrócili.

— No i cóż? — pozwolił?

— Pozwolił.

Wkrótce wyszli wszyscy na podwórze. Dzień był pochmurny, szary i smutny, jak zgasłe życie zmarłego więźnia. Od czarnych ołowianych chmur, sunących leniwie kędyś na zachód — padał na ziemię mrok — rodzący w duszy straszną, przebolesną tęsknotę, zwątpienie i śmierć.

— Ech, siarczyste!... — odezwał się Józek. — Dobrze, zdaje się zrobił Dalicki, że umarł, a ponieważ nikt

mu nie odpowiedział, więc dał na potwierdzenie: — żeby tak mnie pierony...

W milczeniu, wynieśli więźniowie z trupiarni z łoki zmarłego — już złożone w trumnę, zrobioną z tych właśnie niedawno przywiezionych desek — i postawili na ziemi, w tym miejscu porostej nędzną, prawdziwie więzienną trawiną. Poczem stanęli półkolem. Zawichowski otworzył książkę do nabożeństwa pod tytułem: „Modlitewnik dla dusz pobożnych“, Józek usiadł na trumnie i pochylając się w stronę, gdzie była głowa nieboszczyka, rzekł głośno:

— No, posłuchaj, bracie, ostatni już raz naszej, polskiej mowy.

Stary Zawichowski uroczyście przeżegnał się:
W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.
Strażnicy pozdejmowali czapki.

Szalejcie tyrani, niech pastwi się kat —
Szykujcie okowy, spętajcie w nie świat!

zabrzmiał jak dzwon starego Zawichowskiego głos.
Uderzyła mocniej w żyłach krew, mocą przedziwną
zadrzały serca, dumnie uniosły się w górę białe więźniów czoła.

„My wolni na duchu“...

Rozległa się po więziennym podwórzu pieśń Wolnego Ducha i objając się o grube mury wzbijała się

hen, wysoko, aż do czarnych chmur wszechmocnym pędem wiary i mocy w tryumf wolności i własne zwycięstwo!

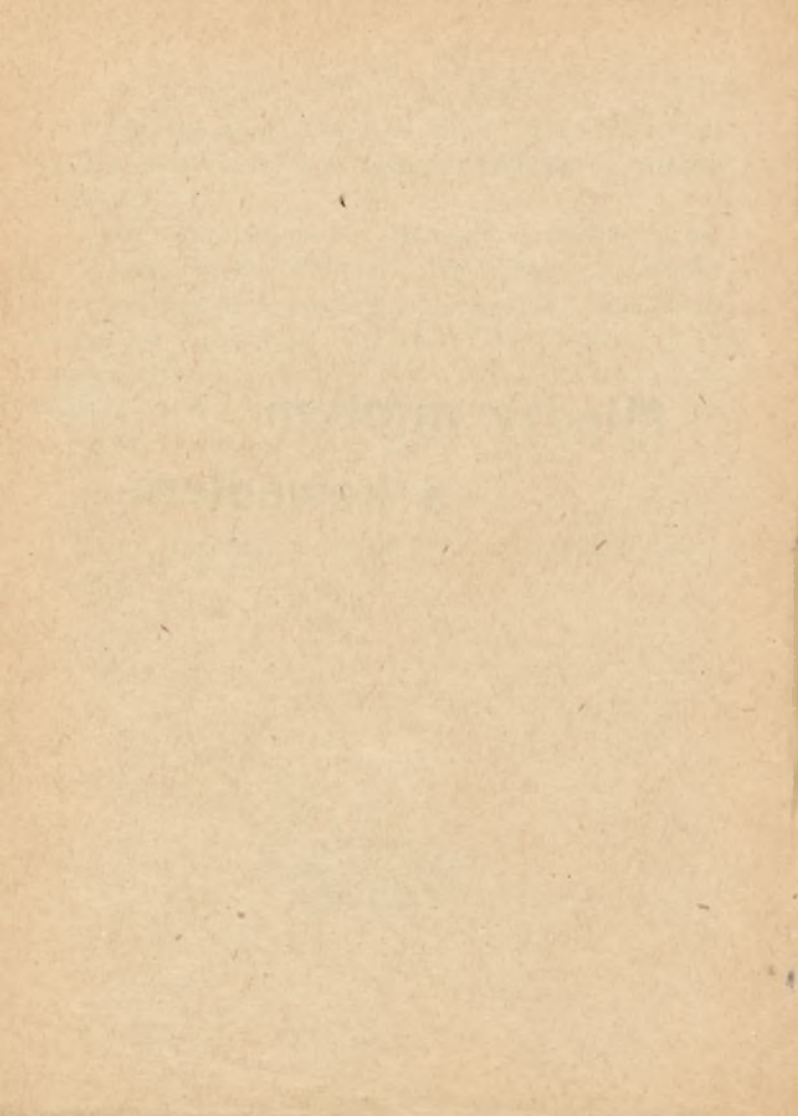
— Słyszysz, Dalicki — słyszysz? — mówił Józek, pochylając się ku trumnie. — Wszystko się tu kiedyś w gruzy rozwali, zniszczeje, przepadnie — ale duch będzie żył i panował. Umarłeś i ty, bracie, gniją i nasze ciała, ale duch w nas niezłomny i mocny jak Bóg! A, że nie w Polsce, o bracie mój, a że nie w Polsce zawalimy się w groby — no to i cóż?

„My wolni na duchu!..“

Brzmiała pieśń, a Józek ukrył w dłoniach twarz płakał.



**Między młotem
a kowadłem.**



Na przełaj, przez pola, śmiałym krokiem szło dwóch bojowców.

Jeden wysoki, blondyn, z twarzą, wyrażającą nieugiętą wolę i spokój, z groźnym, byстрыm spojrzeniem siwych oczu, które paraliżowały cokolwiek figlarnie zakręcone wąsiki. Drugi był dużo niższy, miał piękne, zagięte w łuk brwi i duże, marzące oczy.

Obaj ubrani byli w buty z cholewami i krótkie, ciepłe kurtki, albowiem była już jesień.

Chłodny wiaterek muskał ich zaróżowione policzki i pola obsiane oziminą, przez które wędrowali, nie pytając o drogę, dwaj polscy bojowcy.

Niewygodna to była droga, bo natrafiali na świeżą, zoraną rolę, ale mogli w ten sposób ominąć wieś, od której akuratnie podążał jakiś chłop, chcąc najwidoczniej zabiec im drogę.

— Tak mi się widzi, że ten chłop będzie miał do nas przemowę — rzekł mniejszy bojowiec do tego większego.

— Bardzoby dobrze zrobił, aby ci wrzepił ze dwa kije. Mniej byś patrzył stronami, a więcej przed siebie — odparł większy.

Chłop tymczasem zwolnił kroku i szedł prosto na nich, podpierając się grubym sękaczem. Przy boku połyskiwała mu okrągła, żółta blacha z rosyjskim orłem — znak, że występował urzędowo.

Bojowcy chcieli go wyminąć, ale chłop ich zatrzymał.

— Stójcie-no, ludzie! — zawołał naraz, wznosząc sękacza do góry.

Stanęli.

— A z kiela to i do kiela rżnieta tak przez one pole, moje ludzie kochane? — zapytał żartobliwie, ale tonem groźby.

— A z tela do tamtela! — odparł Karol, ten większy, bystro patrząc na chłopca.

— To hańtędy dla was droga!?

— Hańtędy — nie hańtędy, ale skorośmy już przešli tyle, to przejdziem i resztę.

— Hej, takeście dufni? A ja wam powiadam: wracajta się!

— O, jacy to wy, gospodarzu, jesteście — próbował Janek układow. — Jak się wrócimy, to bardziej jeszcze podepczemy zboże.

— Nie uważajta na nic, jeno na to, jakie wam się przykazanie daje, a jeszcze raz mówi się do was po dobrej woli: ludzie — wróćta się!

— Zwarjowaliście, czy co? — rzekł Karol.

Ale chłopska cierpliwość jest niewyczerpana. Wskazując jeszcze na blachę z orłem u boku, rzekł chłop surowym głosem:

— Ludzie nieznane, jeśli nie szanujeta mnie, to uszanujta ten mendol, co go mam od najjaśniejszego ceso...

Atoli bojowcy już niewytrzymali. Jeden zerwał mu z piersi blachę i połamał w rękę, drugi repetował rewolwer.

Porwał chłop w górę swego sękacza, ale w tej chwili silnem uderzeniem trzepnął go Karol w rękę, potem w baranią czapę, że wyleciała w górę, jak z procy i spadła ciężko opodał w zieloną ruń zboża.

— He, co!? — zawołał Janek wesoło. — Wdzieliście gospodarzu, jak wasza czapa majgała w powietrzu?

Taki obrót sprawy wydał się chłopu niepojęty. Stał, i otwartszy gębę, w niepomiernem zdumieniu spoglądał to na bojowców, to na swoją czapę, dzi-

wując się w duchu, jakim cudem mogła tak daleko zalecieć.

— Polak jesteście? — zapytał go Karol.

— Ano, juści, że katolik — odparł.

— No, to bierzcie swoją czapę i ruszajcie do domu.

— Pokornie dziękuję — odparł chłop. — A jakże! pokornie dziękuję. Widzę, że wszystko jest w porządku, ino męndol... Co będzie z męndolem?

— Z „męndolem?“ Wyprostujcie i przyczepcie go psu do ogona! Jak wam nie wstyd! Wasz dziadek pewnie za Polskę obstawał i bił Moskali, a wy oto carskimi orłami ludziom w oczy świecicie!

— A jak ma być?

— Jak ma być? Polska ma być! Polskie orły mają być! Sami sobie mamy służyć, a nie obcym carom! zrozumieliście?

— Niby tak, jak bym zrozumiał.

— A wiecie, kto my jesteśmy? — zapytał go Janek.

— Nijak wymiarkować nie mogę.

— No to wam powiem: bojowcy jesteśmy z polskiej partji — wojsko polskie — miarkujecie teraz?

— A jakże. Widzę teraz, że wszystko jest akuratnie i w porządku.

— No, to ostanicie z Bogiem.

— Niech Pan Bóg prowadzi.

— Aha, — wrócili się bojowcy — nie wiecie —
w gminie stoi jakie wojsko?

— Nijakiego wojska niema. Strażniki ino przesiadują, „stujka“ i pisarz.

— Dobrze. Tylko o tem żeście nas widzieli, nikomu ani pary z gęby!

— Chwalił się nie będę.

— Chcąc dobrze trafić, rozpytuj o drogę — pouczał Janka Karol.

Zaś chłop odszukał swoją blachę, wyprostował ją jako tako i, zawiesiwszy na piersi, zawrócił ku domowi. Było mu jakoś w sercu markotno i złość go ogarniała na samego siebie.

— Że też mnie jakieście djabli podkusili, aby się z onemi spotkać. Dziwny jakiś naród. O gminę pytają, a zawracają przez pola. Ten większy patrzy na dziedzica, ale chłopską ma rękę i gadają, że są polskie oficery.

Jak nie powiem strażnikom, to może być nieszczęście, a jak powiem, to mnie mogą podpalić. Kto ich wie, co to za ludzie i czego chcą?

Niedaleko zagrody spotkał swego chłopaka.

— Chodźcie, tato, — rzekł tenże — bo strażnik; czekają i chcą wam coś powiedzieć.

A przyjrząwszy się ojcu bliżej, nieomieszkał dać:

— Hy! a wam kiz djasi tak blachę zmiętosili?

— Nie może inaczej być — pomyślał stroskany chłop, tylko zrzęną 'huncwota, aby na drugi raz wiedział, i nie mówił mi tego, co ja sam wiem.

Tymczasem bojowcy minęli wieś, skręcili na prawo i wydostali się na drogę, a wkrótce zatrzymali się przed niewielkim laskiem.

— Możebyśmy co zjedli? — rzekł naraz Janek.

— Zgoda — odpowiedział Karol.

Przeskoczyli głęboki rów, usiedli pod rosochatą sosną i energicznie zabrali się do jedzenia.

— Daleko jeszcze do tej gminy? — pytał Janek.

— Będzie jeszcze kute cztery wiorsty.

— A jak zastaniemy strażników?

— No to i cóż nas to obchodzi! Zresztą — patrz — idzie drogą dwóch.

— No więc zejdźmy im z oczu!

I już zsuwali się w rów, aby niepostrzeżenie dostać się do lasu, gdy nagle Karol powstrzymał się.

— Stój, nie będziemy się chowali.

Janek, który już był w rowie, wygramolił się z powrotem.

— Co? Idą, nie idą? Cóż ty myślisz robić?

— Nic jeszcze nie wiem, ale może oni zechcą nas zaaresztować, albo co?

— No właśnie! We łbie ci się chyba popsło! — rzucił się Janek. — Akuratnie ja się dam aresztować, a ty nie wiesz!

— To my ich zaaresztujemy. O co chodzi. — mówił Karol, nie spuszczać oczu z przybliżających się strażników.

— Zwarjował — jak Boga kocham!

Na jakiego śmierzącego psa ja ich będę aresztował? Dokąd ich, durniów, zaprowadzę? I Jankowi poprostu na płacz się zbierało.

— Zobaczysz — rzekł nagle Karol — twardym głosem. A teraz kładź się i śpij, wogóle udawaj głupiego, a jakbym kaszlnął — wal bez pardonu!

— Poci ja mam się kłaść i udawać głupiego — to niech mnie piorun trzaśnie jeśli co rozumiem — mamrotał Janek — wyciągając się na murawie i kładąc rękę na kolbie rewolweru.

— Pamiętaj — rzekł jeszcze, — że jeśli się przeziębę przez twoje idjotyzy, to żebyś nie żałował.

— Śpij — nie gadaj!

— Janek zaczął pochrapywać, i wkrótce posłyszał przeciągający, śpiewny głos z tamtej strony rowu.

— A wy co tu robicie — a?

— Odpoczywamy, panie wachmistrzu — odpowiedział Karol.

— A co wy za jedni, a?

— Z Pepesówki jesteśmy. Pracowaliśmy u Gajberga w tartaku i wracamy do domu

Strażnik myślał, rozmyślał, wreszcie zwrócił się do swego towarzysza:

— Czort ich pobierz, Iwan Pawłowicz — idziem!

— Nie, nie można — odparł tamten i zwrócił się do bojowców:

— A paszporty to u was są?

— Na pierona nam paszporty! Z Pepesówki jesteśmy, każdemu wiadomo.

— O, nie brat ty mój! Z Popsówki, nie z Popsówki, a paszporty powinny być. Chodźcie z nami

— Dokąd?

— Do gminy.

— Kiedy my tam nie mamy żadnego interesu, — opierał się Karol, co zgniewało dobrodusznego strażniczyne.

— Prędzej! — zawołał — zbieraj się jeden z drugim — prosić cię będę!

Karol począł spiesznie budzić śpiącego Janka — Tomek! Tomek! Wstawaj! strażniki wołają do gminy! jak kasznię — szeptał mu po cichu do ucha — jak kasznię — wal temu dziobatemu w łeb. Poczym wstali, przeskoczyli rów i poszli ze strażnikami.

Janek szedł milczący, ponury, mając wciąż baczność na dziobatego. Czasem tylko podnosił głowę i ze zdumieniem spoglądał na Karola, ale ten rozgadał się w najgorsze i zmyślał, a łgał, że Jankowi uszy więdyły, słuchając.

— Dawno już pan na służbie? — pytał starszego strażnika.

— A tobie na co wiedzieć?

— Tak pytam, bo i mnie chcieli „w strażniki wziąć“, kiedym wojenną służbę skończył.

— To wy byli na wojennej służbie? — zainteresował się strażnik.

— Cztery lata, panie wachmistrzu, w artylerji służyłem.

— A gdzie?

— W Kazaniu.

— Moja ojczyzna — westchnął strażnik.

— Tak? — zdziwił się Karol. — Śliczna jest ta pana ojczyzna, a Kazań miasto ogromne! Nie widziałem

nigdzie takiego. Ładne miasto! Pan z samego Kazania?

— Nie. Z Mamadyszkiego powiatu. „derewni“ Maślanice.

— Z Mamadyszkiego powiatu? Byłem, a jakże! Wiele razy tam byłem! Miasto porządne, Żydów niema...

— O, Żyda, to już tam, chwała Bogu, nie zobaczysz, a ziemia poprostu — raj! — rozrzewnił się strażnik i jął rozpowiadać o kazańskiej ziemi, swojej rodzinie, o wodach i lasach.

— Wołgę widzieliście? — zapytał Karola.

— Ho! ho! Wiele razy kąpałem się w niej!

— Strażnika i to rozrzewniło.

— Ot, cudowna rzeka, Boże ty mój! Jedziesz, jedziesz, i przejechać nie możesz; patrzysz, ale oczy u ciebie za krótkie! Das, a ja już pięć lat Wołgi nie widział, ha, cóż? Puśćmy ich Iwanie Pawłowiczu, niech sobie idą.

— Nie można! — odparł tamtem — trzeba protokół napisać.

— Tak, wiecie, służba i to odpowiedzialna służba — tłumaczył się przed Karolem dziobaty.

— Ale nie martwcie się. Ot wioska, to u sołtysa napiszemy protokół i pójdziecie sobie wolno.

Ta zapowiedź wstąpienia do sołtysa ogromnie się Karolowi nie podobała.

— To będzie — pomyślał — ten sam chłop, któremu czapę ze łba zbił i najniepotrzebniej rozgadał się o tych orłach. Źle się stało — do kroćset... Ale nie namyślając się długo, jął strażnikowi przyświadczać:

— Rozumiem, rozumiem. Ja przecież także miałem zostać strażnikiem, a może jeszcze zostanę... Dobry jest wasz naczelnik?

— Dranny człowiek na jedno, ale na drugie — prosto duszał

— A służba ciężka?

O ciężka! Teraz socjaliści różne, czort by ich poobrał, pojawili się niewiadomo skąd?

— Nie słyszeliśmy o takich.

— Och, gołąbku ty mój! Djabły to nie ludzie! Taki socjalista na tysiąc kroków potrafi ci z rewolweru kulę w głowę puścić!

— A jej, jej! — dziwił się Karol.

— A widział pan kiedy takiego?

— Nigdy ja, bracie, socjaliści nie widział i nie daj mi Boże zobaczyć! W Jarocinie nim strażnik szabłą przypasał, to oni i monopol rozbili, i kancelarję gminną rozbili, i na ostatku strażnika Makłakowa

zabili, chociaż takiego „gieroja“ a nie złąkli się.

— No i co? — dopytywał się Karol.

— A nic. Zniknęli potem jak dym.

— Djabelska, uważasz, bracie, sztuka! Taki socjalista może ci się i w psa przemienić, i w koguta, a jak zechce, to będzie fruwał.

— No, no! I nie boi się pan być strażnikiem?

— Tak. Cóż robić?

— Ale kancelarje gminne to powinni teraz pilnować, żeby „takie“ nie rozbijali.

— Pilnuje się. Idziemy właśnie do gminy.

I tylko we dwóch? Jabym się bał. Chyba, że tam jest więcej?

— Niema nikogo, a po drugie wszystko jedno. Jak mają przyjść, to i tak przyjdą, choćby tam cały pułk kozaków stał. Cóż chcesz? dla „takiego“ pułk, to tyle, co dla ciebie kura.

Weszli do wioski i skręcili do chałupy sołtysa. Karol zawahał się.

— Długo to pan będzie ten protokół pisał? bo my nie mamy czasu!

— Niedługo. Napisze się i pójdziecie do domu, a może i do kozy.

— Weszli do chałupy, a po chwili przyszedł ze stodoły i sołtys. Spojrzał na bojowców, chciał coś

rzec, ale tylko pomacał na sukmanie to miejsce, gdzie zwykle wisiała blacha z wyciśniętym orłem i usiadł na ławie.

— Znacie wy, sołtysie, tych ludzi? — zapytał młodszy strażnik.

Karol cichutko odsunął bezpiecznik u rewolweru, a chłopu zahuczało we łbie — akuratnie tak samo jak wtedy, kiedy mu czapka na polu spadała na ziemię.

Namyślał się, jakby wiedział, że życie tych oto dwóch strażników zależy od jego odpowiedzi.

— Powiedzieć? Nie powiedzieć? I patrzył w oczy Karolowi, który w tej chwili żałował, iż parę godzin temu wdał się z chłopem w gawędę.

Upłynęło parę chwil ciężkiego dla obydwu milczenia.

— Nus? — niecierpliwiał się strażnik.

— Tak, niby znam, a niby i nie znam, odpowiedział wreszcie.

— Ot tobie na! — huknął pięścią w stół strażnik.

Karol się uśmiechnął, chłop wstał, a Jankowi wątroba się za złości przewracała.

— Tak znacie, czy nie znacie? — irytował się dziobaty.

— Rzetelnie powiedziawszy, to nie znam.

— No i ładnie — rzekł starszy strażnik — piszemy protokół.

— Jak wasze nazwisko?

— Andrzej Migdolasa — odpowiedział Karol.

— Jak? — zapytał strażnik — Migdo...

— Mig - do - lasa — powtórzył bojowiec.

Poszło potem imię ojca, miejsce zamieszkania, zatrudnienie, skąd wracają i dokąd idą.

A ja myślał, że wy się nazywacie Kozera, złodziej pobytowy — odezwał się dziobaty.

— A nie — zaprzeczył soltys. — Kozere ja znam.

— No, ale oni paszportów także nie mają i protokół napisać trzeba.

— Jak protokół napisać, to i etapem trzeba ich odesłać — dodał drugi strażnik.

— To się 'ich odeśle. Bez paszportów czort wie co oni za jedni. Ty słyszał co mówił naczelnik?

— Słyszał.

— No i „wot“.

— To przecież w kancelarji może pan napisać — odezwał się Karol. — Po cóż tu mamy siedzieć?

— A jak ty, bratku, uciekniesz — w drodze do kancelarji, ha? A tak, to z Ameryki cię sprowadzą i wtedy dla ciebie gorzej! Jak nazwisko? — zwrócił

się do Janka, który nie wiedział, co na to odpowiedzieć i zaambarasowany wielce — spojrzał na Karola.

— On widzi pan ma, tego... w głowie jakoś nie dobrze — powiedział Karol, ratując sytuację.

— Aha, „sumaszedszyj“ — rzekł strażnik.

— Właśnie. Cokolwiek — sumszedszy.

— Jakości on nie wygląda na „sumszedszego“ — zauważył sołtys, który tak się przejął tym, co się odbywało, że zapomniał o przeszłym.

— Ale głupi. Napewno głupi — zapewniał Karol stanowczo, nie zważając na chrząkanie Janka i wściekłe spojrzenia.

— A jakże on się nazywa?

— Józef Jutrodali — odpowiedział Karol.

— Djabelskie jakieś nazwisko, zauważył strażnik.

— Litewskie — odparł Karol.

Janka tymczasem napadł gwałtowny kaszel.

Napisano protokół, ale, dla pewności, chciano bojowcom związać ręce postronkiem. Już i Karol zaczął powątpiewać, czy uda im się obejść bez „awantury“

Wyjął jeszcze portmonetkę z kieszeni i oddał strażnikom.

— Proszę panów. Osiem rubli. Ciężko zapracowane pieniądze, Od nich nie ucieknę, a związanemu

będzie źle iść. Po drugie — służyłem w wojsku i wojenne prawo znam, a wy przecież macie karabiny.

Przekonał ich i poszli niezwiązani. Do kancelarii gminnej było jeszcze trzy kilometry.

Karol, idąc, gwarzył i rozpytywał niewinnie strażników o wszystko, co było mu tylko potrzebne do wiadomości, poczem, wiedząc już wszystko jak należy, nieznacznie rozejrzał się wokoło i zbliżył się do Janka ogłupiałego cokolwiek tą awanturą, zwłaszcza, iż nie wiedział jak się to skończy.

— Uważasz — szeptał mu nad uchem, — Ja tego dziobatego zamaluję w papę, a ty — a ty — odebrałeś od Wojciecha te 40 groszy? dodał głośno. Odebrałem.

— A ty drugiemu przystaw lufę do nosa — to ile masz wszystkiego pieniędzy — bo — tylko nie strzelaj — bo pójdziemy podobno etapem.

— Słyszałeś?!

— Słyszałem.

— No, to — Baczność! I dziobaty strażnik już leżał na ziemi. W jednej sekundzie chwycił Karol jego karabin i wycelował do starszego, który — przeżony i oniemiały struchlałymi oczyma patrzył we dwie wycelowane do siebie lufy.

— Rzuć karabin! — rozkazał Karol.

Strażnik skwapliwie wykonał rozkaz. Tymczasem drugi usiłował zerwać się z ziemi.

— Stój! — zawołał Karol — bo kulą w łeb! Socjaliści jesteście!

Obaj strażnicy, jak na komendę wydała okrzyk przerażenia i padli na kolana:

— Zmiłujcie się!

— Milczeć jak kamienie! huknął Karol i zwrócił się do Janka:

— Jeżeli który palcem ruszy, pał! A sam odłożył oba karabiny, odpasął strażnikom szable, zrewidował kieszenie, poczem kazał im zdejmować płaszcze.

W śmiertelnej trwodze i na gwałt rozbierali się strażnicy. Jeden jęczał, pochlipując, drugi się modlił.

Wtedy bojowcy szybko, jeden po drugim, pozrzucaли swoje kurtki i przywdziali strażnickie unifórmy, przypasali szable, zmienili czapki, a strażnikom kazali wdziewać swoje ubrania.

Gdy już wszystko było gotowe — związali im jeszcze ręce mocnym, konopnym sznurkiem, znalezionym w kieszeni płaszcza i, wzięwszy do rąk karabiny — poprowadzili, ogłupiałych i wylęknionych strażników do urzędu gminy, udzielając im po drodze zbawiennych rad i wskazówek — jak się mają zachowywać. Szczególnie Janek rozvodził się • stra-

szej potędze socjalistów i bojowców, tłumacząc im, co oni mogą zrobić, kiedy chcą i kiedy nie chcą, a na dowód przytaczał im ich samych. Tak przyszli do gminnej kancelarji. Tu pierwszy spotkał ich stróż i zdumiał się, poznawszy starych strażników w cywilnych ubraniach i związanych, ale wytrzeźwił go Karol szturchnąwszy kułakiem w kark.

— Coś japę rozdziawił! Klucz od „kozy“ — cymbale! — wołał z polska po rosyjsku. Po chwili obejrzał kraty żelazne w oknie „kozy“ — sprawdził zamek, poczem popchnął zlekka do środka skołowaciałych strażników, zamknął drzwi na klucz i poszedł do kancelarji, gdzie Janek już rozpatrywał się w sytuacji.

Przyleciał skądś zziąjany pisarz i posłano po wójta — jako, że w ważnej sprawie przyjechali strażniki z powiatu.

— Cóż to za sprawa? — dopytywał się pisarz.

Karol zrobił ogromnie tajemniczą minę.

— Wy nazywacie się Bolesław Jakubowicz Mielarski? — zapytał po rosyjsku.

— Właśnie ja — odparł pisarz i łydki czegoś mu zadrzały.

Karol najpierw obrzucił go badawczem spojrzeniem, potem pokręcił głową w sposób niewiele obiecujący i rzekł:

— Źle z wami.

Pisarz zbladł.

— Jakto? Cóż takiego?

— Przyjdzie wójt, to się dowiecie — odparł Karol niedbale i usiadł na ławie.

Jakoż po chwili wszedł wójt i z progu już wołał:

— Ho! jak widzę, to nowych strażników nam przysłali! Co się stało? Chłapunów już nie będzie? Słyszałem, że go pono aresztowali!

„Zdrastujcie“, mówił dobrotliwie, chcąc się przywitać ze starszym strażnikiem, ale ten tylko wstał i zmierzył go piorunującym spojrzeniem.

— Wy wójt! — wrzasnął na całe gardło.

— No juści wójt — odparł chłop, stropiony tą ostrością strażnika.

— To jak wy spełniacie swój obowiązek? Godzinę już czekam! Jest tu „bumaga“ od naczelnika powiatu mówił Karol — wyjmując z kieszeni papier, na którym był napisany protokół u sołtysa o ich aresztowaniu i czytał:

„Rozkazano starszemu strażnikowi Iwanowi Bojowcow i młodszemu strażnikowi Kuźmie Pepesowcow aresztować pisarza gminy Stodoła, powiatu Koziobrodzkiego — Bolesława Jakubowicza Mietlarskiego

i dostawić do kancelarji naczelnika powiatu. Aresztowanie powinno nastąpić w obecności wójta“.

— Jestem! — odezwał się ten.

— Dobrze — odparł strażnik.

— W tej chwili młodszy strażnik wy dobył szablę z pochwy i stanął obok bladego jak trup pisarza, do którego starszy wystosował taką przemowę: — Jesteście wiec aresztowani i wieǳcie, że ogłoszony jest stan wojenny. Nie zamyślajcie więc uciekać, ani próbować uciekać, ani nie wolno wam z nikim porozumiewać się. Konie dawać! — zwrócił się nagle do wójta. — Uradzono, że pójdą konie pisarza, bo o inne trudno narazie, a po chwili nieszczęśliwy pisarz siedział już na bryczce w towarzystwie młodszego strażnika i uspokajał lamentującą w niebogłósy rodzinę.

Zaś starszy strażnik pozostał jeszcze w kancelarji z wójtem.

— Kazał naczelnik i was aresztować — rzekł — wy tu podobno z niejakiemi socjalistami porozumiewali się?

— O Matko boska! — jęknął chłop. O nijakich ja tu nie słyszał i nie porozumiewał się. Byli tu, co prawda w zeszłym tygodniu jakieś, ale tylko kupili u mnie wieprzaka i pojechali.

— Ot, widzicie — rzekł strażnik. — Znaczy się prawda. Ale ja was aresztować nie będę. A wy zróbcie to, co wam w tym piśmie nakazano — i z tego samego papieru, co przed chwilą o aresztowaniu pisarza — przeczytał wystraszonemu chłopu:

— „Rozkazuje się wójtowi tejże gminy wydać wszystkie blankiety paszportowe — pisane i niepisane — w celu zachowania ich przed źle myślącymi, którzy w ostatnich czasach urządzili cały szereg napadów na gminne kancelarje. A także rozkazuje się wydać starszemu strażnikowi Iwanowi Bojowcow wszystkie gminne pieczęcie“.

Wójt drapał się w głowę i myślał.

— Przysięgałem — jako, że pieczęci nikomu do ręki nie dam — rzekł.

— To nieprzysiężonemu, ale ja przysięgałem dziesięć razy, uspokajał go strażnik.

— Ano juści prawda! — ucieszył się chłop, poczem spakowali paszporty w worek, pieczęcie włożył strażnik do kieszeni, wsiadł na bryczkę i pojechali.

Ujechawszy kilkanaście wiorst, starszy strażnik kazał stanąć.

— Żal mi was, Bolesławie Mietlarski. Możecie wracać do domu.

— A naczelnik?

— Powiem, że nie zastał was. Sprawa pójdzie w zapomnienie, a on teraz nie tego — i może być z wami źle.

Skorzystał pisarz z dobrej rady, wyskoczył z bryczki i uszczęśliwiony wracał do domu.

A strażnik kazał skrócić z drogi i jechać nie do powiatu a do guberni.

Ujehawszy jeszcze parę wiorst — coś sobie nagłe przypomniał i kazał stanąć.

— Słuchaj, te — zwrócił się do furmana. — Jak na ciebie wołają?

— Jacenty.

— Jacenty! Masz tu klucz od „kozy“ — zapomniałem oddać go wójtowi. Dogoń pisarza i oddaj mu. My tu zaczekamy, a jeśli nie — to konie będą w policji.

— Chłopak podrażował za pisarzem, a strażnicy pojechali naprzód.

— I cóż ty na to? — zapytał teraz po polsku starszy strażnik młodszego.

— E, chej! — zawołał ten entuzjastycznie. Wio gniade! Dobre konie ma ten pisarz.

Ano widzisz, rzekł protekcyjnalnie Karól i naraz uderzył dłonią po rękojeści szabli.

— Twu! do pioruna! I co my teraz zrobimy?

— Janek się przestraszył i, sądząc że grozi im blizkie niebezpieczeństwo, jął opatrywać karabin i przygotowywać naboje. Rozejrzał się potem wokoło i rzekł z cicha:

— Nikogo nie widzę.

— Bo i co ty kiedy zobaczysz. Jakże my w tym ubraniu pokażemy się w mieście?

— Aj! Racja. Ale może nam się jakoś uda?

— Spróbujemy. Nie daj Boże tylko spotkać gdzie Olesia. Ta siwa małpa ani chybi — odrazuby do nas strzelał nie pytając o nic.

Pomarkotnieli bojowcy i jechali coraz wolniej.

Mrok już gęsty zalegał ziemię, kiedy bryczka stanęła przed rogatką miasta. Tu strażnicy wysiedli, konie przywiązali do słupa, a sami, wzięwszy worek z paszportami, skęcili w bok i po chwili usiedli nad plantem kolejowym.

— Wszystko dobrze, ale gdzie tu teraz iść i jak? zastanawiał się Karol. Spotka nas byle który bojowiec na ulicy i jak zobaczy, że my bez żołnierzy — strzeli w łeb i cała parada — mówił — bezradnie siedząc na worku z paszportami,

— Aby się tylko do stryjenki dostać — zauważył naiwnie Janek.

— W tem właśnie sęk — odparł Karol.

— A jakbyśmy tak środkiem ulicy poszli? — kombinował Janek. Niktby nas nie zauważył.

— No i dokąd pójdziesz, głupio myślący człowieku?

— Do stryjenki — upierał się Janek.

— Właśnie! A tam akuratnie siedzi ich ze czterech. Progu nie przestąpisz. Pomyślą, że na rewizję i zasypią cię kulami. Choroba dopiero!

Zamyślili się chłopcy, bo istotnie sytuacja była niewygodna.

W tem zauważyli jakiegoś człowieka, który powoli i ostrożnie zbliżał się w ich stronę.

— Trzeba go będzie aresztować — rzekł Karol.

— To jazda! — zawołał Janek, któremu te aresztowania bardzo się podobały. — Ale po co?

— Ściągnie się z niego kapotę, ty się przebie-rzesz i pójdziesz zawiadomić kogo.

Nagle ku niemałemu przerażeniu poznali w owym człowieku swego towarzysza — bojowca Olesia.

— Chowaj się Janek czempredzej — zawołał Karol — bo on nas tak na sucho nie minie!

Przycupnęli obaj co tchu w rowie, aliści było już zapóźno.

Oleś zauważył ich jeszcze wcześniej i zdziwił się nie mało tem, co mogli robić strażnicy na takim odludziu? Chyba jaka zasadzka? I postanowił ich przepędzić.

Ledwie też mniemani strażnicy zdążyli przypaść do ziemi, a już kule zagwizdały im nad uszami.

Karol klął w żywe kamienie, a Janek wołał rozdzierającym duszę głosem:

— Oleś! Oleś! Nie strzelaj! to my Karol i Janek.

Ale krzyki one rozzuchwały tylko widocznie bojowca, bo gruchnął znowuż strzałami jak z kulomiotu.

— Oby cię tam jasne pioruny spaliły! — przeklinał Karol.

— Strzelaj Janek w górę! Może się ten osioł złąknie albo co? do stu...

I naraz poczęły grzmieć ich rewolwery jak opętane!

Przestali. Karol ostrożnie wychylił z rowu głowę.

— No, uciekła siwa małpa, ale też i my zmiatajmy, bo napewno przylecą tu teraz prawdziwi strażnicy.

I nie omylił się, albowiem od miasta doleciał ich głośny łomot nóg końskich.

To kozacy pędzili na miejsce wystrzałów Śpiesznie więc porwali worek z paszportami i udali się w drugą stronę. Okrążyli miasto zdaleka, odeszli z półtorej wiorsty i znowuż usiedli. Bolały ich nogi, dokuczał im głód, ale nadewszystko oburzeni byli na Olesia!

— Warjat ciężki! — złościł się Janek. Wołam: Oles! Oles! a ten idjota kropi jeszcze gorzej. I dokąd jego nieszczęście niosło tamtędy -- ciekawym?

— E, bo mogłeś przynajmniej myśleć o naszych czapkach i ubraniu, irytował się znowuż Karol.

Jak mogłem myśleć, kiedy nie wiedziałem co ty myślisz i wogóle co z tego będzie.

— Takie porządne kurtki — biadał Karol. Szczęście, że te osiem rubli od łotra odebrał, bo i toby przepadło.

— Nagle Jankowi błysnęła szczęśliwa myśl.

— Wiesz, ja mam ciotkę w tych okolicach. Może-
byśmy do niej się dostali co?

— Wszystko jedno. — Ciotka, nie ciotka! Prowadź!

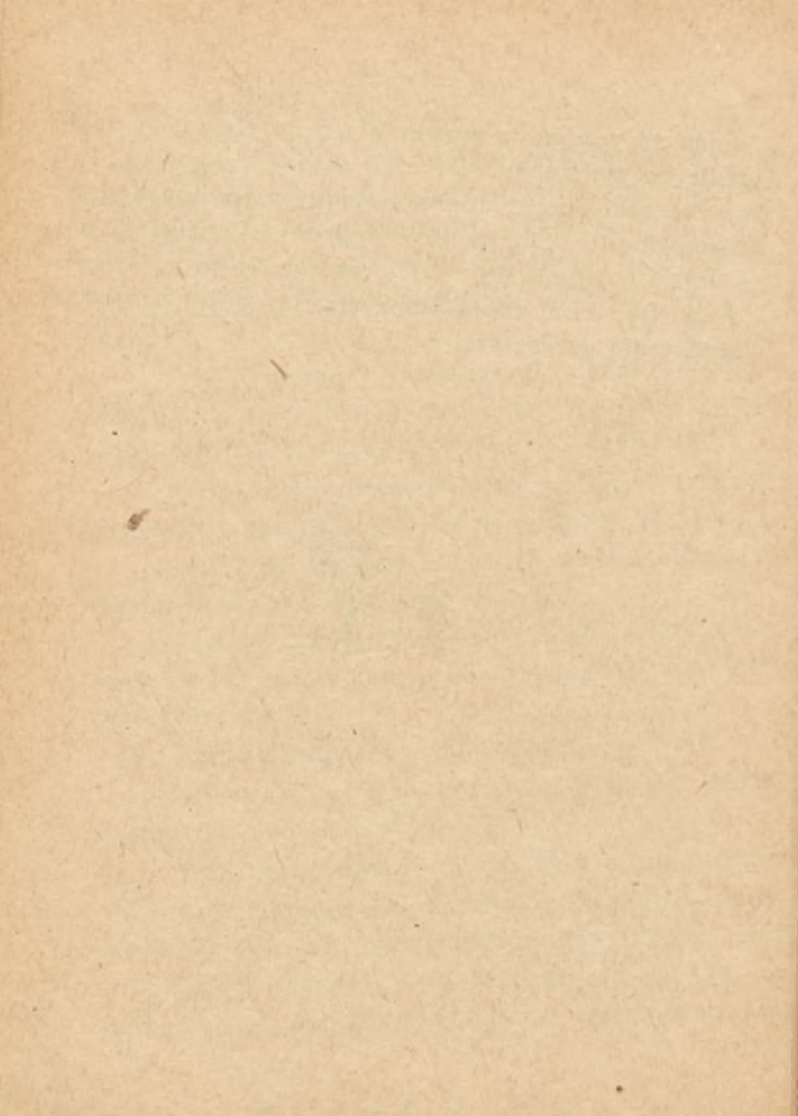
Powoli zaczęli się przekradać przez ogrody, płoty, jakoweś zakamarki przedpiekla do mieszkania ciotki.

Ciotka z początku się przeraziła, ale gdy jej wytłumaczyli po porządku co i jak — rozumie się bla-

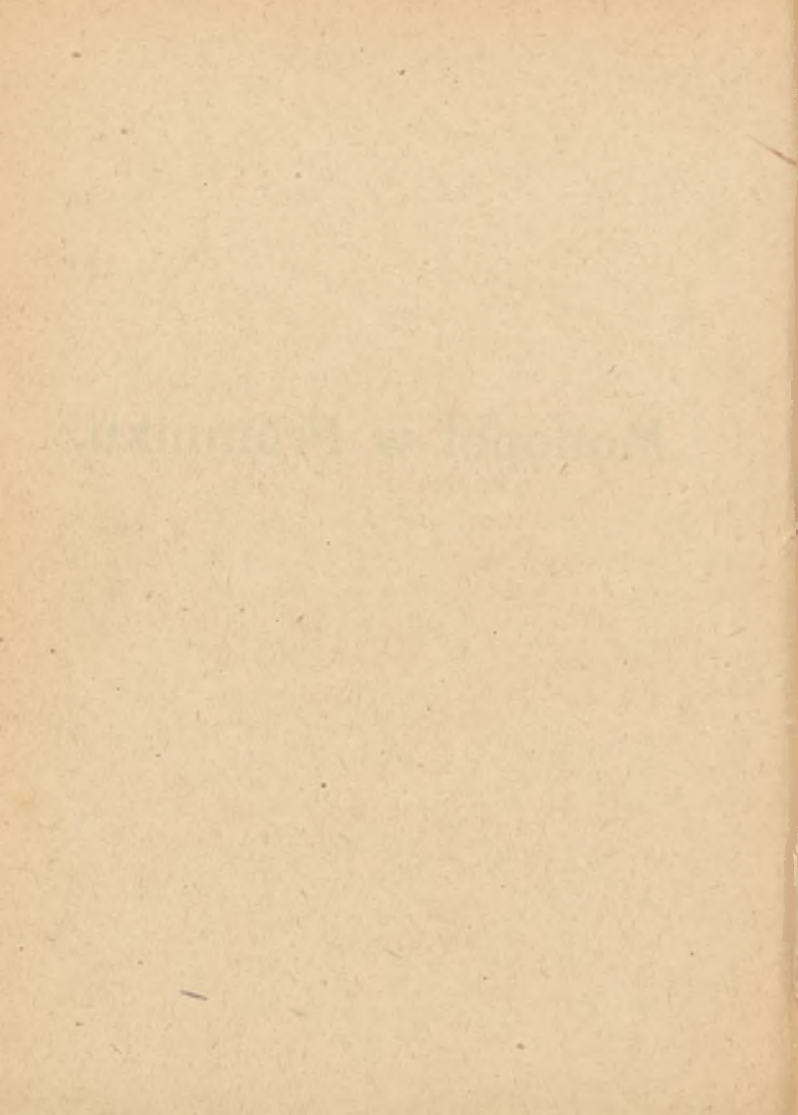
gując na potęgę — zrozumiała o co chodzi i załatwiła co potrzeba.

Na drugi dzień dopiero, ale już w cywilnych ubraniach poszli bojowcy do stryjenki. Podziwiali ich wszyscy i śmiali się z ich przygód. Tylko na Olesia długo byli obaj zagniewani, chociaż on ich bardzo serdecznie przeproszał.





Monopol w Promniku.



Najlepiej jest prowadzić wojnę na koszt nieprzyjaciela.

Zasady tej trzymali się w dzwowie i armje. I u nas podczas rewolucji w 1905 roku, Bojowa Organizacja postanowiła prowadzić walkę z caratem na koszt caratu. Konfiskowano więc pieniądze rządowe gdzie się tylko dało, a w niektórych miejscach po kilka razy z rzędu. Jednym właśnie z takich miejsc, gdzie bojowcy często zaglądali, był monopol w Promniku pod Kielcami.

W końcu bojowcy tak się do tego monopolu przyzwyczaili, że poczęli go uważać za swoją podręczną kasę.

I jeżeli było potrzeba na gwałt pieniędzy, a pożyczyc nie było gdzie, — instruktor zwracał się do bojowców: Lećta no chłopaki do Promnika! I bojowcy szli do Promnika, zabierali pieniądze, w książce kasowej zostawiali pokwitowanie, że tyle to i tyle skonfiskowano, poczem na odchodnym rozbijali jeszcze

wszystkie z wódką butelki i w pół godziny byli z powrotem.

Wtedy do Promnika jechał sędzia śledczy, żandarmerja, kozacy — spisywali protokół i także wracali. W końcu sprzykrzyło im się to — i po pewnym takim odwiedzeniu Promnika przez bojowców — nie pojechali sami, ale posłali 20-tu dragonów.

Dragoni przez tydzień koczowali przed monopolem, ale przez ten czas nikt wódki nie kupował, bo dragoni każdego, kto się jeno zbliżył — obijali bez miłosierdzia.

Cofnięto więc dragonów, a przysłano czterech strażników. Ci nie rozbijali kupujących, ale pili do spółki. Ruch w monopolu był wielki, a przed monopolem wrzawa i krzyki — aż w Kielcach było słychać!

Wezwano więc pewnego wieczoru strażników do Kielc, a monopolu na noc kazano pilnować 20-tu chłopom, uzbrojonym w kłonicę.

Przyszli chłopci — wypili sobie na „śmiałego“ jedną i drugą „czterdziestkę“, poczem pokładli się na murawie i zachrapali na „o la Boga!“

Noc była księżycowa.

Pod monopolem stanęło trzech bojowców i chwilę patrzyli na śpiących chłopów.

— No, widzisz — odezwał się jeden — mówiłeś, że to na harmonji, na basach grają, a to oni tak chrapią.

— E, gospodarze! A wstawajcie, ino żywo!

Rozbudziwszy chłopów, — dwóch weszło do środka, aby „pokwitować“ pieniądze i rozbić butelki z wódką, a trzeci pozostał na dworze i przypatrywał się jak-gdyby trochę zawstydzonym chłopom. Wreszcie aby się trochę rozerwać, rozkazał im wszystkim stanąć w rząd, a sam wyjąwszy notatnik, ołówek i rozłożywszy calówkę, począł wymierzać każdego chłopą od głowy do nóg, póczem pytał o nazwisko i zapisywał w notatniku.

Chłopom ciarki chodziły po krzyżach ze strachu. W ząb bowiem pojąć nie mogli na co to i po co osobliwie ono wymierzanie.

Ośmielił ich dopiero trochę brzęk rozbijanych butelek z wódką. Poczęli cmokać ustami, oblizywać się i po cichu robić uwagi:

— Tera to chyba tego wielkiego „gąsiora“ tak różnili o ziemię.

— A co myślicie! Wszystko muszą wytłuc rzetelnie. Takie mają przykazanie.

— A i nie żal to wielmożnym panom tak ono niebogę po próżnicy na ziem wylewać? — odezwał się jeden głośniej.

— Carska! — odparł wyniośle i z pogardą bojowiec.

— A co tylko carskie, należy bić, tłuc i pardonu nie dawać! Jak się nazywasz?

— Niby ja? Michał Zaruniec. .

— Dwa i osiem — zapisywał bojowiec.

— Co on gadał, bo nie mogłem dokumentnie wyrozumieć? — pytał jakiś stary chłopowina młodszego.

— Powiedział, że cysarsko — niby okowita. A jeśli cysarsko, to „bezpardonno“ nie należy jej pić.

— Mądryś. A jaką będziesz pił, kiej drugiej niema?

— Spytajcie się.

— Tymczasem wyszli bojowcy. Buty mieli mokre, a czoła zroszone potem.

— No, idziemy! — rzekli.

— Zaraz — odezwał się ten, co zapisywał chłopów. Schował calówkę za cholewę od buta, notatnik do kieszeni i pokazując chłopom mauzer, odezwał się w te słowa:

— Czyście widzieli, ludzie, kiedy taką maszynę?

— Nie widzielim.

— Pamiętajcie tedy, że i nas nie widzieliście. I pamiętajcie, że każdy z was jest zapisany i wymierzony. Zrozumieliście moją przemowę?

— Zrozumielim.

— Siedźcie więc tu spokojnie godzinę i 22 i pół minuty, a potem możecie iść do domu.

— Proszę wielmożnych panów...

— A co?

— Bo niby wedle tych minut, to my nie mamy zegarka, ale to nic. Dowiemy się u pani sklepowej, ino co się tyczy onej okowity. Markotno nam tak będzie na sucho siedzieć, a ją i tak bez korzyści święta ziemia wypije...

— Hm, ano — machnął bojowiec ręką. — Możecie ją sobie zabrać, albo wypić, wszystko nam jedno.

— Bądźcie zdrowi.

— Niech Pan Bóg prowadzi.

I bojowcy ruszyli w stronę Kielc, a chłopci hurmem rzucili się do drzwi sklepowych, skąd wydobywał się mdły zapach spirytusu.

Na drugi dzień, skoro świt, rozniosło się po całej wsi, że chłopcy, co poszły pilnować monopolu, roz-

biły go, okowitę wychlały i leżą teraz juści niektóre w rowach, niektóre na polu, a kilku aże zabrnęło w łąki. Widziało im się pewnie, że w tej stronie chałupa.

Wkrótce zjechali strażnicy, zapakowali chłopów na wozy i powieźli do Kielc, do kryminału.

Baby lamentowały i wymyślały na chłopów:

— A czy się powściekały, czy co, żeby aże rozbijać caluteńki „monopol“!

— Pilnować ich posłały — a te pokraki sami rozbili, — o lo Boga, lo Boga!

— Bo i po co to było posyłać? Wiadomo przecie, że tak chłop upilnuje wódkę, jak ladać-dziewucha cnotę.

Ale okazało się, że to nie chłopci rozbili monopol, jeno ci, co zawsze, bo w księżce kasowej pokwitowali:

Chłopów jednak wzięto na badanie. Widzieli ich, więc jak wyglądali, co za jedni, skąd przyszli i dokąd się udali?

Ale chłopci oprócz kilkorga słów — milczeli pozatem jak kamienie.

— Panie naczelniku, zapisany jestem, wymierzony, nic nie mogę mówić.

— Wołaj drugiego!

A ten tak samo: wymierzony, zapisany, nikogo nie widziałem!

Po tygodniu chłopów zwolniono, a monopol kazano zabić deskami na głucho.



C z a t y.



Już od godz. ósmej rano zaczęli schodzić się delegaci fabryk i dzielnic.

Konferencja okręgowa!

Więc każdy ubrany odświętnie; miny mądre i zachowate — słowem: jak przystało na prawdziwych przedstawicieli proletariatu.

Ponieważ nie zeszli się jeszcze wszyscy, więc gawędzono gromadkami o tym i owym, czas sobie skracając. Jedni w pokoju przeznaczonym na obrady, inni w kuchni i tu, wśród dymu z papierosów, śmiano się i żartowano.

— Trzeba się porządnie napalić — później nie dadzą.

— Ech, niema to, jak tym, co tabakę zażywają. W kościele, czy na konferencji — jak tylko takiego drzemka napada — pakuje w nos niuch tabaki i kicha potem, jakby z bata palił. W kościele to się ludzie zaraz żegnają, a na konferencji wołają o głos „w sprawie formalnej“.

— Jak chcecie, ale ja idę po tabakę — zawołał tow. Ludwik — Wrzos pewnie będzie gadał o konspiracji, a jak zacznie, to już wiadomo — nie wytrzymamy.

— I będę gadał. Jakbyście wiedzieli, że będę gadał! — zaperzył się Wrzos. A bo to zachowujeta jaką konspirację? Łazita jak krowy, a szpicle za wami jak cieleta! Jestem pewny, że i dzisiaj niema żadnej pikiety i mogą nas na kryć jak niebożątka jakie.

— To racja. Ale kto zna najlepiej tę dzielnicę?

— Juści Wrzos.

— Wysłać go na czaty.

— Rzeczywiście — wy, Wrzos, najlepiej sprawilibyście czaty.

— Ja!? oburzył się Wrzos. A bo to niema młodych?

— Młody, wiecie, może przegapić, a wy co innego. Przyczem nie gniewajcie się towarzyszu Wrzos, ale z nosa podobni jesteście do tego szpicla, Zygmunta i choćby nawet zwrócili na was uwagę, to pomyślą, że „swój“ i basta.

— No i patrzcie się! — zawołał Ludwik, stały oponent Wrzosa. — Często ja myślałem na co temu Wrzosowi przydać się może takie wielkie niuchadło,

a oto przynieść ono może wielkie usługi nawet naszej organizacji.

— Wogóle byłeś zawsze głupi — odpalił Wrzos.

— Dajcie spokój, — mitygowali inni. — Żarty żartami, ale czaty postawić trzeba.

— Kto najlepiej zna tę dzielnicę?

— Wrzos!

— Więc jakże zwrócono się do Wrzosa.

— Ano, pójdę. Zawsze będę pewniejszy, aniżeli by tam kto inny stał.

Po chwili rozpoczęto obrady, a tow. Wrzos poszedł na czaty.

Ponieważ na konferencji miano rozpatrywać ważne sprawy, przeto i bojowcy wysłali na nią swoich delegatów. Ale ci, przezornie, aby dać możliwość konferencji spokojnego obradowania i zabezpieczyć od wszelkiego wypaku — wysłali „szóstkę“, która otrzymała rozkaz dawać baczenie na dom, w którym odbywało się zebranie i na sąsiednie ulice. „Wiara“ opatrzyła broń i urządziła sobie punkt zborny na tej samej ulicy, w mieszkaniu konspiracyjnym, skąd dwójkami, na zmianę, wychodzono na wartę.

Po pewnym czasie, jeden z patrolujących, powrócił i oznajmił „starszemu“ „szóstki“, że jakieś ciemne indywiduum, w czarnym kapeluszu na gło-

wie i z dużym czerwonym nosem kręci się około domu Nr. 42.

Starszy szóstki poszedł sam, ażeby rzecz zbadać na miejscu.

Istotnie. Jakiś drab wałęsał się około pilnowanego domu. Zachodził w bramy, odczytywał szyldy, zaglądał przez parkany — słowem zachowywał się tak, jakby coś wypatrywał.

Starszy szóstki wrócił ogromnie zaambarasowany. Nie miał pewności, że to szpicel, ale ogromne co do tego podejrzenie.

Bojowcy zaczęli się naradzać.

— Jak Boga kocham szpicel! — wołał Oleś, zapalony i jak iskra żywy młodzieniec o jasnych włosach.

— No, nie wiadomo — rzekł Leon, który się zawsze „na zimno“ i z rozwagą zabierał do roboty.

— To, po pioruna kręciłby się tu, jeżeli nie szpicel? — wołał Oleś.

— Może mieć jakiś interes.

— O, interes, to on ma, tylko nie wiadomo, jaki?

— O to właśnie idzie.

— A ja mówię, że na wszelki wypadek kropnąć drania i...

— Zwarjowałeś! To każdemu, kto przejdzie koło tego domu mam strzelać w łeb, co?

— Głupstwo, rzekł starszy szóstki. — Sypcie no, Oleś, po towarzyszkę Wandę, a wy, Leon wyjdźcie i trzymajcie się blisko niego, zaś w razie ostatecznym gdyby wołał policję — palcie w łeb!

— Józef i Walek pójdą na róg do Andrzeja — gdyby „szli“, to wyjdziecie i zatrzymacie „ich“ w drodze. Weźcie z sobą mauzery.

Bojowcy rozeszli się na stanowiska.

Wrzos tymczasem chodził sobie jakiś czas spokojnie.

Na ulicy było cicho. Czerwone słońko wzbijało się coraz wyżej, rozlewając po dachach, ulicach i ogrodach światło i ciepło, budząc w sercu radość i wesele.

Towarzysz Wrzos stanął w bramie i rokoszował się ciepłem słonecznych promieni. Przypomniawszy sobie, że obiecywał dzieciakom i żonie pójść dziś do lasu, no, ale obowiązek rzecz święta. Nachodzą się jeszcze, jak będzie ustrój socjalistyczny, a póki co, to trzeba walczyć — rozmyślał. — Uciemienie teraz na robotników przyszło okrutne.

— O czym oni tam gadają? — myślał dalej, — wspomniawszy konferencję. — Sprawozdanie z dziel-

nic już pewnie skończyli, teraz na „porządku dziennym” „prasa”. — Psiakrew, Ludwik tam pewnie warcholi, że to mnie akuratnie niema.

Westchnął, żal mu trochę było, iż nie może brać udziału w obradach, ale trudno, i tu musi ktoś być. Poczem jął znowu spacerować po ulicy w tę i ową stronę.

Naraz zauważył, że jakiś młody człowiek parę razy go już wyminął, za każdym razem baczenie mu się przyglądając.

Wrzosa „coś tknęło”. Szpicel, nie szpicel? medytował bezradnie.

Zawrócił i znowuż zobaczył tego samego młodzieńca, jak kroczył pomalutku, pogwizdując z cicha.

— Choroba dopiero! — pomyślał Wrzos. — Jakby tu zawiadomić tamtych, aby póki czas umykali.

— Tymczasem zbliżył się tamten i poprosił grzecznie Wrzosa o ogień.

Drżącemi rękoma wydobył Wrzos zapalniczki i podał mu.

— Ładny dzień mamy, co? — rzekł młody człowiek, — zaciągając się dymem.

— A tak, niczego sobie, akuratnie... odparł Wrzos, z podejba przypatrując się nieznanemu.

— Na kogo pan tu czeka? — zapytał go ten.

— A tak... tego... Akuratnie na swego kumotra. Mieliśmy się spotkać i pójść w jedno miejsce dom kupować.

Młody człowiek zmierzył go wzrokiem od stóp do głowy — nie zdawało mu się to być prawdą.

— Duży dom, mały? — indagował Wrzosa.

— Małą chałupinkę, akuratnie, na Wygwizdowie aże...

— Żebyś pękł, hyclu jeden. Jak ja ich zawiadomię, jak ja ich zawiadomię — myślał strapiony srodze Wrzos.

— Pan też kogo wyczekuje? -- zapytał z kolei.

— Właśnie. Czekam na swoją kobitę.

— To pan żonaty?

— E, nie.

— Aha, narzeczona?

— Tak, ale nie widać jej...

Wrzos odetchnął. No, to nie jest jeszcze tak źle, jak mi się zdawało — rozważał. — Dobrze, żem ich nie alarmował bez potrzeby. Niech tam obradują jak ukrócić to uciemięzenie.

Szli jakiś czas w milczeniu, Młody człowiek ostrożnie, z pod oka obsewując swego towarzysza, Wrzos uspokojony już zupełnie, kombinował, czy by nie skorzystać z okazji i nie zaagitować młodego cło-

wieka. Zdrowy chłop. Akuratnie przydałby się do bojówki.

— Nie warto się teraz, panie żenić — zagadnął wreszcie.

— A to dlaczego?

— Tak, panie. Akuratnie nie wiadomo, co może być w krótkim czasie. Naród się teraz, akuratnie dźwiga, chce swobody, ciężko tak żyć dłużej. Na przykład wojsko. Wezmą pana od ojca, matki, z rodzzonego kraju — pogonią na drugi koniec świata i... Naraz urwał, bo go znowuż coś „tknęło“. Przed chwilą bowiem przeszło obok nich dwóch młodych ludzi, teraz wracali z powrotem.

— Nieczysta jakaś sprawa — pomyślał Wrzos.

— Tymczasem Oleś sprowadził towarzyszkę Wandę, i kiedy jej wyłożono o co chodzi — poszła go obejrzeć.

— Zygmunt — rzekła, wróciwszy z „ogłędzin“.

— Nie mylicie się? — zapytał starszy szóstki.

— Skąd znowuż! Taki sam nos, tylko inny kapelusz włożył.

— Dla konspiracji — zawołał Oleś — oni też — zmieniają kapelusze.

— Nic to, rzekł starszy. Leon już go z pazurów nie wypuści. Zresztą, on widocznie nic jeszcze nie

wie. Należy go więc sprzątnąć pocichu, aby zebrania dla głupiego szpicla nie przerywać.

— Ale jak ja odrazu poznałem, że to szpicell! Ho, ho! już ja mam oko! chwalił się Oleś.

— Oleś! zawołał „starszy“. Zluzujcie Leona. Tylko gorączkę schowajcie do kieszeni!

— Rozumiem.

— No, jakże? zapytał „starszy“ Leona, gdy ten zjawił się w mieszkaniu.

— Okropnie jakaś głupia fujara.

— Ale Wanda go widziała i mówi, że to Zygmunt.

— Zygmunt? Nie wiem. Próbował mnie agitować.

— Ho! ho! Taki on gorliwy! — śmiał się „starszy“.

— A jak myślicie — wie on o konferencji, czy nie?

— Zdaje się, że nie wie.

— To dobrze. Chciałem się właśnie z wami poradzić, jakby go tu... wiecie — po cichu.

— Hm, sztyletem?

— E, nie. Ale czyby nie można go tak zwabić do mieszkania.

— Świetna myśl! zapalił się Leon. Wybadaćby go nawet można, co tam jeszcze za ptaszki są — tylko, że on zdaje się na tyle głupi nie jest.

— Byle go tylko pod bramę sprowadzić — mówił starszy szóstki — huknąłbym go lekko pięścią w łeb, aby hałasu nie robił i basta.

— E, jeżeli tak, to go sprowadzę. Powiedziałem mu właśnie, że idę do kobiety, bo nie mogłem się jej doczekać.

— Sypcie więc.

Wrzosa tymczasem ogromnie zaniepokoił młody ładny blondynek, który, przechodząc, przeszył go piorunującym wzrokiem, potem zawrócił i patrzył w górę — po dachach.

— Ten „Siwy“ to już napewno szpicel — pomyślał Wrzos. Że to waś choroba akuratnie nie może wytłuc — zaklął i postanowił, chociażby nawet w oczach szpicla wejść do domu i zawiadomić tamtych, aby „zmiotali“, atoli w tej chwili nadszedł Leon.

— Niema jeszcze pańskiego kumotra?

— A niema. Musiało mu się akurat coś innego przytrafić.

— A ja targowałem zegarek, tam w bramie. Ładny, ale boję się kupić, bo może od złodzieja i potym kłopot. Gdyby tak przy świadku tobym kupił. Może pan pozwoli, niedaleko — do bramy.

Wrzos się obejrzał „Siwy“ stał opodal i przyglądał się wystawionym w oknie krawatom.

— Pójdę — pomyślał Wrzos. Może tamtego przez ten czas nieszczęście gdzie poniesie. Szkoda tak od razu rozkonspirować chałupę.

Był już prawie w bramie, ale zakorciło go obejrzeć się.

— „Siwy“ rwał w stronę miasta, w Wrzosa coś „tknęło“, że po policję.

Nie chciał już wejść do bramy, jeno zawrócił i już zrobił krok naprzód, gdy wtem huknął go ktoś, wcale nie lekko, w głowę, porwały go potym czyjeś silne ramiona w pół i uniosły. Otworzył Wrzos gębę do krzyku, ale wepchnięto mu wnet jakiś gałgan w usta i, wystraczonego, ledwie mogącego jako tako oddychać, — wniesiono do mieszkania.

Tu, obrewidowano mu naprzód starannie wszystkie kieszenie — dziwiąc się niezmiernie, że ani kawałka „maszyny“ nie miał przy sobie; skrępowano ręce postronkiem, od wszelkiego wypadku i, na pół umarłego ze strachu, położono na ławie — wyjmując z ust gałgan.

Towarzysz Wrzos był tak przerażony tem nagłym porwaniem go, że ledwo śmiał oddychać i wierzyć, iż jeszcze żyje. Był trochę ogłuszony i w prawem uchu dzwoniło mu jak na roraty. Leżał więc z zamkniętymi oczami i rozmyślał nad tem, co się stało.

Zaciekawiło go wreszcie zobaczyć, gdzie się znajduje. Otworzył oczy i struchlał.

Nad nim stał „Siwy“ i ze złośliwym uśmiechem przyglądał mu się.

Wrzos nie wątpił teraz, że porwali go szpicle, aby mózdz spokojnie ogarnąć tamtych.

— E! niech się przebudzi! targał go za ramię „Siwy“, używając nieokreślonego sposobu mówienia.

— Oj, jęknął Wrzos, udając osłabionego, lękał się bowiem aby go jeszcze lepiej nie ogrzmocili.

— Dajcie mu wody — rzek Michał — starszy szóstki.

— E! niech wstanie! do pioruna, woda jest, niech się napije! wołał Oleś.

Wrzos dzwignął się, wypił wodę i oddawszy kubek „Siwemu“, spojrział ukradkiem na izbę.

Przy stole siedział już mu znajomy młody człowiek i jeszcze jakiś drab wysoki i dziobaty. Na stole zaś leżały dwa browningi i mauzer.

— Zginałem — pomyślał Wrzos.

Bojowcy zaś byli ogromnie zadowoleni.

Ćmiąc papierosy — przyglądali się Wrzosowi z uciechą i jakby rzewnością, jak psotni malcy chra-
bąszczowi, przywiązanemu do nitki.

— Napijesz się pan herbaty? — zwrócił się starszy do Wrzosa.

Wrzos pokręcił głową na znak przeczenia.

— Zróbcie, Leon herbaty, rzekł mimo to Michał. Napijemy się i my.

Wkrótce bojowcy wzięli się do jedzenia. Dał się w końcu i Wrzos namówić, bo pora była poobiednia i jeść mu się chciało bardzo.

— Nic przecież nie zaszkodzi -- myślał — wypić szklanek herbaty. Będę zaraz przytomniejszy i nie dam się tak łatwo podeść.

Gdy już podjedli, zapalił Oleś papierosa i, śmiejąc się, zwrócił się do Wrzosa.

— No i cóż, panie szpicel? W konferencję piorn strzelił! Nie dla psa kiełbasa!

— Zdechnij, podlec! — mruknął Wrzos i jednocześnie zrobiło mu się gorąco.

To znaczy, że o konferencji wiedzą i wszystkich zabiorą, a może już zabrali.

Sprawił czaty, niema co! Miał do siebie teraz żal, że nie uwiadomił ich póki jeszcze był czas.

— Tak, tak, zaczął „starszy“, tym razem nie powiodło się wam. I teraz już będzie coraz gorzej. A dla was, to już nawet wszystko jedno.

— Nie wszystko jedno, odparł Wrzos, bo ja do gubernatora skargę napiszę.

— Skargę? Do gubernatora?! O Jezu! Ratujcie mię ludzie, bõ umrę ze śmiechu! wykrzyknął Oleś. Nie będziesz, bratku, potrzebował pisać; zobaczysz się niedługo osobiscie, jeno nie z gubernatorem.

— Nie mieliśta nijakiego prawa porywać mię z ulicy — obstawał przy swoim Wrzos.

— Frawa!! Ha! ha! ha! Oj, zdechnę ze śmiechu — wołał Oleś. Wogóle bojowcy byli nadzwyczaj rozbawieni,

— No, prawo prawem; później będziesz nas człowieku, do sądu podawał, a teraz powiedz nam, kto tam jeszcze więcej u was jest i jak się nazywają.

— Będą mnie pewno grzmocili — pomyślał Wrzos.

— Skrupułów przecie żadnych nie powinniście mieć, wszak nie dla idei służycie, mówił „starszy“.

— Uu, ale wyśta okropne ideowce — pomyślał Wrzos i milczał.

— No, cóż, nie powiecie? — dopytywał się Michał.

— Nic nie wiem — odparł Wrzos.

— Nie, ja nie wytrzymam — zawołał Oleś. — Świętego by djabli brali gdyby patrzył na takiego szpicla!

— Słuchajcie, człowieku, — zaczął znowuż Michał.

— Nie jestem ksiądz, ani agitator, abym takiego

jak wy, drania, na dobrą drogę nawracał. Jechał cię sęk, ale możebyś nam coś niecoś powiedział?

— Nic nie wiem, nikogo nieznam i nie widziałem — odczepa się odemnie! wybuchnął Wrzos, bo go już to zgniewało.

— Trzaśnie mię piorun, jak Boga kocham! — wołał rozgorączkowany Oleś.

— Już ją się postaram, aby cię trzaśł — postanawiał Wrzos w duchu. — Chyba byśta mnie nie wypuścili.

Ogromnie w sercu swoim znieawidził tego „Siwego“.

Tymczasem doszła wieść i na konferencję, że bojowcy złapali żywego szpicla i trzymają w ukryciu. Zaraz też wybrało się kilku, aby onego zobaczyć.

.

— Pijcie, towarzyszu Wrzos — mówił starszy szóstki. — Pijcie i nie gniewajcie się na nas.

— Jaby się miał gniewać? wołał rozczulonym głosem Wrzos.

— Bracia moi! Bojowce kochane!

— Naprzeciwko! Jestem kontenty, bo jeśli mnie daliście radę, to i pierońskiemu caratowi data radę!

Późnym wieczorem i trochę chwiejnym krokiem powracał Wrzos do domu.

W domu powitała go żona stroskana wielce, lecz widząc, że Wrzos, aczkolwiek do łóżka zmierza, ale do komina zawraca — wybuchnęła gniewem.

— To tak! To mnie, podlec, cyganisz, że na zebranie, a ty się po karczmach włóczysz?

— Daj spokój, matka — mówił Wrzos, życzliwie się doń uśmiechając — ja już dziś tego... jedną nogą bytem na tamtym świecie.

— Chyba djabeł cię tam prowadził!

— A, gdzie tam, djabeł. Nasze.., tego... nasze kochane bojowcy.

— Idź spać, głupi. Upiłeś się i będziesz mi tu bajdy opowiadał.

— Bajdy! To wcale nie bajdy! Powiadam ci, jenom sapnął i już leżę związany jak baran! Zuchy

psiachmać, chłopaki! — W carata teraz napewno pioron trzaśnie!

Pokładli się spać. Ona usnęła, ale Wrzos długo w noc rozwodził się i opowiadał jej o wielkiej odwadze i talentach bojowców.

Tylko bojowcy, zdaje się, ze względów konspiracyjnych, nikomu nie wspominali o tym wypadku.



Dwa śluby.

Potykając się o wystające z ziemi korzenie i wpadając w jamy i wykroty karczowiska — zmierzzał Marek powoli ku wyniosłemu wzgórzcu, na którym usypany był dużych rozmiarów kurhan. Ktoś, kiedyś z pobudek niewiadomych — wystawił na onym kurhanie murowany słup z żelaznym krzyżem na wierzchu. Kiedyś to miejsce otaczał potężny las a potrącany gałązkami metalowy krzyż — wydawał dziwny jęk, który czepiając się liści i gałązek — obiegał bór — niby dźwięk trąbki powstańczej, budząc echa leśne i polskiej duszy sen na mogiłach.

Obecnie sterczały tu jeno gdzieniebądź szerokie pniaki dębów, sosen i buków, niby pomniki bujnego ongiś życia, walk i radości, które z rozgwarem przelewały się pomiędzy ich konarami.

Pomrukiwał tu kiedyś niedźwiedź szary, zawodziły wilki przeciągłym wyciem w chórze zwierzęcym pierwsze klarnety, a oblepione żywicą dziki — trzaskliwym rechotaniem straszły młode lisięta i bor-

suki. Zaś u wierzchołków drzew płynęło rozgłośnie życie skrzydlatych mieszkańców boru, a jeszcze wyżej, ponad szczytami wyniosłych sosen, w promieniach słońca złotego — zataczał kręgi szerokie zbój nieuchwytny — wielki półorlik i, już to, jak piorun ciskał się w gąszcza i krzewy, aby czyjś łep rozwalić i czyjeś poszarpać serce, albo syt krwi i rozboju — zniknął za obłokami.

I wówczas jeszcze radośniej i rozgłośniej dyszała pierś starego boru.

— Tak to ongiś, przed laty musiał wyglądać bór ten, myślał Marek — siedząc na kurhanie i poglądając w dal siną, mgłami zatumanioną.

I przychodzili ludzie — myślał dalej — i patrząc na bór ten — mówili: „nie było nas, a był ten las — nie stanie nas, a będzie las“. I oto po pustym polu uganiania tylko wiatr, potykając się o wystające pniaki. Lecz tego lasu nie bronił dzik, ani wilk, ani, kąpiący się we krwi i słońcu okrutny jastrząb, a złych urządzeń świata strzegą jak oka w głowie „dobrzy“ i „zacni“ ludzie. I w pośród praw tych i urządzeń, dobrze się żyje „dobrym“ ludziom jak dzikim zwierzętom w gęstej i srogiej puszczy.

Odwrócił Marek głowę i spojrzął na wijącą się wstęgę drożyny w pole wybiegającej.

— Rocznicą dzisiaj -- szepnął. Tą drogą powinni byli obaj przyjść — Konrad i Paweł. Tak sobie przecież przyrzekli: „Gdziekolwiek będzie który z nas — w rocznicę dnia dzisiejszego, stawi się na tym miejscu, aby zdać sprawę z czynów swych“. Bowiem z tego miejsca i od dnia tego postanowili „bryłę świata na nowe tory pchnąć“!

— Nie zawierajmy ślubów na mogile, — rzekł wówczas Paweł, — bo nam śmierć stułą ręce zwiąże.

— Z mogił wyrasta życie, które jest czynem, — odparł Konrad, — a groby ojców naszych -- to alarmowe dzwony.

— Winniśmy kroczyć naprzód wpatrzeni w słońce życia, a nie oglądać się wstecz na groby, jeśli nie chcemy aby nam dusza skamieniała jak żona Lota — dowodził paweł. Słuchajmy głosu żywych, a nie umarłych!

-- Głos żywych -- mówił Konrad -- ma być rozkazem, a głos mogił pobudką do czynu. Życie niech będzie nam natchnieniem, a groby ojców doświadczeniem. pierwsze niech nam da ramion siłę i ducha moc, a o groby ojców wyostrzyć mamy rozum nasz i mieczel!

— Lecz przyjdą inni i o groby te poostrzą brzytwy, aby poderżnąć niemi nasze gardła — rzekł Paweł.

— O, bracia, — zawołał Konrad — nie zmoże nas skryty ni jawny wróg, bo w pancerz miłości i prawdy zakuta będzie nasza pierś!

Na to wstał Paweł, i rzekł: Ruszajmy tedy w drogę, już czas.

— Czas — dodał Konrad — lecz czy będziemy razem, czy nas rozdzieli potrzeba — nie życzymy sobie łatwego zwycięstwa, ni lekkiej pracy. Szczęśliwy z nas ten, kto największe trudy zmoże — i choć mu od pracy zgarbi się krzyż i strugi potu wyłobią bruzdy na twarzy, a serce z bólów i mąk potrzaska jak owoc dojrzały — to będzie właśnie dowód, iż śluby swe wypełnił — ten między nami bohaterem, temu najwyższa cześć!

— Ten między nami bohaterem, temu najwyższa cześć! — powtórzyli wszyscy trzej i uściskawszy sobie dłonie — rozeszli się w różne strony.

Dzisiaj rocznica. Dnia tego mieli się tutaj zejść, aby zdać sprawę z czynów swych i nowe sposoby walki obmyśleć. I oczy Marka znowuż wybiegły w pole wijącą się wstęgą drożyny.

— Tą drogą powinni byli obaj przyjść — ale nie przyjdzie żaden.

Nie przyjdzie Konrad ani Paweł. Jednemu przebił pierś bagnetem żołdak cudzy, drugi zawisł na szubienicy. Ich pragnienia i przysięgi rozwiął wiatr po polskiej ziemi; a jakiż plon wyda ich śmierć ofiarna, jaki plon wyda? Porwali się, by zdobyć prawa człowieka i z dobrej woli wybrali drogę najtrudniejszą. Chcieli z poszumu igieł sosnowych, z pobrzęku kłosów złotych, z barw i zapachów kwiecia majowego i z jasnych promieni słońca spleść uśmiech szczęścia i człowiekowi ozdobić nim usta. Niema ich. Szelmstwo nadał szczyrzy na świat zęby, a okutana strachem nędza jęczy pod ławą.

— Daremny trud, daremny trud! I serce Marka zamarło z przerażenia.

Z poza skłębionych, szarawych chmur popatrywało na niego blade, jesienne słońce. Wiatr toczył harce po cmentarzysku dawnego boru, a z pobliskiej wioski, z wieży kościoła dolatywał głos sygnaturki:

— „Tak było, tak będzie, tak było, tak będzie“...

— I pocóż ja się tu przywlokłem? — szeptał do siebie Marek. Skąd we mnie to zwidzenie duszy, iż ich zastanę tu obydwu, że na mnie tu czekają, że coś ważnego powiedzą? A może to ich duchy buntownicze, spokoju nie znające, podszeptem swoim przywiodły mię w to miejsce, abym na stoście kości ojców, raz jeszcze złożył przysięgę Prawdzie i Wolności? Tedy ślubuję tobie nędzo polska w strach niewolniczy okutana — iż zerwę z ciebie te łańcuchy i naga, zębami dzwoniącą — pchnę w otchłań buntu aż rozbłyśniesz ogniem świętego bohaterstwa! — Tedy ślubuję tobie ziemio moja, nazwana „ziemią krzyżów i mogił“ — iż ogniem i żelazem rozwalę twe mogiły, wywrócę krzyże jęczące aż z piersi twej — krwią przesyconej wyrwę bojowy okrzyk zwycięstwa! — A jeślibym przedtem zapragnął szczęścia i spokoju — niechaj mi śmierć ręce stułą zwiąże!

Późnym wieczorem zastukał Marek w okienko pochylonej, na kształt starej wierzby, chaty, stojącej na skraju wsi.

— Kto tam? — ozwał się z wnętrza męski głos.

— Ja, Marek.

— Aa! Zapalno Jagna światło!

Otworzył wkrótce drzwi, z drewnianej zasuw, chłop rosły, barczysty z ostrzyżonemi włosami podług panującej, w tym powiecie mody.

— Witajcież! — zawołał uradowany, bo jużciż dobre — nie złe — prowadzi was w nasze strony.

Weszli do mieszkania. Na łóżku, z którego tu i owdzie wyzierały wiechcie słomy — leżała młoda kobieta, przykryta do połowy mężowską sukmaną. Obok niej, przytulonych do siebie, jak kocięta, spało troje dzieci. W drugim rogu izby wbite były w ziemię cztery kołki połączone z sobą wąskimi tarcicami, na których ułożone deski z garścią słomy wyobrażały drugie łóżko, na tyle wygodne, że można je było rozszerzać do nieskończoności!

W innym kącie stała szafczyna, sprzęt, którego pochodzenie ginęło w pomroce dziejów rodu samego gospodarza. Obok szafki sterczał szaflik z niepomiernie długimi uszami, tudzież miotła, dyskretnie, acz bezskutecznie zasłaniająca przeolbrzymią kupę śmieci. Na nalepie stało kilka osmolonych garnków, a obok, na wbitych w ścianę gwoździach wisiały chusty, odświeżne tadrachy, pośród których połyskiwała jak góra — barankowa czapa — przedmiot podziwu i nieopisango zachwyty małego Warzka. Chłopak jak tylko znalazł sposobną chwilę

— strącał ją kijem z gwoźdźcia, oglądał, rozpatrywał i z rozrzewnieniem gładził delikatny baranek. Skoro ją jednak włożył na głowę, ogarniała go ciemność nieprzebita, co wprowadzało go w najwyższy zachwyt i zakłopotanie.

Wprowadziwszy Marka do mieszkania — zaczął gospodarz na gwałt budzić żonę i dzieci.

— Na co, poco? — zaprotestował Marek.

— Ano, niech wstają przywitać się — dawno was przecie nie widzieli!

— Dajcie im spokój! Siadajcie i opowiadajcie jak stoi sprawa?

— Prawdę rzekłszy to ja tylko coś nie coś, jeno Michał...

— Aha — Michał... Ale najpierw — co u was słychać?

— Po staremu. Klepie się biedę — nikiem kose, ale twardo jucha...

— Pracujecie gdzie?

— Juści, najołem się do sypania kopców przy burakach, ale ktoś im, niby rządcy naszczekał, że ja jestem socjalista i z roboty me wygonili.

Dopiero na drugi dzień przyszedł, hań do mnie karbowy, i pyta się, co to jest, niby ten socjalizm?

Takiś? myślę sobie — a to, powiadam — socjalizm chce panów wygonić, a grunt rozdać „dworskim“

— „No to sprawiedliwie chcel!“ — powiada on, a wy, Janie — powiada — przychodźcie do roboty. Rządcy się powie, że to baje i koniec.

— To poszedłem i robię. Na onego karbowego gadają ludzie różnie, ale mnie się widzi — chłop sprawiedliwy i możnaby go wtajemniczyć.

-- A cóż na to Michał?

— Michał się nie zgadza i mówi, że to drań.

-- To słuchajcie Michała, bo ten karbowy może nam tylko sprowadzić biedę. A cóż robi Michał?

— Jeździ, według waszego przykazania, chociaż stary Zagrodzki, niby jego ojciec — wojnę z nim ciągiem prowadzi.

-- Otrzymaliście jakie paczki?

— Nie otrzymalim nic.

— Hm, to źle. Ale chodźmy spać. Co nam jutro przyniesie — zobaczymy.

Na drugi dzień zebrało się w chacie Jana kilku-nastu parobczaków i gospodarzy. Oczekiwano jeszcze na kilku, co mieli przyjść z dalsza, gdy wtem wpadła siostra Michała z wieścią, że przyjechali do wsi strażnicy, wzięli z sobą sołtysa i idą tutaj.

Wszyscy naraz rzucili się do drzwi, ale Michał zatarasował sobą wyjście.

-- Stać, psiekrwie! — zawołał — bo łby porozbijam! Najpierw wyjdzie Marek. Nas — jak zastaną samych — nic nie zrobią!

Marek przez chwilę się zawahał, lecz po namyśle wyszedł, atoli było już zapóźno.

Chata Jana oddalona była od wsi spory kawałek drogi, na prawo ciągnęły się pola, a w lewo od gościńca, tuż obok chałupiny, biegła dróżka do młyna, który terkotał na uboczu, niby stary pokutnik pacierze.

Poza nim usypana grobla oddzielała gęsto porośnięty trzciną i sitowiem staw od rzeki. Z czasem jednak woda przerwała groblę, z naprawą zaś nikt się nie śpieszył i tak pozostało.

Marek, wyszedłszy z mieszkania, spotkał się oko w oko ze strażnikami. Nie mieszkając tedy skoczył w bok, poza chałupę i popędził w stronę młyna. Strażnicy rzucili się za nim, ale długie szynele utrudniały im pogoń. Zaczęli strzelać.

Marek tymczasem dopadł do młyna, okrążył go i popędził groblą pomiędzy stawem i rzeką. Naraz

stał. U stóp jego rozlana szeroko połyskiwała spokojna toń jeziora.

Gładka i zwierciadlana jego powierzchnia, odbijając w sobie światło księżyca — swą tajemniczością — wzbudziła w duszy Marka jeszcze większe przygnębienie.

Usiadł. Wydobył rewolwer i powoli odsuwał bezpiecznik. Tymczasem strażnicy pokazali się na grobli, a Markowi błysnęła myśl, aby ukryć się w trzcini i — jednocześnie zsunął się cicho z brzegu do wody. Ogarnęło go naraz dziwne upokorzenie i wstręt do samego siebie.

Woda w tem miejscu sięgała mu do ramion.

Zaś strażnicy, nie widząc nikogo na grobli, przeszukali młyn: zaglądali w skrzynie, pod koła, macali worki, wreszcie wyszli z powrotem na groblę. Doszli aż do miejsca przerwania jej i pogłupieli, jak psy, kiedy stracą ślad zwierzyny. Zawrócili tedy i przeszukają jeszcze raz młyn, wychodzili na groblę i znów wracali do młyna. W końcu stanęli na grobli i poczęli się naradzać,

Noc była pogodna. Księżyc srebrnym blaskiem zalewał ziemię i, jak stary, ogolony rozpustnik, przeglądał się w wodzie, która, jak zwierciadło odbijała

jego błazeńską maskę — wykrzywioną ironicznym uśmiechem.

Marek widział ten uśmiech i to go dręczyło bardziej, niż zimno, które go łupało w kościach i wykręcało stawy u nóg, bardziej, niż strażnicy, którym się przypatrywał poprzez sitowie. Co chwila któregoś brał na cel, ale się nie mógł zdecydować na strzał.

Czuł jednak, iż powoli drętwieje cały.

— Źle — pomyślał. — Jeżeli tak postoję w tej wodzie jeszcze parę minut, to przemoknę na amen.

Spojrzał w górę. Drwiąco uśmiechnięty księżyc zdawał się naigrawać z jego niedoli.

— Oto dopiero wstrętna gęba — wydzwonił Marek zębami. Zamiast zimna, odczuwał teraz okrutny w kościach ból.

Dużo tu pewnie raków w tej wodzie, — pomyślało mu się i spojrzał w dół. Tuż pod swojemi stopami, w głębi jeziora zobaczył drugą, komicznie roześmianą tarczę księżyca.

— Skąd się ten drugi wziął? — wyszeptał zdziwiony, wpatrując się w wodę. A blada twarz księżyca poczęła drgać i wykrzywiać się, aż naraz pękła, rozpryskując się w tysiące księżyców, które zamigotały, zakreśliły się nagle w kółko, jak porwane wicherem liście przydrożnych drzew.

I Markowi wydało się, że oto zapada się gdzieś w otchłań bezkresną, że porywa go jakaś moc w ten szalony, księżycowy taniec.

— To już śmierć — wyszeptały usta i Marek stracił przytomność.

Tymczasem zebrani chłopci, korzystając z gapiostwa strażników, porozchodzili się spokojnie do swoich chałup.

Michał, przybiegłszy do domu, chciał wziąć strzelbę i biedz Markowi na pomoc, ale stary Zagrodzki, jak się dowiedział o strażnikach we wsi, ukrył strzelbę w łóżku i położył się na niem.

Michał przeszukał komorę, chlewik, zmyszkował poddasze, zaglądał do dołu z kartoflami — rozstąp się ziemi — niema strzelby!

Dopiero mu podszepnęła dobra siostra słów parę:
— Nie szukaj głupi — bo tata w łóżku schowali.

Michał pobiegł do ojca, ale stary udawał mocno zaspanego.

— Co, jak?

— Strzelbę, strzelbę — dajcie!

— Jaką strzelbę?

— No strzelbę! Nie wiecie, jaką?

Stary wytrzeźwiał.

— Chłopak, nie kuś mię, bo żebym cię nie zepnął!

— Dajcie, tato, strzelbę!

— Nie dam. Skonam, a nie dam!

— Dajcie, tato, tam człowieka trzeba bronić? —
prosił syn.

— Nie obronisz. To darmo.

— I wy człowiek jesteście? — zawołał w pasji syn.

— Człowiek, nie człowiek, ale nie dam — zaciął
się stary.

Zrozpaczony oporem ojca — trzasnął Michał
drzwiami, że o mało z zawias nie wyleciały! W pod-
wórku wyrwał kłonicę z wozu i pobiegł do kilku zna-
jomych, wzywając ich z sobą na ratunek Markowi,
ale żaden nie dał się namówić. Ruszył tedy sam
w stronę młyna, ściskając w garści kłonicę. W drodze
spotkał strażników. Prowadzili z sobą zmartwionego
Jana, a w krótkce wsiedli na furmankę i odjechali do
gminy.

Michał przepuścił ich mimo siebie. W tej chwili
wcale nie żałował Jana. Owszem — niechby mu tam
nawet wrzepili parę kijów w zadek. Żadnego ten
chłop nie miał statku w gębie — możeby po tem
zmańdrał. Tak rozmyślając — stanął przy młynie.
Zajrzał do środka, huknął potem parę razy, a ponie-
waż nikt mu nie odpowiadał — wyszedł na groblę
— dziwując się wielce, gdzieby mógł Marek skryć

się przed strażnikami? Naraz posłyszał krótki, urwany krzyk i cichy plusk wody. Skoczył w to miejsce i zobaczył tonącego Marka. Z trudem udało mu się wyciągnąć go z wody i odnieść do domu.

Zaraz na drugi dzień dowiedział się Michał kto nasłał do wsi strażników. Oto, jak przeczuwał — Jan wygadał się przed karbowym, ten doniósł rządcy, a rządcą pchnął „konnego“ z listem do gminy — skąd zaraz przyjechali strażnicy.

— Aha — pomyślał Michał — weszli do spółki z Moskałami, ale ja tej spółce będę pisał cyrograf.

* * *

Pewnego dnia otrzymał Marek list od Michała z Proszowic z prośbą, aby natychmiast przyjeżdżał.

„Chłopi z naszych okolic — donosił Michał — przegrali sprawę z dziedzicem o las i z tego powodu aż się kotłuje we wsiach! Jedni chcą iść z siekierami na dwór, drudzy do lasu.

Nadobitkę, „ktoś“ Niezdolskiego rządcę obił i wrzucił w bajoro. Wybabrał się stamtąd, ale sprowadził strażników (już on z nimi dawno zawarł spółkę) i kilku chłopów aresztowano. W sprawy te wdał się ksiądz, a skutek był taki, że się już kilku chłopów między sobą pobiło. Obawiam się, aby to nie przybrało

większych rozmiarów i dlatego proszę, abyście zaraz przyjechali“.

I Marek natychmiast wybrał się w drogę, choć dzień był pochmurny i od czasu do czasu sypał drobny deszcz. Późnym już wieczorem dochodził do dużego lasu, ale nim wszedł w jego szumiące podwoje — obejrzał się po za siebie. Uderzyła go przykra wokoło pustka; jeno hen, gdzieś w dali — błysnęło jedno światełko, potem drugie, trzecie...

Póciemniały oczy Markowe smutkiem nagłym, a w piersiach ozwał się niewiadomy nikomu głos tęsknoty za czemś, ku czemu tajemnie rwało się serce, ale czego nie śmiała wypowiedzieć dotąd, ujęta w karby żelaznej woli, swobodna myśl. Więc jeszcze raz spróbował Marek uchwycić myśli w biegu i pokierować niemi dowolnie.

— Niechaj błogosławiony będzie po trzykroć ogień święty — co rozwesela ludzkie serca i twarze — wyszeptał Marek, ale oczy jego ku jednemu tylko światełku zwrócone były i ku jednemu tylko biegły myśli niesforne — posłuszne gońce miłości. Więc się zapatrzył w światełko one, od którego tryskały ku niemu promyki cienkie, niby druciki złote i dotykały piersi, czoła i ust. Niepojęta rokosz i dziwny jakiś, zaświatowy żal zarazem, spływał od nich do serca miłości

spragnionego. Wydało się Markowi, iż to drobne nikłe światełko posiada w sobie jakąś potężną, magnetyczną moc, która go ciągnie do siebie — i rozumiał jednocześnie, że jeśli się podda, to pójdzie już za nim wszędzie—jak za księżycem bezwolne fale wód.

Lecz stał i patrzył. A od światełka buchnęły naraz dwa snopy złotych promieni i, niby ramion dwoje, pełnych pieśczoły słodkiej, miłośnie go objęły.

— Złuda — wyszeptał Marek i skręcił w las.

Ogarnęła go ciemna, nieprzebita noc.

Górá — niby kościelne organy — szumił las swoją odwieczną, starą pieśń, swoje rozpaczne „z dymem pożarów“ i, kołysany wiatrem trząsł się i płakał kroplami deszczu, które z szelestem cichym spadały na mchy.

Długo wsłuchiwał się Marek w to uroczyste lasu granie, w tę pełną smutku „pieśń bez słów“, jak-gdyby chciał ją dobrze wyrozumieć i raz na zawsze zapamiętać. Aż wreszcie — człapiąc po błocie — jął cicho sobie powtarzać: — Tak, tak! To o mnie ten las tak zawodzi, to mego życia historję wyśpiewuje, moje daremne trudy i nieziszczone pragnienia.

Skończył się las. Droga skręcała w lewo przez pola nocą zakryte. Od czasu do czasu zrywał się wiatr i topniejącym śniegiem zaklejał Markowi oczy i siekł

po twarzy niby ostremi nożykami, lecz Marek przestał je wkrótce odczuwać.

Oto — jakby z pod rumowiska niedawnych myśli, wydzwignęło się i stanęło przed nim jasne pytanie: po co? po co to wszystko?

Temi drogami przebiegał już może nie jeden emisariusz z pochodnią buntu i prawdy w dłoni, i cóż z tego? Ślady ich dróg zasypał czas piaskiem niepamięci — zaginął słuch — daremnie o nich pytać! Nikt ich nie czeka i nikt nie woła, jako i mnie, chyba tylko ona — jedna — jedyna! I w pamięci Marka powstało słodkie, jak uśmiech poranny dnia majowego — wspomnienie.

— Niechże „przyjaciół ludu“ nie zapomina i niechże prędko zdrów powraca — mówiła cudnie zasmucona.

I Marek mimowoli zwalniał kroku, jakgdyby chciał się uważnie przysłuchać głosom, jakie się naraz w nim odezwały.

— Głupi człowieku! Śniesznie, przedziwnie głupi człowieku, który chcesz w jedno spleść — szczęście i sławę, dobro narodu i własną wygodę.

Wybieraj pierwsze — bo do sławy daleka droga, a dobro narodu u każdego za progiem.

Spaczone są ludzkie serca i zakrzywione, jak szpony jastrzębia, są ludzkie ręce. Nikt cię nie pojmie ani zrozumieć zechce...

A gdybyś w drodze padł i skonał — niczyje oko z tego powodu nie zrosi łza.

Wtem do uszu Marka dobiegło przeciągłe, złowieszcze wycie jakiegoś bezdomnego psa.

Brzmiała w tem wyciu psim jakaś niewypowiedziana, sieroca skarga, jakiś niezgłębiony, rozrywający duszę żal i trwoga — straszna, śmiertelna trwoga!

To okropne wycie psa napełniło serce Marka jeszcze większą udręką i dziwnym, niewytłumaczonym żalem.

W pewnej chwili, zmęczone oczy Marka[?] wyszukiwaniem na drodze dołów i suchych przejść — spojrzały prosto i z przerażenia zmartwiały, a nogi jak kłocze żelazne przyrosły do ziemi. Owionął go lodowaty, zagrobowy dech, a zrywający się z piersi krzyk zamarł na ustach.

— O parę kroków przed nim, wsparta na kij, stanęła — śmierć.

Nieruchomemi oczyma wpatrywał się Marek w tę postać ziejącą straszliwym chłodem, okutaną w szarą

mgłę, jak powoli, bezszelestnie przechodziła na drugą stronę drogi i stopniowo ginęła w pomroce nocy.

Zimny, kroplisty pot spływał mu z czoła a serce i duszę zaległa niczem niezakłócona, śmiertelna cisza, którą naraz przerwał — huczący jak grzmot — pierwszej myśli rozkaz niecofniony:

— Wróć!

I Marek zawrócił, ale uszedłszy kilkadziesiąt kroków — usiadł pod drzewem przydrożnym i zapatrzył się w czarną otchłań nocy, na tle której rysowały mu się obrazy i wspomnienia z minionych, a niedawnych dni.

Stawały przed nim kolejno wspomnienia one niby włodarze i klucznicy, albo sierżanci ewidencyjni, zdając rachunki i raporty, ze swoich prac i nadzorów.

Wszystkie je Marek żegnał smutnym spojrzeniem duszy i uśmiechem serca.

Wreszcie wstał i zwracając się w jakimś kierunku — zaczął mówić głośno:

— Niechaj ci Wielki Bóg — słodka dziewczyno da szybkie zapomnienie tego, iż byłeś przez krótką chwilę słońcem mej duszy!

Poczem ruszył z powrotem w dawnym kierunku. Przyszło mu naraz na myśl dawne zebranie z chłopami gdzieś, w jakiejś Psiej Wólce, czy Wygwizdo-

wie. Chłopów do izby napchało się moc, a kiedy on skończył swoją przemowę — wstał z ławy chłop stary, zgarbiony i zwrócił się do niego:

— „Ciemny my naród. Ojce nasze niczego nas nie nauczyli, tylko pracować ciężko i przymierać głodem, bo sami więcej nie umieli. Pracowali my i podciągali rzemienie na brzuchach w każdą wiosnę i czekali wybawienia. Człowieku kochany, tyś widział już naszą chłopską dolę; poznałeś naszą biedę z wierzchu, ale czyś ty widział kiedy, jak chłopska dusza płacze nad sobą? My wyglądali wybawienia, ale znikąd nie przychodziło, i tylko wiatr w kominie zapłakał czasem z nami. Nikt się nie litował choć my nieraz litości prosili. Dopiero wy nam dziś powiadacie, że my tylko sami sobie pomódz możemy. Juści — jest to prawda, ale my ślepe, jak te dziady pod kościołem. Kaj mamy iść? co robić? Wyście do nas pierwsi przyszli z dobrem słowem — wy nas prowadźcie i dajcie radę rzetelną, a my wam za to nasze chłopskie serca pod nogi podścielimy“.

Wspomnienie to rozrzewniło go i wywołało w sercu powtórne fale żalu, oraz straszliwą świadomość zbliżającej się śmierci.

— Przyrzekłem wam wówczas — mówił szeptem. — Przyrzekłem wówczas rozbić kajdany niewoli i otwo-

rzyć wam wrota do raj, ale uczynił drugi ślub niewieście, niepomy, iż wezwał śmierć. aby mi wówczas ręce stulą związała. I dziś mi żal, o bracia moi, że już wam nie pomogę, jak ongiś Szymon Chrystusowi, dzwigać krzyż na Golgotę, na szczyt wyzwolenia.

Wkrótce doleciało go szczekanie psów z pobliskiego osiedla i niezadługo potem, odpoczywał już Marek na wiązce słomy w ciepłej i suchej izbie.

Na drugi dzień, wysłuchawszy wszystkiego, co mu naopowiadał Michał — postanowił, korzystając z niedzieli, urządzić wiec pod kościołem. Michałowi ogromnie się ten projekt podobał.

— Musicie im powiedzieć — pouczał Marka — że niech lasu ciąć nie pozwolą, ale niech się między sobą nie biją i na dwór z siekierami nie wybierają. Rządca już posłał po kozaków.

Gdyby się to jeszcze od tego rozpoczęła wojna — ale kiedy powiadacie, że nie — to trzeba tymczasem szukać innej drogi.

W kościele obrali obaj pozycję koło ławek, lecz wkrótce wypchnięto ich na środek i tu wraz z tłumem przetaczali się od jednej do drugiej ściany, mając raz przed oczami obraz św. Urszuli, a zaś za chwilę św. Rafała.

Wreszcie na kazalnicy zjawił się ksiądz i przeżegnawszy się, rozpoczął naukę o miłości bliźniego.

Wytłumaczył dziedzica, dlaczego las sprzedał żydom; rządce, że kozaków sprowadził.

„Nie oni kierują wyrokami boskimi i nie oni są przyczyną gniewu bożego, jaki zaciążył nad parafją, ale ci buntownicy, którzy się mianują przyjaciółmi ludu“.

Piękną miał zacny ksiądz przemowę i przekonywującą. Popłakały się baby, a z chłopów, ten i ów, obiecywał sobie w duchu, że niechby tylko przydybał takiego buntownika, toby mu już rzetelnie i według przykazania wszystkie gnaty połamał.

— Dobrze jest bowiem odwrócić gniew Boży i na zbawienie duszy zasłużyć.

Nareszcie skończyło się nabożeństwo i naród hurmem wyparł przed kościół.

Wówczas Marek, stanąwszy w pobliżu muru kościelnego, zaczął przemawiać. Lecz słowa jego zagłuszył nagły popłoch, lament i krzyk wystraszonych kobiet, zaś kilkunastu chłopów, wyrwawszy kłonicę z wozów, zawróciło do Marka.

— Bij go! To on! buntownik!

Naprzeciw nich skoczył wzburzony Michał.

— Stój! Bydło głupie! — zawołał ochryłym głosem.

— To Michał Zagrodzkiego — rzekł któryś z chłopów.

— Usuń się!

— Bij we mnie! — wrzasnął Michał z pianą na ustach.

— No to masz! — zawołał jakiś głos i Michał jak kłoda zwałił się na ziemię.

— Ludzie dobrzy! — zakrzyknął Marek — nagle zachwiał się — krew zalała mu oczy i padł — przykrywając sobą Michała. Jeszcze kilka uderzeń spadło na głowę, piersi i nogi, ale z ust Marka nie wydobył się nawet jęk cichy. To zdetonowało chłopów. Odstąpili i spojrzeli po sobie. Ksiądz uciekł na plebanję, kobiety zbite w gromadki — płakały.

W tym uniósł Marek krwawą, zbroczoną głowę.

— Bracia — rzekł — tu w kieszeni... mam rewolwer... Dobijcie mnie?

— O Jezus! Jezus! — rozległ się krzyk kobiet.

— Uciekajta! — wrzasnął ktoś nagle i w panicznym strachu rzucono się do ucieczki.

Przed kościołem pozostał tylko stary, kulawy dziad, który cały ten czas stał oparty o mur i odmawiał różaniec. przykuszykał teraz odsunął Marka i zajął się ratunkiem Michała.

— No, wstańże — mruzczał dziad — pakując Michałowi w usta garść śniegu. — Wstańże, ty, obrońciew ludzki. Powinieneś mieć twardą głowę, kiedy masz takie miękkie serce, a ty — co?

— Co wy odemnie chcecie, Mikołaju? — rzekł naraz Michał — otwierając oczy.

— Ehm; co chce. Nic nie chce, ino tamtego nieboraka trzeba jako opatrzyć.

— Ach!... Dziadku! Mikołaju! Ratujcie go!

— Toć go przecie ratuje. Cóż to, nie ratuje go? Ale szmat nie mam. Torbem zostawił w domu.

— Szmat chcecie? Bierzcie moją koszulę — i Michał począł na gwałt ściągać z siebie koszulę. Ino się śpieszcie — dziadku kochany — ino się śpieszcie. A może go przeniesiemy, dziadku — co?

— Najpierw jestem kulawy, a potem za stary aby tylachnego chłopca dźwigać; a chcesz go zabrać — to leć po konie.

— Dobrze. A wy, dziadku, zatamujcie mu krew.

— Zatamować, to ja zatamuję. ale co ty mi za to dasz?

Michałowi dziko błysnęły oczy.

— Nie targujcie się ze mną, abym zaś nie zapomniał, że macie siwe włosy — wymówił twardo.

— Leć po konie -- rzekł dziad i zaczął Markowi bandażować głowę.

— O tak, a teraz tak. I z tej i z hańtej strony zrobili ci sitko z głowy i tyle — mrucał dziad — robiąc opatrunek.

Wkrótce nadjechał Michał i przewiózł Marka do swego domu, gdzie z wielką troskliwością zaopiekowały się nim kobiety.

Michał zaś tłukł się po izbie jak obłąkany. Brał do rąk siekiere, opatrywał rewolwer, chciał iść zaprzęgać konie, ale wracał i wpatrywał się w cicho i bezprzytomnie leżącego Marka.

Wreszcie usiadł przy łóżku chorego i usiłował skupić swoją myśl nad jakąś rzeczą, którą czuł w sercu, lecz w żaden sposób nie mógł jej sobie przypomnieć, ponieważ raz wraz różne inne, ładajakie myśli zrywały mu się w głowie -- niby dzikich kaczek stado. Chwytał czasami jakąś myśl świadomością swej woli, lecz ta wrywała mu się niespodzianie i ginęła niby kropelka rosy strącona z paska trawy. Aż naraz zastanowiła go myśl -- dlaczego ten oto obcy człowiek jest mu tak blizki i drogi sercu jak najmilszy brat. I zaczął sobie przypominać, w jaki to sposób dziwny i śmieszny poznał się z Markiem, a było to tak:

Obudził rano Zośkę, wziął siwego i pojechali płużkować ziemniaki. Przy ich polu, pod lipą, siedział jakiś młody człowiek i przyglądał mu się uważnie. „Złodziej, albo podróżny — pomyślał wtedy Michał i wziął się do roboty. Zośka za uzdę wodziła konia, aby równo szedł, ale siwy djabeł rzucał łbem na wszystkie strony i targał za sobą dziewczynę, a on raz wraz zajeżdżał płużkiem w kartofle i klął Zośkę jak umiał. Nareszcie stracił cierpliwość i, gdy dojechali do końca — postawił płużek, złapał Zośkę, odpiął pasa i zaczął rżnąć dziewczynę, aż się rozległo. I nagle — nie wiedzieć jak i co, ale remnął na ziemię, że ino kurzawa z pod niego wzniosła się do góry,

Z początku myślał, że to jakiś święty z nieba tak nim prasnął o ziemię, ale gdy podniósł się, zobaczył przed sobą tego właśnie człowieka, co siedział pod lipą.

— Kundlu jeden! jakim prawem tak dziewczynę katujesz? — mówił do niego ów nieznajomy.

Ale Michał już ochłonał z pierwszego zdumienia. Natomiast ogarnęła go złość, a sponiewierana ambicja domagała się odwetu. Co do kroćset! był przecież pierwszym siłaczem we wsi! Splunął tedy w garść i podszedł do nieznajomego.

— A co?! W twoim piecu palą? Cofnij się! i grzmotnął go kułakie n w piersi. Na co nieznajomy, por-

wawszy go znowu za „ozydle“, trzasnął w gębę tak, że Michałowi się zdawało, iż łeb z piętnaście razy wykręcił mu się w kółko i znowuż jak długi zarył się w kartoflisku.

— O mocny Boże! a i cóż to za siła?— pomyślał Michał — wypluwając z ust ziemię. Ogarnął go naraz wszechmocny podziw, a złość zginęła bez śladu. Zaś nieznamy ujął siwego za uzdę, a jemu kazał wziąć do rąk płużek i, nim Zośka przyniosła śniadanie, opłużkowali pół morgi kartofli, a przed obiadem obrobili drugie pół.

Tak się zaczęła między nimi znajomość.

I oto ten człowiek, który go nauczył miłować Ojczyznę i Wolność, który go uczył pogardy dla bogactwa i śmierci, a kazał cenić szlachetność duszy i bronić prawdy i sprawiedliwości i wskazał drogę godną nazwy człowieka, umiera może przez tych, dla dobra których pracował.

I nagle poniosła Michała straszliwa mściwa nienawiść. Wstał i, spacerując po izbie, zaczął obmyślać plan zemsty okrutnej, w środkach nie przebiegającej. Chwilami przystawał i przypominał sobie tych chłopów, którzy z kłonicami w dłoniach i z wywalonemi z orbit ślepiami zbliżali się do Marka. Wspomnienie to wywoływało w nim dziwne jakieś

i wstrętne obrzydzenie i zarazem niepohamowaną chęć zmiążdżenia i stratowania nogami tych ohydnych mord, tych rozczochranych łbów i podniesionych w górę racic.

— Wystrzelam! — postanowił. Wystrzelam jak wściekłe psy, a nie, to ogniem spalę, aby nawet ślad nie pozostał po tym plugastwie. Sodome i Gomore Pan Bóg spalił, bo nie znalazł się tam ani jeden sprawiedliwy. I ja spalę. Całe wsie spalę, bo nie było sprawiedliwego. Gdyby był, toby wystąpił, ale nie było.

Zapadła już noc, a Michał siedział nieruchomo z głową opartą o krawędź łóżka i umacniał się w swoim postanowieniu, w swojej zemście straszliwej. Wydawało mu się, że przynosi to ulgę jego żalowi, że śmierć i cierpienia innych wyrównają stratę przyjaciela, a oprócz tego, jego poczucie sprawiedliwości dyktowało mu właśnie taki krwawy, straszliwy odwet. Albowiem w jego mniemaniu ów czyn, jakiego dopuścili się chłopi, był nietylko ohydny, ale i świętokradzki. Nie mógł pojąć — jak mogli podnieść na Marka ręce ludzie, którzy go nie znali, a którym on pragnął przychylić niebo. Ale skoro podnieśli — powinna ich za to spotkać ciężka, lecz zasłużona kara.

Wreszcie znużony i wyczerpany — usnął z głową opartą o krawędź łóżka.

I śniło mu się, że poszedł podpalać Markuszów: podsunął się cicho pod stodołę Wojtka Sierotki, lecz co podpali — to ogień zgaśnie, a tu Wojtek wyszedł z chałupy — usiadł na płocie i rehocze jak żaba.

— Ano podpal jeszcze raz!

Wtedy Michał wyrwał z dachu strzeszaka kawał, nasadził na tyczkę i podpalił.

Buchnął strzeszak płomieniem jasnym, zaskwierczał jak wrota i skoczył do Wojtka.

Zajął się Wojtek cały. Hybnął z płota i poleciał skroś pola i lasy — jak z bajki upiór skrzydłaty, jak potępieniec z piekła — świecąc do koła łuną pożaru! Iskrami ciska i czarnym dymem miecie — już całe niebo zasłonił!

Płynie za Wojtkiem przemożna fala pożaru! Skręca się, wije i raz wraz z grzmiotem straszliwym strzela w niebiosa! Lecz oto Wojtek zawraca i wali wprost na niego! Michał chce uciekać, lecz Marek trzyma go za ramię i mówi głosem pełnym żalu i smutku:

— A i cóżeś ty narobił, przyjacielu, cóżeś narobił?!

Michał otwiera oczy. To ojciec trąca go w ramię.

— Obudź się chłopcze, mówi do niego — obudź.

— A co, późno tak?

— Świta dopiero, ale pójdziemy deski rznąć na trumnę.

— Na jaką trumnę? Dla kogo?

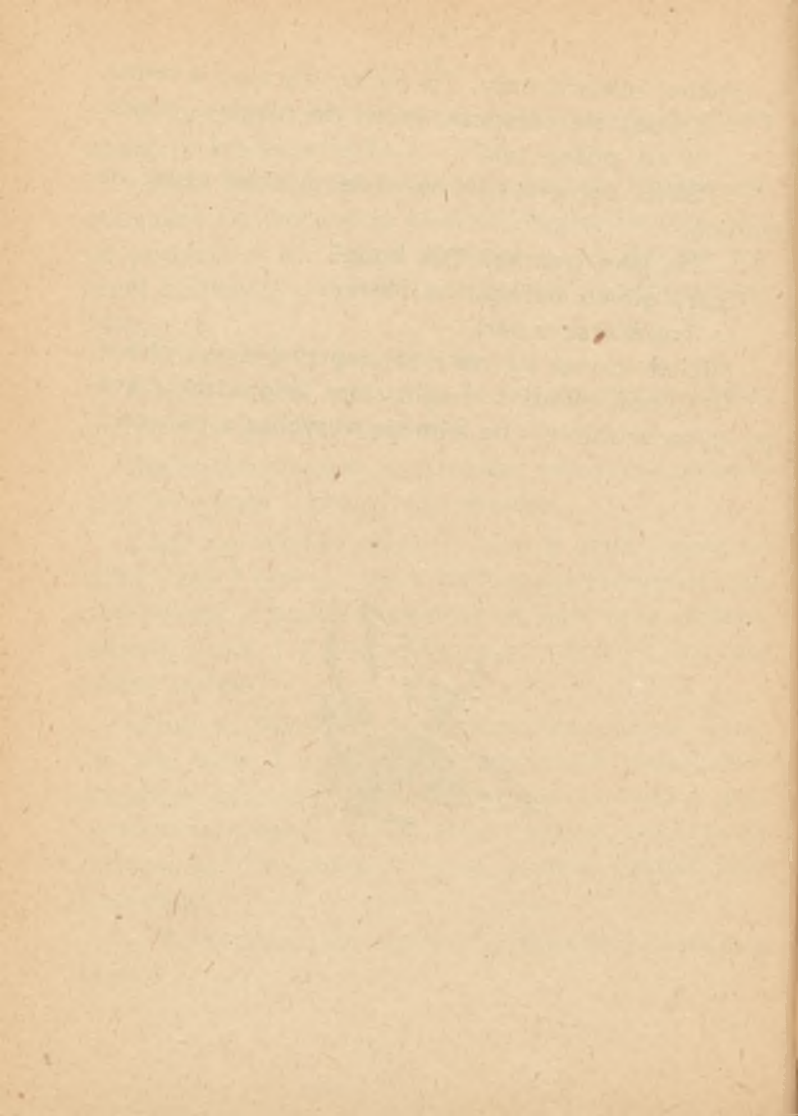
Stary głową wskazał na Marka.

— Towarzysz umarł.

Michał usunął się na kolana przy łóżku i płakał.

— Chodź, chodź — naglił stary Zagrodzki trącając syna w ramię — bo nim się wyrzuchuje, nim co....





Polityk.

Wogóle tego dnia czuł się ogromnie źle, chociaż jak zapamiętał nigdy nie było mu lepiej. Pod takim już widocznie urodził się planeta, że mu się w życiu nic nie wiodło, a czasem nawet okropnie kończyło. — Nie natrafiłem jeszcze na swoje — rozmyślał nieraz, — albo mię księżyc siedem razy przeszedł, przez co wypadnie zginąć mi marnie na świecie.

I jeżeli dotąd nie skończył z sobą, to tylko dla tego, że nie miał pewności, czy życiem ludzkim rządzi srogie fatum, czy tylko prosty wypadek.

Ale tego dnia myślał już rozmaicie.

Był tak zagnębiony, z maltretowany, iż wolność i życie straciły dla niego wszelki urok.

A tak się jeszcze wczoraj cieszył, mój Boże kochany, tak się cieszył, że się znów wyrwie na tę wolność kochaną, no i wyrwał się, ale cóż...

Zaraz na wychodnym, tyle mu naczelnik więzienia nagadał morałów, że aż go w dołku mdliło, ale

skoro tylko wyszedł za bramę, to splunął i na sumieniu zrobiło mu się trochę lżej. Niestety, bo ledwie tylko powitał rodzinę, to znowuż nie spytali się go, czy głodny, czy zdrow i wogóle — jak to się dzieje w porządnej familji, ale poczęstowali go wymówkami i tyle znowu nagadali o wstydzie, o prawie, o porządnym życiu — nawet i o piekło potrącili, — że koniowi łeb by od tego rozpuchl, a cóż dopiero człowiekowi, którego sumienie, co prawda, twardsze od stu końskich łbów, ale głowa stanowczo delikatniejsza; więc go też rozboleła okrutnie, aż mu świat w oczach oberka tańczył, a tu go jeszcze z domu gnały nieprzychylne ślepie całej rodziny. Pożyczył więc od matki dziesięć złotych i, żegnany niezbyt serdecznie, ruszył na stację, aby, dostawszy się do gubernialnego miasta, starać się o jakieś zajęcie.

— Trzeba jeszcze raz spróbować tego „porządnego życia“, co będzie, to będzie — rozmyślał idący.

Wprawdzie orać na kogoś od rana do nocy — nie bardzo mu się uśmiechało, ale złodziejstwo także nie lekki kawałek chleba, jak się to komu zdaje! Dzięki Bogu — już w całym powiecie nie ma takiej wsi, któraby nie miała do niego jakiejś pretensji, czasem nawet wygórowanej, a jednak, pomimo to,

wieczna go bieda gnębiła, a co się niejeden nazęcał nad nim, natłukł, naponiewierał, tegoby i sam anioł nie przetrzymał, choćby najtwardszy był. Wspominki te tak go rozczuliły, że mu się żał zrobiło samego siebie.

Obejrzał się na prawo, obejrzał się na lewo — nigdzie żywej duszy.

W około rozciągały się puste, szare pola, pokrajane pługami; zdawały się dyszeć kłębami pary i mgły, którą lekko targał wiatr, niby grzywą rumaka, albo wściekle porywał olbrzymie przezrocze słupy mgły i bombardował niemi daleki las. Więc zwiesił głowę i człapiąc po roztoplanej drodze, rozmyślał dalej nad swym dotychczasowym życiem, a im głębiej sęgał pamięcią, tym większy opanowywał go smutek i większe przekonanie, że złodziejstwo, to gałgaństwo i, że wcale nie jest jego powołaniem.

Bo gdyby tak dobrze obliczyć i po sprawiedliwości, to dłużej przesiadywał w więzieniu, aniżeli kradł, a uzyskał tyle, że w familji byli mu okropnie radzi — ale jeśli im się na oczy nie pokazywał. Miał parę kochanek i każda go zdradziła, a przyjaciele...

Splunął raz i drugi, ale owej gorzkości, co mu się w sercu przelewała, wypluć nie mógł; przesią-

kała nią dusza — niby wilgotną mgłą — a choć czasem ustępowała. to jednak pozostawiała po sobie rdzę i osad, na którym bujnie pleniły się chwasty odwetu i zemsty.

Prosil, abym pozostał, a jakim wyszedł, to wyglądali, czy aby się nie wróćę. — Wspomniał sobie oną familję i łzy mu napłynęły do oczu — ale rozejrzawszy się znów w około, zaniechał tego próżnego łez rozlewu.

I tak mię tu nikt nie zobaczy, ani usłyszy i choćbym wątrobę wyplakał, — nikt nie pomoże, perswadował sobie.

A tymczasem zapadł. mrok, rozmokły, leniwy włókł się po roli, przylegał w bruzdach między skibami, znów się podnosił i pełz coraz dalej i szerzej, zalewając powoli całą ziemię.

Podróżny coraz częściej rozglądał się w około. Przyzwyczajony w więziennej celi do gwaru i towarzysstwa, bał się teraz samotności, bał się jeszcze i dlatego, że musiał myśleć, a myśli dzisiaj — jakby na przekór — przybierały trupie twarze i wlokły go przez wertepy pytań, o które rozum wywracał koziółki i gubił się bez ratunku.

Nie było sposobu, aby te myśli rozpędzić lub spętać, przerwać im robotę i to natrętne wścibstwo

i zaciekłość z jaką trzęsły strzępami sumienia, szperały po różnych zakamarkach duszy i rozbudzały resztki ocalałej moralności, która w dzieciństwie różnemi drogami tam zawędrowała i skryła się w takie szczeliny, gdzie już zdaje się nie było nic, prócz ohydneho robactwa grzechów — a były i miejsca takie, gdzie myśl, jak trwożne echo obijała się o puste ściany i szybko, spłoszona niby ptak, wyfruwała z powrotem i wtedy blady strach siadał mu na twarzy i trzepotał struchlałym sercem, lub, bezszelestnie, skrzydłami nietoperza muskał go po oczach — albo przysiadał na środku drogi kudłatem trzęsąc łbem, że ani go było ominąć, ani uciekać, ani się przed nim gdzie skryć.

— Nie będę już kradł ani „kłon“, jeno będę pracował na pociechę familji, tak mi Panie Boże dopomóż — bo chociażem grzesznik zatwardziały, ale jeszcze nie taki przecie, jak drugie — szeptał w skrusze i ku niebu wywracał białkami oczu, mocując się z wiatrem, który okazywał gwałtowną chęć trzasnąć nim o dalekie chojary lasu.

I tak — nim zdążył na stację, zrobił rzetelny rachunek sumienia i mocne postanowienie poprawy. Ulżyło mu to znacznie, poweselał, ile, że stacja by-

ła już niedaleko, chałupy w pobliżu, a wokoło zagród snuły się ludzkie cienie.

— Pracujta zdrowi, ludzie kochane i nie bójta się nic. Już ja tam nawet kury złamanej do ręki nie wezmę: takem postanowił i dotrzymam, — witał ich w duchu sercem odmłodzonem.

Wkrótce, pełen najlepszych chęci — choć bez biletu — siedział w brudnym wagonie i ćmiąc papierosa, obojętnie przysłuchiwał się rozmowie szarej publiczności. W tem uwagę jego zwrócił na siebie, nieduży kosz na górnej ławce. Slizgały się jego oczy po nim, złodziejskim obyczajem, ze wszystkich stron myszkując.

— Co też w nim może być? — pomyślał i wraz, poczuł coś w rodzaju wstydu. Niechętnie odwrócił się w stronę okna.

Stoi, i niech sobie stoi — choćby do skończenia świata — karciał się w duchu. Próbował rozmowy z jakimś panem obok siedzącym w liljowym krawacie i z brudnymi paznokciami; — zagadywał starą babinę o tym i owym, ale kosz nie dawał mu już spokoju i połyskując w półmroku — niby białe ciało kobiety — kusił i podniecał złodziejską chciwość i wyobraźnię.

— Magnes w nim leży, czy ki djabeł — myślał i już się nie krępował i raz wraz ogarniał kosz pożadliwym okiem.

— Zobaczą tylko czy ciężki, pomyślał. Poczem wstał i, pełen nieokreślonych uczuć w duszy, drżącymi rękami przesunął go z jednego końca ławki w drugi. Nikt nie protestował i—jak mu się zdawało, nie zwrócił nawet uwagi.

— Ciężki! Co też w nim może być? i postanowił go ukraść.

— Nie wie pan czasem, czyj to kosz? zwrócił się do jakiegoś robotnika.

— Nie wiem.

— Bo chciałem się położyć, a ta osoba mogłaby się obrazić..

— Co ma się obrazić.

— I ja tak myślę, ale zawdy...

Zdjął kosz, wsunął go pod ławkę, a sam położył się na jego miejscu i, udając śpiącego, układał w myśli plany i rozważał.

— Tak minęli jeden przystanek, drugi — po kosz nikt się nie zgłaszał. Wreszcie stanęli na głównej stacji. Wtedy szybko zsunął się z półki, wyciągnął kosz i, prawie pierwszy wyslizgnął się z wagonu.

Przelawirował między zebraną publicznością na peronie, wydostał się na tor i, przyśpieszając kroku, podążył naprzód, aby dalej od stacji.

Nagle — poczuł za sobą pogoń.

Zdjął go wszechmocny strach: zdrętwiały nogi, na czoło wystąpił kroplisty pot. Zebrał jeszcze wszystkie siły, bo żał mu było zdobyć porzucić, choć czuł, że pogoń na karku.

Hej, pan, stój! — uderzyły weń naraz czyjeś głosy — niby ciężkie kamienie.

— Jezu miłosierny, ratuj! wyszeptał zbielełymi wargami i z rozpaczą potoczył wzrokiem dokoła.

— Stój! huknął mu tuż nad uchem żandarma twardy głos.

Wtedy rzucił kosz i począł naośleć uciekać.

Runęło za nim parę rewolwerowych wystrzałów i wnet podniosły się straszne krzyki i wrzawa, które mu tylko dodawały sił i podbijały niby piłkę w górę.

Nie znając jednak obejść, wpadł na gruzy węgla i z trudem, raniąc sobie ręce, wdrapał się na wierzch, skąd zwałił się na złamanie karku na drugą stronę, i tu nie wiedzieć jakim sposobem — wpadł w ręce żandarmów.

Wystraszzonego i prawie na pół żywego, odprowadzono do żandarmskiego, dyżurnego pokoju na

stacji. Wkrótce przyniesiono za nim ów nieszczęsny kosz. Weszło jeszcze paru żandarmów, kilku „panów“ w cywilnych ubraniach, a w końcu ukazał się i sam rotmistrz wyperfumowany, elegancki: pozdrowił swoich z pewnym zdziwieniem:

— A gdzie jest ta kobieta?

— Tu, na stacji gdzieś nam zginęła — odpowiedziano.

— To źle. Należało nie spuszczać jej z oka, poczem zwrócił się do aresztowanego:

— Godność pańska? — zapytał uprzejmie.

Złodziej oczy wybałuszył,

— Jak godność pańska? Jak się pan nazywa powtórzyl rotmistrz.

— Tomek Pazur.

— Jedzie pan z Warszawy?

— Nie. Z Kociej Męki. Tam moja familja...

Rotmistrz pytająco spojrzal na swoich ludzi...

— Wsiadł do pociągu za Warszawą; tak się wi-
docznie umówili — odpowiedziano.

— Co się znajduje w tym koszu? — zapytał znowu rotmistrz Pazura.

— Bo ja wiem. Skąd ja mogę wiedzieć!

— Otworzyć kosz! rozkazał rotmistrz.

Oderwano kłódkę i wszyscy z ciekawością pochylili się nad koszem, z którego, — ku niemałemu zdziwieniu Pazura, zaczęli żandarmi wydobywać jakieś papiery, książki, gazety — znowuż książki — i więcej nic.

— Samo śmiecie — samo śmiecie, niech cię wszyscy djabli... żałośliwie kiwał Pazur głową. Z resztką nadziei w sercu podniósł się z fotela i zajrzał na dno kosza — pragnął teraz, aby się znalazło w nim choć cośkolwiek takiego, coby przed nim samym usprawiedliwiło tę kradzież: ale nie było nic.

Więc jeszcze bardziej dziwiła go radość żandar mów, z jaką przeglądali książki i czytali gazety.

Wogóle dziwiło go dzisiaj wszystko.

Był już przecie parę razy aresztowany przez żandar mów, ale nigdy nie obchodzono się z nim tak grzecznie jak teraz. Prosił go, by usiadł na miękkim fotelu przynieśli mu herbaty w szklance i na spodeczku, mówili — „panie“, niby jakiemu dygnitarzowi: wszystko to niepomiernie go dziwiło, trwożyło i ogłupiało do reszty.

— No, więc, panie Pazur, może nam pan powie, dokąd pan wiozł ten kosz? — rzekł rotmistrz ze słodkim uśmiechem.

— Ja go wcale nie wiozłem. Sam jechał..

— Sam jechał! He, he! Pan jest dosyć dowcipny, — ale żarty na stronę. Nas pan tym w pole nie wyprowadzi, a sobie może bardzo zaszkodzić. Radzę zatem powiedzieć otwarcie całą prawdę. My szczerść pańską ocenić potrafimy. Najpierw tedy proszę powiedzieć, skąd ten kosz?

— Z pod ławki go wziąłem, panie naczelniku i— gdybym wiedział, że to takie śmiecie.. ale nie wiedziałem; z Kociej Męki jadę od familji...

— Kiedy pan znowuż swoje — przerwał mu rotmistrz, — a ja ostrzegam, że jeżeli pan chce, aby mu było dobrze, to z nami trzeba jeszcze lepiej.

— A zresztą — ma pan dwie rzeczy do wyboru: prawda i wolność, — albo Sybir.

Pazur pot z czoła otarł rękawem, a rotmistrz ciągnął dalej:

— Pan już zapewne dawno w partji pracuje, a zatem, wie pan, gdzie są mieszkania konspiracyjne, składy literatury nielegalnej, zna pan ludzi partyjnych, słowem, — może nam pan oddać duże przyślugi — i nie darmo. Więc jakże? — Namyslił się pan?

Pazur nie odpowiadał. Mowa rotmistrza wywarła na nim potężne wrażenie, ile, że w żaden sposób nie mógł wymiarkować, o co żandarmowi chodzi.

— Pan pali? Proszę — rzekł rotmistrz, częstując go papierosem ze srebrnej papierośnicy.

Pazur nie śmiał odmówić, ale i wziąć nie miał odwagi i strach go oblatywał chwilami w przeczuciu czegoś straszego.

— Proszę, niech się pan nie krępuje — nalegał rotmistrz. — Jakiś żandarm podał im ognia. Zapalili. — Pan już dawno zajmuje się socjalizmem? — zapytał rotmistrz — po przyjacielsku, tak, niby od niechcienia,

Pazur milczał.

— Gadajże, masz gadać, bo jak lunę w pysk, to ci wszystkie zęby wylecą, huknął jakiś zniecierpliwiony „pan“ w cywilnym ubraniu.

Pazur oprzytomniał.

— Powiem, panie naczelniku, wszystko powiem jak na świętej spowiedzi — zawołał, powstając.

— Było tak: puścili mię rano z więzienia. Na odchodnem naczelnik gadał, familja gadała, nawet Józek Pakuła, on teraz moim szwagrem został — także jęzora nie żałował, to myślę sobie: mata ujadać — nie będę kradł. Takem postanowił i Bogam na świadka wezwał, ale mię w wagonie złe podkusiło, na to śmiecie zapowietrzone. A co do partji, to nie wiem, o którą się pan naczelnik pyta. Bo ja nale-

załem do jednej, ale to nie była partja, — jeno zwyczajna sobie szajka. Założył ją Franek Pędzikoń i mieliśmy wszystko do „moti“ robić, ale Franka „zachatrali“ do „ula“ i szajka się rozleciała, bo każdy chciał, pieska jego mać, dowodzić, choć się na niczym nie znał, przez co ja byłem najwięcej stratny, bo mi wszystkie „statki“ poginęły. A o socjaliźmie, to nic nie wiem. Ja z początku chodziłem na „śpyng“, potem za „doliną“, ale się nie oplaca.

— Wytyczny interes — to jeszcze kasy, ale do tego trzeba mieć porządne statki: chyba, że ten socjalizm, ale ja nic nie wiem, nie słyszałem...

— Ot i masz! — zawołał rotmistrz z błyskami gniewu w oczach. — Kręci, kręci już od pół godziny jedno i to samo, warjata udaje i miej tu człowieku cierpliwość! Odprowadzić go do więzienia! — krzyknął — zobaczymy, komu się pierw ta komedja uprzykrzy.

— Pomocnik naczelnika więzienia uważnie odczytywał papier, przysłany przez rotmistrza, oglądał Pazura od stóp do głowy, wreszcie zapytał:

— Ty Tomasz Pazur?

— Ja.

— Pomocnik założył na nos okulary i jeszcze raz obejrzał go z jakąś ucieszną ciekawością.

— Tyś już u nas siedział?

— Siedziałem, panie naczelniku.

— No i tego... złodziejstwo już porzuciłeś?

— Takem postanowił, bo familja ujadała, ale mnie złe w pociągu skusiło na moje nieszczęście.

— I wzięłeś się za politykę?

— To mię chyba ktoś podprowadził, albo te żandarmy powarjowały, bo już nic nie wiem.

Pomocnik jeszcze raz odczytał rzeczowy papier i pomyślawszy chwilę, kazał Pazura odprowadzić pod „jedenastkę“; — była to cela w której siedzieli sami polityczni, o czym jednak Pazur nie wiedział.

— Oto mnie mata! — zawołał wesoło, wchodząc do celi. — Nawetem się wolnością nie oblizał i już siedzę. Dobry wieczór!

— Dobry wieczór — odpowiedziało mu parę głosów z kąta, gdzie zebrani otaczali wysokiego mężczyznę, już w starszym wieku, w okularach i z długimi włosami jak u popa. Zresztą wszyscy byli porządnie ubrani, niektórzy nawet w kołnierzykach, ale twarze obce, wcale nie złodziejskie.

— Pewnie jakieś szulery, albo za „podtóg“ — pomyślał Pazur, uważnie im się przyglądając.

Oni także pilnie mu się przypatrywali; paru nawet podało mu rękę na powitanie, wymieniając przytym

swoje nazwiska, co go jeszcze bardziej zdziwiło, bo się ich przecie o to nie pytał i na ich przedstawiania się odpowiadał niezrozumiale

— Skąd wy jesteście? — zapytał go wreszcie jeden z nich.

— Acha, tak, dobrze.

— Z Kociej Męki. Tam moja familja, — odpowiedział skromnie.

— A za co was zaaresztowali? badał drugi.

— Tii... Nie warto nawet gadać — odparł wymijająco.

Nie chciał się bowiem przyznawać, że wpadł za jakieś tam głupie książki, aby go nie wyśmiali.

Dodał tylko tyle, że go aresztowali żandarmi na stacji.

— Szpicel! — rozniosło się po celi, jak szum wiatru po lesie. Wsadzili go umyślnie, aby się czegoś od nas dowiedział. Wszyscy mieli miny zakłopotane, wypłoszone, ruchy gorączkowe i rozmawiali półgłosem.

— Z Kociej Męki powiada, że jest, Tomek Pazur się nazywa, jakaś djabelnie ciemna osobistość — mówił towarzysz Lucjan, ogromnie zdenerwowany.

— Un nie tylko z kociej, ale on z żadnej mąki nie jest, un jest poprostu zwyczajny szpicel — rzekł

towarzysz Hawer, młody żydek „od Bundu“ i znowuż biegał po celi, jak wystraszonamysz.

— Moim zdaniem, łeb mu w derkę okręcić, po krzyżu czym porządnie przejechać i basta — radził towarzysz Mikado.

— A co, bawić się z nim? — dodał, widząc, że się inni na ten projekt skrzywili.

Tymczasem towarzysz Wiklef, młody robotnik i wielce zapalczywy rewolucjonista nic nie mówiąc nikomu, ostrzył zawzięcie o mur okienny kawałek starej blachy.

— Na cóż to? — zapytał towarzysz Myśliwiec, ten w okularach.

— Zarznę, psubrata w nocy — odparł z nienawiścią.

— Czy wyście powarjowali, czy co? — zawołał zgorszony towarzysz Myśliwiec. Ależ to może być zupełnie niewinny człowiek!

— Ech, tam, niewinny! Zarznę, jak amen w pa-cierzu, uparł się młody kandydat na Robespierre'a.

Musiał towarzysz Myśliwiec zwołać zebranie do kąta, na którym postanowiono powstrzymać się z wszelkimi zamachami, dopóki się nie wyjaśni, kto zacz ów Pazur z Kociej Męki, a potem dopiero działać za zgodą i porozumieniem się wszystkich.

Tymczasem jeno postanowiono wstrzymać się od wszelkich rozmów treści politycznej, jak i o sprawach organizacyjnych. Poczem wyjęto z derek czajniki z gorącą wodą i zabrano się do kolacji, nie zapominając i o Tomku Pazurze.

On się też nie dał dwa razy prosić i jadł za trzech, ale milczał, jak kamień, onieśmielony ich „pańską” rozmową, z której nic jakoś nie mógł wyrozumieć. Krępowano go także ich grzeczne taktowne zachowywanie się względem niego, więc też nim zjedli kolację, doszedł do wniosku, że muszą to być profesorowie z jakiejś szkoły, albo adwokaty i znowuż zdziwił się ogromnie, gdy mu jeden z nich, zapytany o to, kategorycznie zaprzeczył.

Wogóle był to dzień, w którym miał się jeno dziwić, więc się też dziwował nie na żarty.

Wielu on już widział w swoim życiu złodziei szulerów, ojcobójców i takich, co gwałcą młode dziewczyny i tych, co weksle podpisują, a przed chłopami udają rejentów, ale ci w niczem mu tamtych nie przypominali.

Nie przeklinali, nie kłócili się o byle co, nie grali w karty, ale rozmawiali o jakichś domach ludowych, bibliotekach, o jakimś dobrobycie społecznym i wo-

góle o rzeczach, które go ogromnie zaciekawiły: tymbardziej, że nic z tego nie rozumiał

— Nie profasory, pewnie i nie szulery, dziwny jakiś naród — rozmyślał Pazur — siedząc na uboczku i obserwując, kogoby się tu zapytać, co są za jedni, za co siedzą i najniefortunniej wybrał młodego Wiklefa. a znalazłszy po temu, jak mu się zdało, odpowiednią sposobność — zapytał go tak sobie, niby od niechcenia:

— Ee, tego... czy pan już „żeniaty?”

— Nie, albo co? — odparł ten i zmierzył go piorunującym wejrzeniem.

— Nic. Tak tylko pytam przez ciekawość. Ma pan porządne buty. Cholewy, panie tego, jak się należy. — Tak... na wolności pan pewnie dobrze stał? I nie doczekawszy się odpowiedzi, prawil dalej:

— Ja, proszę pana, próbowałem już różnie: i tak i siak, alem jeszcze na swoje nie natrafił — niby względem profesji -- jak to panu wiadomo, co się na tym świecie dzieje — i łypnął z boku, aby się przekonać, jakie też na słuchaczu zrobiła wrażenie jego górnolotna mowa, a przekonawszy się, że nie-
złe — zapytał wprost:

— A za co też pana przycupnęli? — Wiklefowi dziko błysnęły oczy.

— Jak cię huknę w łeb, szpiclowskie nasienie, to zaraz będziesz wiedział za co siedzę!

W celi zrobił się ruch.

— Wiklef! Co wyprawiacie? — wołano zewsząd; uprowadzono go wreszcie w kąt, bo się okropnie rzucał i jakoś umitygowano.

Tymczasem wypadek ten jeszcze bardziej podniecił ciekawość Pazura. Myślał, rozmyślał nad tym, ale pytać się już nie było czasu, albowiem kładli się już spać. Wypadło tak, że najbliższym sąsiadem Pazura, na „legimatach“ był towarzysz Malinowski, człeczyna mizerawy i cichy, ale nadzwyczaj uprzejmy. Pomagał Pazurowi w ułożeniu siennika, dał mu swoje palto do przykrycia się i wogóle okazywał mu wiele życzliwości, a kiedy już mieli zasypiać, — życzył mu dobrej nocy.

Po chwili już wszyscy spali, zmęczeni życiem więziennym, jeno Pazur przewracał się niespokojnie z boku na bok: wreszcie nie wytrzymał.

Podniósł głowę i począł trząść towarzysza Malinowskiego za ramię.

— Paniel panie!..

— Co? Wałają mię? — powiedźcie, żem chory.
— Myślał bowiem, że wzywają go żandarmi na nocne badanie.

— Ee, nikt nie woła, to ja, panie — uspokajał go Pazur szeptem.

— Acha, a o cóż chodzi? Boi się pan? Niech pan śpi spokojnie.

— Nie boję się, panie, tylko chciałem o coś zapytać...

— To może jutro?

— Nie, panie, ja zaraz... Pan tego... Pan za „podłóg“ siedzi, prawda?

— Za co?

— No, za oszustwo, niby...

— Jezus Marja! — oburzył się stary cocjalista.
— Co pan plecie! Skąd takie podejrzenie! Ja za politykę. My tu wszyscy polityczni...

— Acha! Tak!? — Coś mu się niby we łbie rozjaśniło, ale jeszcze nie ze wszystkim. Na drugi dzień przyglądał im się jeszcze uważniej.

Tak upłynęło parę dni. Przyszły wreszcie z różnych stron wyjaśnienia, co do osobistości Pazura, jak i o jego fatalnym wypadku na stacji, a wobec tak wyjaśnionej sytuacji, zmieniono i taktykę względem przypadkowego „polityka“.

Przedewszystkiem kazano mu się przebrać w czystą bieliznę; towarzysz Myśliwiec dał mu palto obszerne jak Wołogodzka gubernia, ale ciepłe; towarzysz Lucjan krawat i kapelusz z rądem tak szerokim, że wyglądał w tym przybytku jak chińska pagoda. Tak przystrojony z wielką powagą wyszedł na spacer i wnet wszystkie okna w więzieniu zaroily od złodziei.

— Te, polityk! Widziałeś go!

— A kto to?

— Pazur, bodajeś w konia wlaź.

— Ho! ho! ha! ha! Wogóle okazywali złodzieje wielką radość i uciechę na jego widok. Nawet sam pomocnik przyszedł umyślnie, aby go zobaczyć a za nim cała kancelarja i wszystkie „opasy“ z kuchni.

Ale nie zapomniano również i o jego stronie duchowej. Towarzysz Malinowski uczył go czytać i pisać, student Marczak rachwać, a towarzysz Lucjan wbijał mu w łeb moralność socjalistyczną, jako że tylko praca uczciwa i pożyteczna powinna stanowić źródło utrzymania każdego człowieka. Atoli jemu pojmowanie tych wszystkich mądrości szło nadzwyczaj opornie. Zamiłowania nie okazywał żadnego. Natomiast sprowadził skąś talję kart i, pewnego poranku, zaproponował im „sztosa“, ale się zawiódł

ogromnie, bo jedni nie umieli, drudzy stanowczo odmówili, a młody Wiklef chciał go nawet obić, albowiem karty te sprowadził za pieniądze Malinowskiego.

Więc, pomimo, iż żył tu po „pańsku“, nudził się przecież okropnie!

Większe zaciekawienie wzbudzały w nim jeszcze dyskusje i rozprawy polityczne, regularnie co wieczór się powtarzające, z których nie wiele, co prawda, mógł wyrozumieć, ale słuchał zawsze z wielką uwagą.

Pewnego dnia rozprawiano o sprawie szkolnej.

Oponentem, jak zwykle, był towarzysz Hawer i, jak zwykle, tak i dzisiaj, poniósł go temperament. Krzyczał, przeginał się na wszystkie strony, kopał nogami, darł włosy z głowy wreszcie, w zapamiętałości wielkiej, pogroził parę razy pięścią towarzyszowi Myśliwcowi, co ogromnie oburzyło Pazura.

— Komu wygrazacie! Komu wygrazacie! skoczył jak kogut do Hawera. Ujął go Lucjan za ramię.

— Pazur, uspokujcie się. Towarzysz Hawer nikomu nie wygraża, on tylko tak giestykułuje.

— To niech sobie spekułuje, ale co on tu zaraz z pięściami wyjeżdża! Mnie to gniewa i po moim

myśleniu, to po co się z nim kłócić. Tak ma być jak powiedziano i basta!

— Pozwólcie Pazur, ja wam to wytłumaczę:

— To jest, widzicie, dyskusja, czyli wymiana zdań i sądów, przez co sprawa ukazuje się w coraz to innym świetle i tak poznajemy jej złe i dobre strony.

— Ja to wiem, ja to rozumiem, ale on na wszystko, jak towarzysz Lucjan powiedział, ma swoją spekulację i z nim nigdy do ładu nie dojdzie.

— Oto jest wasz polski szowinizm! — zawołał towarzysz Haver. — Wy się z nim tylko kryjecie, ale uderzyć was w czułą strunę, to już jest! Wylazi jak szydło z worka! Proletariat żydowski pragnie wolności, proletariat żydowski chce walczyć ręką w rękę z proletariatem całego świata, ale proletariat żydowski nie myśli dla was zdobywać nacjonalne państwo, — i machnął znów pięścią pod nosem Myśliwcowi.

— Mnie się zdaje, że ja go uśmiercę! odezwał się znowu Pazur.

Uspokójcie się, — reflektował go towarzysz Malinowski.

— Nie mogę, panie. Serce mię boli jak taki barabas porządnemu katolikowi pięścią wygraża.

— Tymczasem towarzysz Myśliwiec ogłosił dyskusję za wyczerpaną, zwłaszcza że kolacja już była gotowa.

Na drugi dzień, już od samego rana okazywał Pazur niezwykłą ruchliwość. Widać było, że mu coś dolega. Chodził, zagadywał, a upatrzwszy po obiedzie sposobną chwilę, kiedy towarzysz Myśliwiec odłożył [książkę i zaczął spacerować, podszedł do niego i, swoim obyczajem, zaczął od familji:

— grunt, proszę pana, mają i zagospodarowanie niezłe, ale żeby kiedy człowiekowi pomódz — nigdy!

— Dopiero jakem zagroził, że ich spalę — zmiekli.

— I tak to się, proszę pana, żyje na tym burżuaznym świecie, że niech Bóg bron! A może byśmy tak w „tracza“ zagrali, albo w „umarłego“ — rzekł naraz ni z tego ni z owego,

Towarzyszowi Myśliwcowi spadły ze zdziwienia okulary z nosa.

— Co też ty wygadujesz?

— No, jak nie chcecie w „tracza“, to może w „pacituchę“, albo w „młynarza“?

— Zwarzowałeś, czy co? — oburzył się stary na dobre.

— A co? co takiego? dopytywał się towarzysz Malinowski, widząc wzburzenie Myśliwca.

— At, machnął ten ręką. — Mnie staremu proponuje jakieś tam łobuzerskie zabawy.

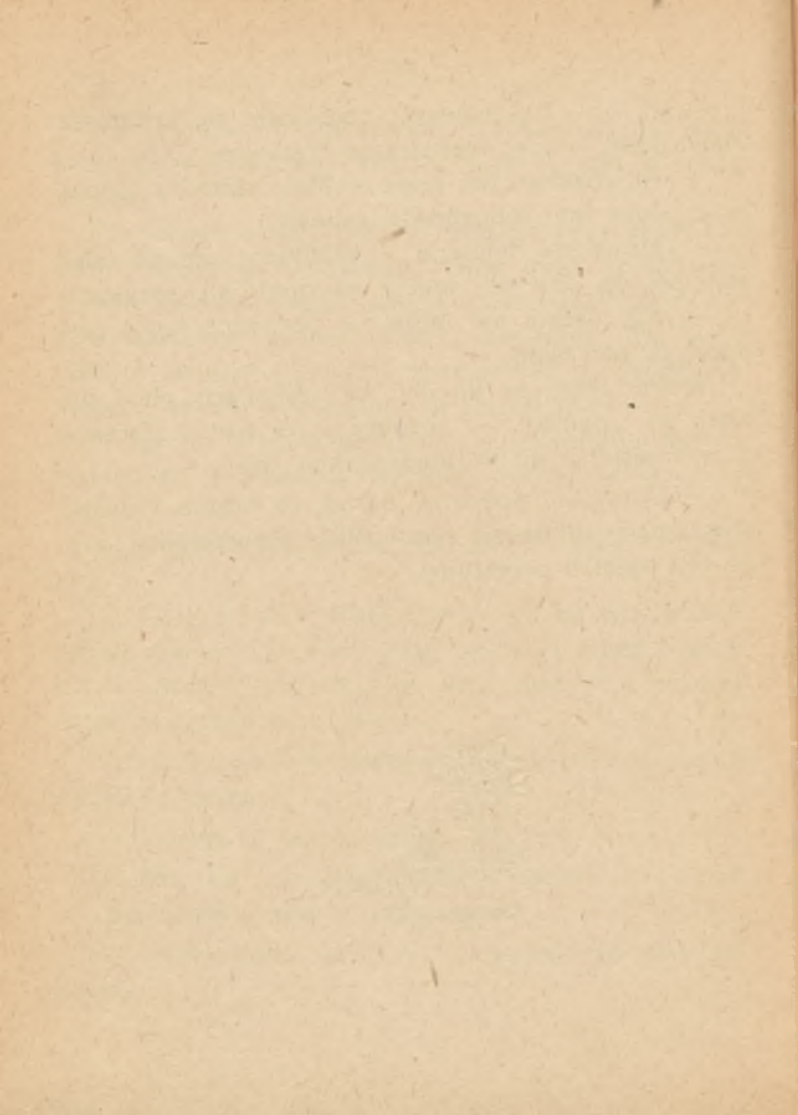
— Mówilem najpierw z Wiklefem, ale on odesłał mię do was, bo, wiecie, okropnie się przykrzy.

— Ani jemu, ani tobie nie pochwałę nigdy podobnych rozrywek.

Wobec tego, po długich rozmyślaniach, choć żył tutaj po „pańsku“ — rozpoczął na gwałt starania o przeniesienie go do złodziejskiej celi.

— Okropnie pobożny naród, że trudno z niemi wytrzymać— tłumaczył pomocnikowi naczelnika, gdy go ten pytał o przyczynę.





Korespondencja.

Tow. Józef Obosieczny, znany w partji pod pseudonimem tow. Zakrzepło—wracał z posiedzenia fabrycznego komitetu, na którym w „wolnych wnioskach“, rozpatrywana była również sprawa majstra z „blichowni“ Adolfa Wilberta, który, jak to się okazało ze sprawozdań — był łotrem nad łotrami i „uciemiężycielem narodu okrutnym“!

Długo deliberował komitet nad tem co z onym zrobić i jak pomóc narodowi, aż wreszcie zdecydowano, że trzeba napisać o nim korespondencję do „Roba“. Niech się świat dowie có to za psubrat i donosiciel! I korespondencję ową polecono właśnie napisać tow. Zakrzepłe.

Protestował, nie chciał, ale taki w końcu wmówili w niego, że tylko on jeden należycie zrobić to potrafi.

— Co tu wiele gadać!—dowodził delegat z przędzalni tow. Okoń. — Jesteście chłop morowy, piś-

mienny, macie kalkulację w głowie, to wam taka rzecz trudności wielkiej nie sprawi.

— Przeważnie uderzajcie na stronę polityczną. I nie zapominajcie pomieścić tego, com wam mówił — o tych dziewczętach! — dawali mu inni rady i napomnienia.

— Już kiedym się raz podjął napisać, to napiszę, nie kłopotzcie się! — upewniał ich z kolei i zakupiwszy po drodze, potrzebnych do pisania materiałów — jeszcze tego samego wieczora wziął się do pisania.

— Do Ameryki będziesz pisał? zapytała go żona.

— Dó Ameryki.

— I może do Sobczaków?

— Tak-

— To napisz im, że ich tu wszyscy pozdrawiają, i że Skalimirska tej balji nie oddała.

— I dobrze zrobiła. Odczep się i nie przeszkadzaj mi pisać!

Pisał tak przez cztery wieczory, ale w końcu wszystko podał i spalił. Nie wychodziło mu tak jak potrzeba. A tu w fabryce coraz to przybiegał do niego jakiś delegat i szeptem zapytywał:

— No cóż, napisaliście?

— Nie jeszcze.

— Pamiętajcie tylko głównie uderzać na stronę polityczną!

— I fakty: o tych dziewczętach, o proklamacji, bo to wiecie w całej Polsce będzie wiadomo — dodawał drugi. Zaś w domu dogadywała żona.

— Skoroś się tak rozpisal, to zapytaj Sobczaka, czy i dla ciebie nie znalazłaby się jaka robota w tej Ameryce.

Cierpliwym był człowiek i na one gdakanie niewiasty nawet nie odpowiadał, ale stracił apetyt i wciąż był zamyślony. Tak upłynął tydzień! W niedzielę Zakrzepło ubrał się i poszedł do magazyniera z tej samej fabryki.

— Chciałem się pana o coś zapytać — rzekł, ale na osobności. Może pójdziemy gdzie wypić po kieliszku?

— Nie zawadzi. Wypić nigdy nie zaszkodzi — odparł magazynier i poszli.

— Czy pan dużo przeczytał książek? — zapytał Zakrzepło.

— Ho! ho! Człowieku! Włosów tyle na głowie nie macie.

— I pisał pan?

— Książek nie pisałem, ale jak mi pewnego razu na wieczorku zegarek ukradli, to do „Kurjera“ napisałem i wydrukowali.

— Wypijmy jeszcze.

— Nie zawadzi. Wypić nigdy nie zawadzi!

— Niech mi pan powie, czy to każdemu tak trudno pisać?

— Uchowaj Boże! Tak samo jak i pić. Trzeba mieć tylko trochę wprawy, a jeszcze lepiej talent. Ale przedewszystkiem trzeba mieć styl.

— Styl!?

— Tak jest. Wprawdzie Sienkiewicz radzi pisać bez stylu, ale mojem zdaniem dobry styl, to jak dobry koniak, śliwowica a dla Zagłoby — powiedzmy — miód. Bo trzeba wam wiedzieć, że są różne style.

— To ja wiem — odparł Zakrzepły. — Są brzozone, bukowe, dębowe. Do siekiery naprzykład najlepsze stylisko dębowe.

— Hm... Porównanie oryginalne i powiedzmy, nawet bardzo trafne. Albowiem styl zawsze musi być zastosowany do treści. Każda rzecz wymaga innego stylu

— Może wypijem jeszcze po jednym?

— Nie zawadzi. Wypić nigdy nie zawadzi.

— No, dobrze — zaczął znowu Zakrzepły. — Przypuśćmy, że o tych stylach to wszystko prawda. To niechże mi pan powie — do korespondencji naprzykład to jakie potrzebne stylisko?

— Do korespondencji? Do korespondencji to może być i stylisko. Słusznie powiadacie. A jakie? to już zależy od autora. Jeżeli chce kogoś mocno zrębać, to, wyrażając się obrazowo, dobre jest dębowe; lekko? — wystarczy i leszczynowe. Wogóle, wicie, są style, co wałą jak obuchem, lub parzą jak pokrzywa.

— To ja wiem także. W zimie jak mróz chyci, to każde stylisko w dłonie parzy, dopóki się człek nie rozgrzeje. Ale jak napisać korespondencję?

— Bardzo łatwo! Trzeba mieć tylko sprawdzone fakty, spokój w domu i wypić sobie przedtem kieliszek, a nawet nie zawadzi i dwa.

Wróciwszy do domu — wygnał Zakrzepło żonę i dzieci z mieszkania, dzwi zamknął na klucz i zasiadł do pisania.

— No, spokój już mam — rozmyślał — fakty mam, parę kieliszków wypilem także. Najgorzej ze stylami. Mógłbym, co prawda na poczekaniu mieć i stylisko jakie niebądź ale chyba jeno poto, żeby temu Wilbertowi skórę wygarbować.

Tymczasem w mig cała okolica już wiedziała, że Obosieczny żonę z mieszkania wygnał, dzwi na klucz zamknął, a sam siedzi i cościć pisze. Ten i ów nawet przychodził i przez okno sprawdzał wiarogodność pogłoski.

— No co, pisze? — pytali inni.

— Czy pisze — niewiadomo, bo nachylony nad stołem, ale siedzi.

— Zrozpaczona Obosieczna — nie mogąc się dostać do mieszkania — już późnym wieczorem pobiegła do sąsiadów.

— Bójcie się Boga, poradźcie co! Powiadał, że do Ameryki, ale on pewnie testament pisze, czy co i do chałupy nie mogę się dostać.

Przyszli sąsiedzi i ledwo go rozbudzili.

Zaś na drugi dzień majster Wilbert latał po fabryce jak warjat i kłął jak głupi, aż wreszcie wpadł do magazynu.

— Uspokój się pan — rzekł do niego magazynier — jeszcze pana paraliż tknie.

— Niech tknie!

— Ha, skoro pan sobie tego życzysz, to protestować nie będę. Nie wiedziałem, że się pan z nimi pogodził.

— Kto? Z kim?!

— Pan z robotnikami.

— Dlaczego?

— Bo oni też panu tego życzą?

— Żeby mnie paraliż tknął? O kanalje! Ład socjalistyczny chcą mi w fabryce zaprowadzić, ale nie doczekanie! Powyrzucam wszystko na zbity łeb i tam na ulicy, albo w katordze zaprowadzaj sobie ustroje! A do fabryki sprowadze Chińczyków. Sądzisz pan, że nie zrobię tego? Ten Obosieczny już mi kością w gardle stoi.

— Obosieczny? Spokojny robotnik.

-- Spokojny? Już od paru dni, uważam, jak co „najgorsze socjalisty“ ze wszystkich oddziałów schodzą się do niego i coś mu naszeptują, a ten notuje! Powiedz pan, co taki cham może notować?

— Fakty.

— Jakie fakty? Na sto djabłów jemu fakty?

— Hm, prawdopodobnie do korespondencji.

Ciesz się pan.

Wilbert zbladł.

— Jakto to oni chcą mnie zabić?

— Iii, djabła tam. Chcą pana tylko opisać w „Robotniku“.

— Tak? Ale ja nie chcę! O, kanalje! Zaraz daję znać do policji, niech ich zabrają, wywieszają, za-

kują w kajdany! Won z fabryki! Kto tu majster? Ja, Wilbert i nie pozwolę, aby o mnie jakieś tam korespondencje wypisywali w tej ich podłej gazecie! Nie pozwolę! Oddam policji i basta!

— Właśnie. Zrób pan tak i zaraz na gwałt pisz pan testament.

— Dlaczego?

— Bo wtedy już by pana na pe zabili.

Nieszczęśliwy majster przez chwilę milczał, wreszcie odezwał się złamanym głosem.

— No to radź pan — co robić?

— Nie wiem. Jak Boga kocham, nie wiem.

— A możebyś pan tak wypił z kieliszek?

— Nie zawadzi. Wypić — nigdy nie zawadzi.

Majster wychylił głowę z kantorku:

— Te, łobuz! Chodź inol!

Po chwili przyniósł chłopak butelkę koniaku i przekąskę.

— No, pij pan i radź! — nalegał majster.

— Owszem. Wypić nigdy nie zawadzi, a radzić bardzo łatwo. Miałeś pan w tym roku półwyżkę?

— Nie.

— A gratyfikację dali panu?

— Także nie.

— A widzisz pan. A pisali o panu w „Robotniku“?

— Nie pisali, bo ja bym im...

— Ano, właśnie. A Łotrowski od Szejblata dostał 50 rub. podwyżki, Durchman dostał podwyżkę i 500 rub. gratyfikacji, Lizoń tysiąc, Pieskowski tysiąc i, ze względu na niebezpieczeństwo, mieszkanie fabryczne, opał i światło, Wsiuter ze stu pięćdziesięciu pojechał na dwieście pięćdziesiąt, ale o nich pisali w „Robotniku“. Co pan tu wyrabiasz w fabryce — nikt nie wie, a o nich każdy sobie przeczyta: i akcjonariusz i dyrektor i szew biura — czytają i wiedzą, że chłop się stara jak umie — warto mu dołożyć. Tak panie. Korespondencja o majstrze w „Robotniku“ — to świadectwo dla niego pierwszej klasy! Wniosek: rób pan swoje, a oni niech piszą. Im pana gorzej osmarują, tym lepiej!

— Dobrze pan radzi, jak pragnę zdrowia. Pijem

— Nie zawadzi. Wypić nigdy nie zawadzi.

A Zakrzepło zbierał fakty i pisał, ale ponieważ nie „wychodziło“ mu jak potrzeba, więc darł i pisał od początku.

Atoli rozgłos o tem, że Obosieczny coś pisze — rozszedł się szeroko — aż doszedł do policji. Ma się rozumieć, że i ich zaciekawilo wielce, co pisze, i pewnej nocy wpadli niespodzianie. Zrobili rewizję,

nic nie znaleźli, ale Obosiecznego aresztowali i wsadzili do więzienia.

Na drugi dzień majster Wilbert chodził po fabryce jak struty.

— Widzieliście go? — mówili do siebie robotnicy. — Czy on kolka, nie wsypał naszego Zakrzepły? Teraz się zląkł i chodzi taki zmietoszony!

Około południa spotkał go magazynier.

— Co, pana — ząb boli, czy umarł kto z rodziny?

— E, diabła tam! — odparł Wilbert — ale Obosiecznego aresztowali, oby im psy wątrobę zjedli!

— No więc cóż? Brak panu robotnika? Za bramą ich czeka cała gromada!

— To ja wiem. Ale on, uważasz pan, korespondencji jeszcze nie napisał!

— Jeszcze nie napisał?

— Ano nie! Dowiadywałem się. Choroba mię bierze z tego wszystkiego! Ostatnie 2 tygodnie już tak się starałem, żeby mu faktów nie zabrakło, a jemu widocznie jeszcze mało, czy ki djabeł? Nie rozumiem. Zatelefonuję chyba do policji, żeby go puścili — niechby skończył tę korespondencję.

— O, to na nic — rzekł magazynier — przez wdzięczność może wcale nie napisać. Powiedzą: drań

— bo drań — ale sprawiedliwy — oni już tacy. Najlepiej rób pan swoje, a oni znajdą drugiego, co napisze.

Po dwóch tygodniach nadaremneho śledztwa — wypuszczono Obosiecznego na wolność.

Uradowany wielce — pobiegł wprost na posiedzenie Komitetu.

Przywitano go serdecznie — okrzykami radości i pytań.

— Gadajcież teraz — jak wam się siedziało?

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze, że mnie aresztowali!

— No?

— A tak, Siedziałem tam z jednym studentem i on mi powiedział, że do korespondencji najlepiej nadający się jest styl lakoniczny, wszystkie inne psu na budę nie zdatne. Napisałiśmy we dwóch, chcecie, przeczytam.

— A co? O czym?

— Korespondencję o Wilbercie.

— Iiii! Schowajcie ją sobie na pamiątkę. Już ona nie potrzebna. Jeszcze w zeszłym tygodniu wywie-

złiśmy Wilberta na taczce w worku za bramę.

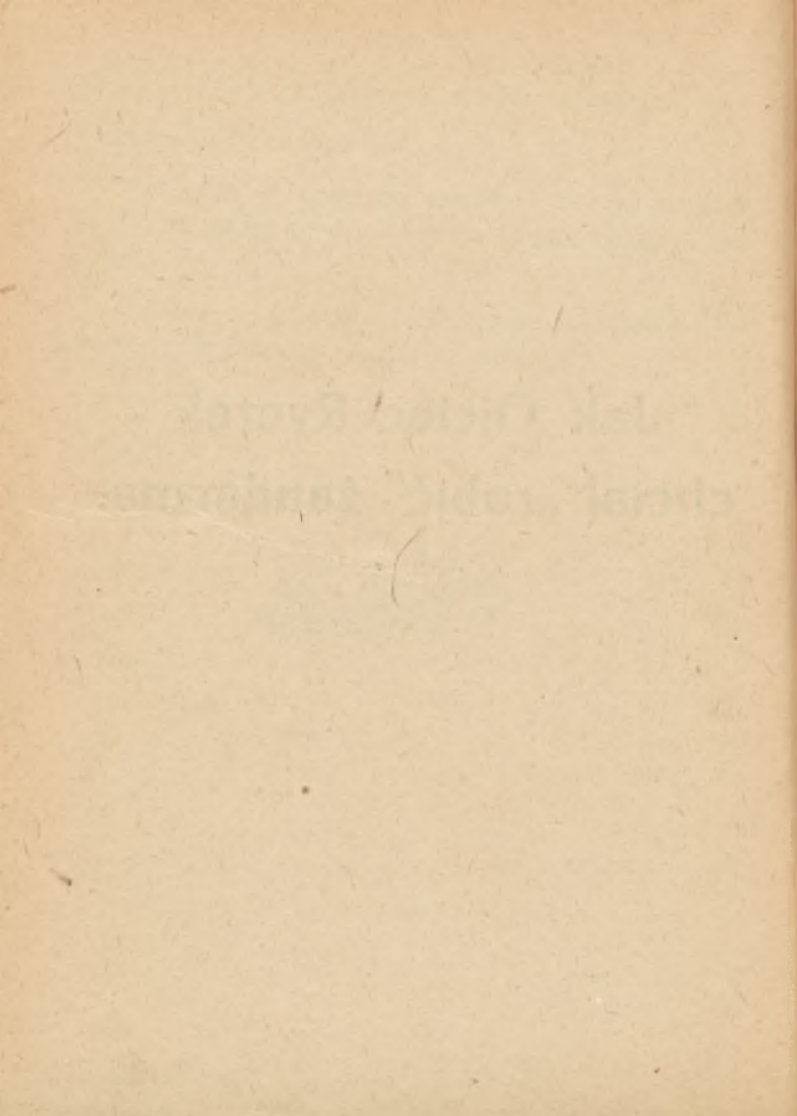
Zakrzepło posmutniał.

— Szkoda — rzekł po chwili -- bo ten student mówił, że takiej korespondencji, to jeszcze świat nie czytał!

— Może i szkoda — przytaknęli przyjaciele — ale za to w fabryce nie mamy piekła!



**Jak Ojciec Ryczek
chciał „robić” żandarma.**



Mieszkanie tow. Ryczków było stale podręczną zbrojownią bojowców. Przechowywały się tutaj bomby i dynamit, leżały browningi i mauzery na podorędziu ale ani kawałka tej broni nie wolno było nikomu wziąć do ręki bez pozwolenia instruktora. Tej zasady trzymała się ściśle Stryjenka, (tow. Ryczkowa), i dla tego Ojciec nie miał nigdy przy duszy nawet kawałka rewolweru i przekonany był, że dzieje mu się wielka krzywda.

Z tego to powodu toczył wieczne awantury z bojowcami o wydanie mu broni, ale ci śmieli się tylko z bojowego zapалу Ojca i broni nie dawali.

— Powiedzcie tylko: na jakiego psa wam broń?

— Jakto, na jakiego? — irytował się Ojciec. — Cóż to, proszę was, za przywileje wymyślacie! Ja wam nie ujmuję, żeście tam tacy, albo owacy, ale jakby co wypadło, to proszę was!

— Wiadomo, od przypadku głowa nie boli i my byśmy dali, ale — Stryjenka... Wykręcali się bojowcy jak umieli.

Atoli zdarzyło się, że tow. Iza wy dostała skądś starą jak świat rewolwerzynę i dała Dominikowi; a ten, bojąc się go nosić, podarował Ojcu.

— No, teraz to jestem pan! — zawołał Ojciec, wielce uszczęśliwiony z tego podarunku.

Rewolwer obejrzał, wyczyścił, nabił, a jakże! A ponieważ widział, że bojowcy niekiedy chowali browningi za pas — wetknął więc i swoją „spluwę“ pod brzuch i tak chodził. A co który bojowiec przyszedł, to Ojciec tak manipulował brzuchem, aby ten koniecznie rewolwer zobaczył.

I bojowcy oglądali, podziwiali i zachwycali się:

— Przedziwna spluwa!

— A którądy to się z tej maszyny strzela? — naiwnie pytał drugi.

I dziwowali się jak im Ojciec tłumaczył.

— No, dobrze, a kogo to myśli Ojciec z takiej fuzji zastrzelić?

Takie pytania gniewały Ojca djabelnie.

— Co wy, śmieciarze chceta od tego rewolweru?

— To prawda, — przyświadczał Franek Gibalski — znakomity znawca broni.

— No nie! — wybuchął Ojciec. — Proszę was! Przypatrzcie się tylko jak ten rewolwer wygląda?

— Zaiste — zgadzał się Kuba Bojarski. — Jest to broń cudna i niepowszednia! A każda strona tego bydlaka...

— Buldoga — poprawiał Ojciec.

— Bydlaka — mówił Kuba — wygląda inaczej: Jeśli, na przykład, patrzeć na niego z frontu, to widzi się — armata sześciocalowa, a spojrzysz z tyłu, to znowuż tak wygląda jak i z przodu.

— Iii — co ja tu będę z wami... — irytował się Ojciec i chował za pas rewolwer.

— Ja tam nie wiem jak on wygląda z przodu, ani z tyłu — odzywał się małomówny Walek — ale z boku i pod brzuchem Ojca ma pozór konewki do polewania ulicy -- przez co jest bardzo konspiracyjny.

Wówczas Ojciec wrywał rewolwer i szedł do Gibalskiego.

— Proszę was Franku, to zły rewolwer? Lufa u niego przycelna, kule duże jak ogórki — gdy rypnę w jakiego drania...

— O, to ciężko będzie mu uciekać z takimi w środku ogórkami — litowali się bojowcy.

— Proszę was, i z waszemi fasolkami nie oglądają się zawsze — docinał im Ojciec. Zresztą upewniam was: więcej nim można dokonać niż waszemi „bronkami“!

— To prawda, — przyświadczała, — Więc też nie strzelaj Ojciec gdzie blisko domu, albo gdzie dużo ludzi, bo szyby z okien powypadają, a ludzie pogłuchną i zaraz cała burza zwali się na P. P. S.

— A jak będziecie strzelać, to stawajcie mocno w kroku, żeby zaś was nie wyrócił. Taka machina jak strzela, to nie żartuje!

Ale Ojciec już tych rad słuchać nie chciał, a już gniew wielki za serce go chwycił — kiedy jego rewolwer nazywano — bydlakiem.

— Z tego powodu Kuba się Ojcu mocno naraził a bardzo wielu spotkała ciężka nieprzyjemność. Bojowcy bowiem nią omieszkali każdemu, kto jeno chodził do tow. Ryczków — podszeptając:

— A poproście tam „fatra“ niech wam pokaże swojego bydlaka!

I niewtajemniczeni, a naiwni i ciekawi zwracali się do ojca:

— Pokażcie no mi, fatrze, waszego bydlaka?

— Jakiego bydlaka?! — unosił się ojciec i twarz zapalała mu się ogniami gniewu. — Proszę was, wy

się mnie o takie rzeczy nie pytajcie, żebym was czasem nie zbydlakował!

Pozatem myślał wciąż ojciec o tem, aby coś takiego zrobić, bojowców zadziwić i swoją „spluwę“ nieśmiertelną sławą okryć.

A był w one czasy w Lublinie żandarm sławny — niski, czerniawy, z koźlą bródką u twarzy, a jak borsuk ostrożny.

Medytował nad nim Kuba, zaczajał się Konopka, stróżował na niego całemi godzinami Janiszewski; przelatywał przez Lublin od rogatki do rogatki jak wicher — wielki niby topola Karol napróżno. Żandarm jak stary lis sideł unikał.

— Niech go grom pobije! — rzekł raz zasapany Karol. Wszystkich żandarmów policzyłem dzisiaj a jego spotkać nie mogłem!

— On ma pewnie psi węch — mówił energiczny jak tygrys i uparty jak wół — Janiszewski,

— Zawsze pójdzie nie tą drogą gdzie ja stoję.

— Oby dał Bóg, abym go ja na swej drodze spotkał — strzeliła wtedy Ojcu do głowy nierozsądna myśl.

Upłynęło kilka dni.

Pewnego poranku wstał ojciec o czwartej, ubrał

się, wetknął, oczywiście, spluwę za pas i poszedł do roboty.

Naraz patrzy! idzie przed nim o parę kroków — ów właśnie z czarną bródką żandarm.

— O, potworze! — pomyślał Ojciec i rozejrzał się: — Na ulicy pusto. Oprócz nich dwóch — żywego ducha niema.

— No, to ja cię tu już dalej nie puszczę — postanowił Ojciec i naprędce skombinował plan odwrotu

— Wystrzelę draniowi w ten dołek między kołnierzem i kaszkietem, a potem pójdę ulicą Królewską, przez Miedzianą i do browaru.

Obmyśliwszy wszystko jak należy — wyciągnął Ojciec rewolwer i zmierzył do żandarma, akuratnie w ów dołek między kołnierzem a kaszkietem i — już miał pociągnąć za cyngiel — ale — rozmyślił się — wetknął z powrotem „spluwę“ za pas i poszedł do roboty.

Zaś w niedzielę wybrali się bojowcy za miasto próbować nowe brauningi — naturalnie i Ojciec z nimi, a gdy byli na miejscu — wyciągnął także i swój rewolwer, zmierzył do pnia dębowego i — psztyk raz, drugi, trzeci — „nie wystrzeliło“.

Wspomniął se Ojciec żandarma i zimny pot zrosił mu czoło, a broń wypadła z ręki.

Och! Niechże cię jasny piorun trzaśnie!

— Co się stało? — zapytał Franek Gibalski.

— Proszą was! Oby Bóg dał zdrowie temu żandarmowi z bródką za to, że się w tę chwilę nie obejrzał!

— Ha? Jak? — Wytrzeszczyli na Ojca bojowcy swoje oczy.

— A to bym się urządził!

— Tłumacz się, fater, jasno!

— A, proszę was! Toż ja z tego bydlaka (rację miał wtedy Kuba!) chciałem strzelać w niego.

— W kogo?! — zaperzyli się bojowcy.

— W tego z bródką żandarma.

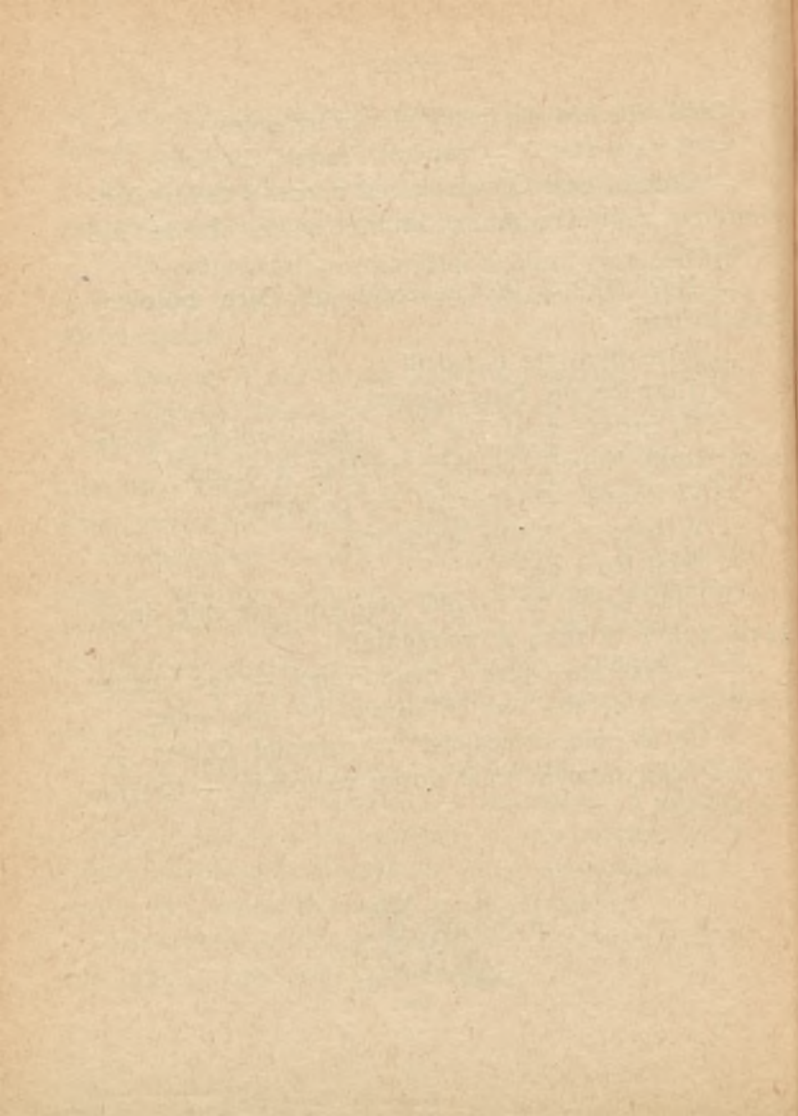
— Aaa! No i co?

— I już palec na cyngiel kładłem, ale mię duch jakiś dobry za rękę powstrzymał.

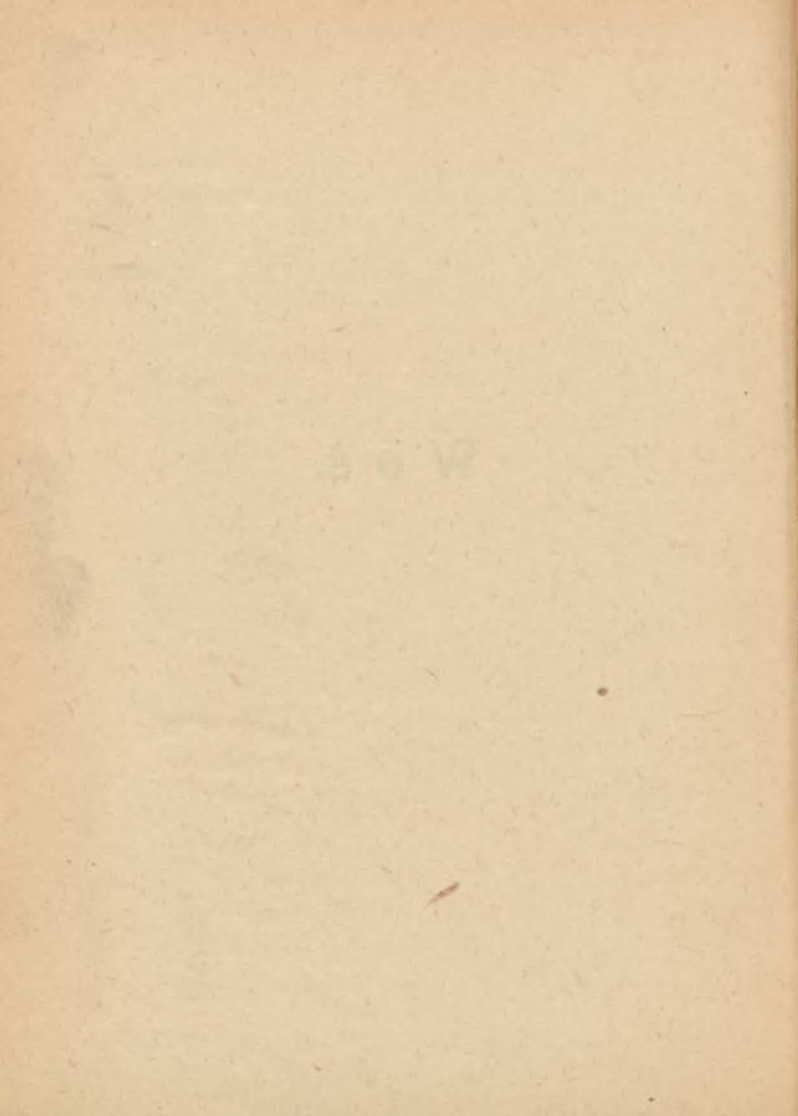
— Zawsze się Ojciec — rzekł Franek — tego ducha słuchajcie i do nie swoich spraw nie wtrącajcie.

— Co to „nie wtrącajcie!” — zawołał Ojciec. — Proszę was, jakbym miał dobry rewolwer — tobym się wtrącił!





W o ś.



Nikt tak nienawidził szpicli i prowokatorów z „Suczego kątką“ — jak właśnie Woś. Ponieważ tamci mieszkali na górze, więc Woś wciąż strzygł uszami do sufitu i nasłuchiwał — co się tam dzieje. I gdy jeno zauważył jakikolwiek ruch na górze — zaraz donosił o tym całej celi:

— Suki kładną się spać, — albo: Suki idą na spacer. — I pod rozmaitemi pozorami wymykał się na korytarz, aby opluć którego, albo im przy sposobności nawymyślać.

Ten „Suczy kątek“ irytował Wosia tak, jak myśliwskiego psa lisia jama.

Pozatym — toczył Woś najnieustanniejsze boje z Rosjanami o wyższość polskiej kultury nad rosyjską.

— Czort jego wie! — bronili się Rosjanie.

— Rosja ślepa, głupia, barbarzyńska, a kto temu winien? Wiadomo: Niemcy i Polaki!

— O, ho! ho! ho!

— Prawda, prawda! Kto u nas „uradniki“?

— Polaki. Naczelniki na kolejach? Polaki.

— Wszelkiego rodzaju inżyniery? Także Polaki. Wszystkim oni rządzą, wszystko trzymają w ręku. Umyślnie starają się tak, aby naród był ciemny i głupi.

— Dzisz go jak trafił! — wołał Woś. —

— A oni -- dajmy na to, że to Polacy — to kogo słuchają, gubernatorów?

— Gubernatorów.

— A gubernatorzy kogo, ministrów?

— Prawda.

— A ministrowie kogo -- cara! No, i cóż wy na to? Może wasz głupi Mikołaj, to także Polak?

— A czort jego wie.

— Ho, ho! Gdybyście wy chcieli się nas, Polaków słuchać, to byłoby wam jak w raj.

— Woś prawdę mówi — odezwał się Iwan Iwanowicz. — Polaki mądry naród, dobry naród i bohaterski naród. Weźmy, chociażby naszą „turmę“! Jakie tu dawniej mieliśmy jadło? A chleb? Poprostu świństwo! A co wyrabiała z nami administracja? Ale przyszli Polaki i odrazu wszystko zawróciło innemi drogami. I administracja — jakby inu kto mordy ponabijał -- „potisze“ i chleb jakby prosto z Ukrainy i nawet nasze ruskie „szczy“ stało się kulturalniejsze.

— Itak wszędzie. Gdzie dużo Polaków — żyć jeszcze można — Ja to wiem.

— No widzicie! dodawał Woś. — „Postojanno“ wam to tłumaczę. Wyzdychalibyście, gdyby nie my.

— No łiesz, Woś! Naród rosyjski także sposobny.

— A jakże. Łapówki brać, wódkę pić i słonecznikowe ziarnka łuskać. Acha i łapcie jeszcze szynkarne umiecie wyplatać. Ot cały wasz przemysł i kultura.

Poza tym cóż wyście jeszcze nowego zrobili i wymyślili?

— A samowar! zawołał naraz któryś z tryumfem. Argument ten zbił na chwilę Wosia z tropu.

— Samowar? No tak. Wymyśliliście samowar ale bez kranika, bo kranik to wam do niego dorobili w Anglii.

O ten kranik wybuchło w celi całe piekło! Wszyscy Rosjanie zmobilizowali się przeciwko Wosiowi w obronie samowara. Ale Woś tak namiętnie obstawał przy swoim, takie przytaczał argumenty i dowody, iż w końcu udało mu się rozbić front i osłabić u niektórych przekonanie w słuszność bronionej sprawy.

Nie byli pewni czy samowar jest ich jedynym wynalazkiem. Wreszcie, zmęczeni bezcelową dyskusją,

pokładli się spać. W nocy Piotr Osipow zbudził swego sąsiada z prawej strony:

— Waśka! Wasyl! A wiesz co? Może i naprawdę Angliczanie dorobili kranik do naszego samowara?

— Ot głupi. A jakby tobie Woś powiedział, że kogut był twoim ojcem, tobyś też uwierzył?

— No, kogut co innego. Wiadomo, że moja matka miała męża, ale kranik — pomyśl — zawsze to maszyna, — jakby to nie było. Słuchaj, a u nas nie było żadnego takiego sławnego wynalazcy -- jak ten naprzykład — co telegraf bez drutu wymyślił?

— Był jeden. Łomonosow nazywał się, ale on tylko, zdaje się skrzydła do wiatraku wymyślił i umarł.

— Hm... I nic więcej?

— Chciał podobno jeszcze most na Wołdze budować, ale Katarzyna zlekła się, aby się nie zawalił i nie pozwoliła.

— Durna baba. A ten Łomonosow mądry widać był człowiek i nazwisko miał takie — bohaterskie.

Ale pomimo to, pomimo, iż okazywał jawną pogardę dla rosyjskiej kultury — lubili Wosia Rosjanie nadzwyczajnie nie wyłączając, oczywiście Polaków.

Odważny, energiczny, zawsze wesoly — lubił Woś. każdemu usłużyć i pomóc.

Tą swoją życzliwością dla towarzyszy często zarabiał na karcer, ale to go bynajmniej nie zrażało. Wracał stamtąd jeszcze weselszy i pełen humoru.

Lubił jeszcze Woś ubierać się czysto i zgrabnie. Sam sobie — ryzykując grubo — uszył spodnie, przerobił bluzę, chałat, czapkę i wyglądał w tym wszystkim dosyć elegancko. Co się zaś tyczy kajdan — to nikt ich tak zgrabnie nie nosił, jak właśnie Woś! To upodobanie do szyku i elegancji wyniósł Woś z Warszawy.

Małym jeszcze chłopcem będąc — porzucił Woś pewnego poranku matczyną krowę, którą pasał w rowie wedle drogi i żyta, a często i w życie — i — ruszył w szeroki świat — ile, że już mu obrzydło do niemożliwości ojczymowskie „smarowanie“ naszelnikiem każdego wieczoru.

Trafił do Warszawy i dostał się do rzeźników. Zdawało mu się z początku, że dostał się do rajul!

Żarcia było tyle — ile dusza zapragnęła i co najlepsze! Potluścił znacznie, osobliwie na gębie — chodził jak upasiony! Długo jednak nie mógł wymiarować — czy to od jedzenia, czyli od bicia, gdyż czeladnicy w owym zakładzie — byli nazbyt krewkiego temperamentu i mieli bardzo ciężkie ręce. Przyczym — tak starsi — jak i młodszy gnębili go nie-

miłosierną pogardą, mając na widoku jego chamskie pochodzenie.

Kto jak tam się nazywał, a on zawsze cham.

— Te, chamie! dawaj topór!

— O, dzisz gó! Jak to się obraco, jak się to obraco... Do roli ci, krowiego ogona, się trzymać, a nie do miasta, jeszcze na rzeźnika!

Na jego rachunek prowadzono stale pocieszne rozmowy:

— Powiedom wam matulu — tak w tłustość obrastom, jak księdzowa broda.

— O lo Boga! Widzielišta ludzie — do czego ten zbereźnik przymierzono poświęcaną księdza brodę!?

— A gęby — moja matulu — to tak mi się świecom — jak naszemu Bryłusiowi — ogon.

To też kiedy mu już policzki z onej tłustości i zbyt częstego „masażowania“ — poczęły puchnąć nad miarę — wywędrował Woś z powrotem na wieś i został parobkiem.

To była najpiękniejsza w jego życiu wiosna! Chodził sobie właśnie po tej roli, którą mu tak wciąż wypominano, pogwizdywał na konie, ćwiachał batem na wrony, co się za pługiem włoczyły i uśmiechał się do słońka, co mu się tak radośnie słało pód nogi, ale po stokroć wolał uśmiechać się do tej naj-

piękniejszej i najlepszej w całym świecie dziewczyny — do swojej Jagusi. Ona go nauczyła czytać, ona mu prala — by chodził czysto — koszule — ona jedyna płakała gdy jej opowiadał ó swych warszawskich terminach, ona wreszcie rozbudziła w nim uczucie pierwszej, słodkiej miłości.

Kochał ją też Woś bardziej niż tę brylantową rosę na łące i dźwiękliwy śpiew skowronka — ach ponadto nawet jasne — złote słońko na niebie! — bo swego życia nie cenił bardzo.

Ale trzeba wypadku, że zdybał ich stary Wichroń w ogrodzie — gdy się całowali i rozprawił się krótko.

Zbił dziewczynę, zbił jego i wygnał na cztery wiatry!

Poszedł Woś znowuż do Warszawy, bo i dokąd miał pójść? Nie w każdy dzień jadł i nie w każdą noc spał, bo nawet z pod pustych szop wypędzano go jak psa, aż trafił wreszcie do piekarzy. Ci nie byli, co prawda tacy hardzi jak rzeźnicy, ale zato więcej pili, co na jedno wychodziło.

Długo próbował Woś — kto cierpliwszy, ale nie wytrzymał.

Pracował potem u ogrodników, czyścił noże i mył łądło w restauracjach, gdzie go miejscowe dziewczęta — po raz pierwszy — z wielką uciechą — wta-

jemniczały w znaczenie grzechu pierworodnego. Został następnie posługaczem w hotelu i stąd już awansował wprost na bandytę.

Ale nie lubił Woś gdy mu o tym wspomiano i martwił się, czy—jeżeli z katongi ucieknie — przyjmą go do polskich Legjonów.

Te legjony — to była jego najserdeczniejsza troska i cel życia. Pieniądze — jakie zarabiał dawał strażnikom na gazety, aby się coś nie coś o tych legjonach dowiedzieć i w ścisłej tajemnicy obmyślał ucieczkę.

Miał już Woś przygotowane wszystko do drogi: sznur, kotwicę, małą piłeczkę do przepiłowania nitów u kajdan, ale się naraz zbuntował.

— Może pójść tylko jeden, więc dlaczego ja właśnie?

— No, to ciągnijmy losy.

Wyciągnął Woś. Zaopatrzone go tedy w adresy, pieniądze — nie szczędzono rad i wskazówek. Miał się Woś przebierać aż do Legjonów!

— Ale będzie nam tutaj smutno bez was, Wosiu! A Woś płakał, całował ich serdecznie i namawiał, aby go wyręczyli.

— Uchowaj Boże! Wyciągnęłaś los — idź!

Niby to się jeszcze wzdragał, ale w duszy był rad. Ukrywał tę radość, bo mu wstyd jej było, lecz cóż robić! W końcu nie wytrzymał.

— Już wam muszę powiedzieć, dlaczego ja tak chcę ogromnie dostać się na wolność. Bo nie mógłbym już z wami dłużej żyć. Powiesiłbym się albo co. Bo wy wszyscy jesteście bojowcy. Ciężą wam kajdany, ale wy wiecie, że to za święte prawo wolności! A ja cóż? Bandyta. Ograbiłem kilku żydów na szosie — wstyd i hańba... I krew mi zalewa oczy kiedy ściskacie moją dłoń... To chciałbym coś zrobić... chciałbym zmyć tę hańbę — abym mógł powiedzieć śmiało, że was znałem i żyłem z wami. Możemy nawet zostać waszym towarzyszem...

— Głupstwa — Woś — pleciesz, Cóż to? nie uważamy ciebie za towarzysza?

— Odmieniłeś serce i — co tu długo gadać! Byczy z ciebie chłop i towarzysz — byle ci się tylko udało zwać.

Tego jeszcze wieczoru poszedł Woś do kuchni po wodę ze starym Gawłowskim. W drodze spotkał ich pomocnik naczelnika i coś sobie ubrdał do starego.

— Ty — jak się nazywasz? — zapytał.

Stary ze strachu zapomniał języka w gębie i — co gorsze — zapomniał zdjąć czapkę z głowy!

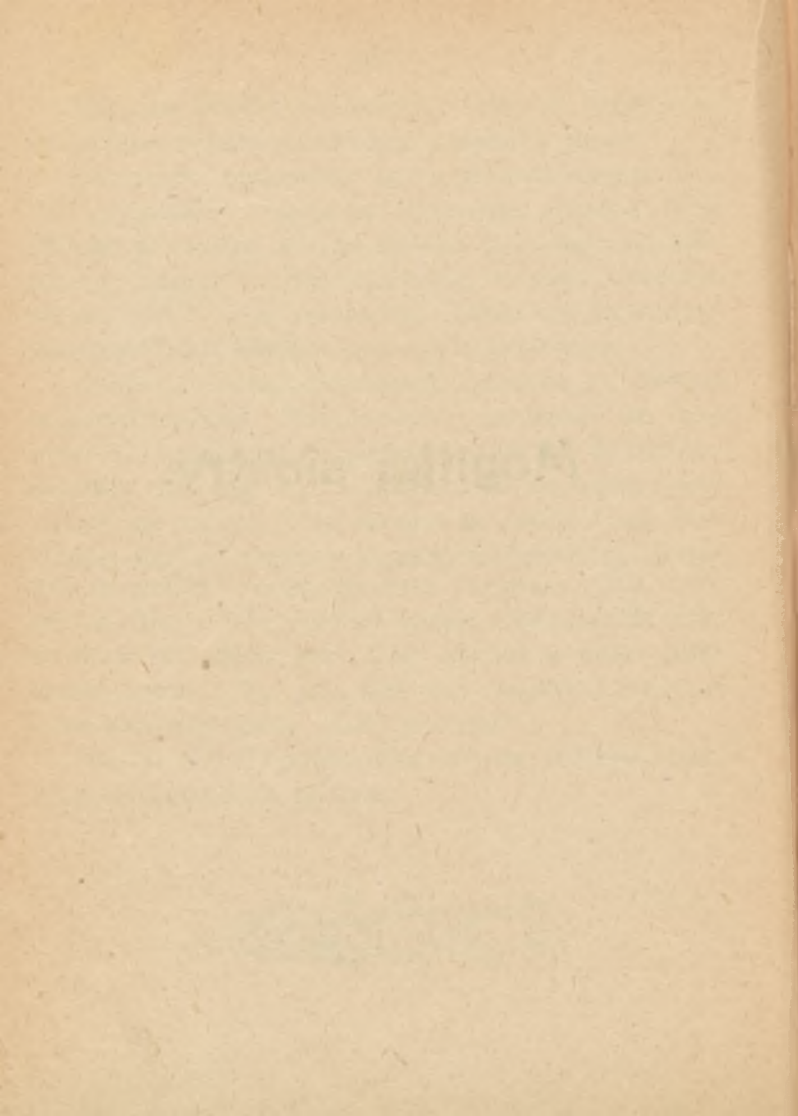
Pomocnik naczelnika był tego dnia czegoś bardzo ziryutowany — więc nic dziwnego. Macnął tedy starego w czapkę, aż mu się ten siwy łeb zachwierał — poprawił z drugiej strony, aż stary potoczył się na mur i cicho zaszlochał. Także nic dziwnego. Gawłowski był stary, a pomocnik ziryutowany.

Ale Woś nie był ziryutowany i czapkę już dawno w garści trzymał. Pomimo to — podszedł do pomocnika i machnął go pięścią w twarz. Widać pomocnik nie tęgi był w nogach, bo się odrazu wywrócił, ale to nic. Woś skoczył na niego i kuł. Kuł z całej siły, od serca — z jakąś wściekłością, z jakąś rozszalałą — nieprzytomną rozkoszą. Nie czuł że ktoś mu z tyłu również zadaje niedźwieozie razy, że krew mu zalała oczy i że ma już w boku połamane żebra. Nic już Woś nie widział i nie czuł i nie pamiętał kiedy „kuć“ przestał.

Ale po chwili i pomocnika i Wosia ponieśli strażnicy na derach do szpitala.



Mogilka siostry.



Nad ziemią szarą nad ziemią smutną rozpląkała się jesień.

Po nierównym i pełnym kałuż trotuarze włókł się przemokły zupełnie Rogoń.

Wiatr tańczył koło niego i zawiewał z różnych stron, chlupał mu wodą w twarz, a potem chichotał za węglami domów jakby z radości, że znalazł sobie ofiarę, ale Rogoń na to nie zważał.

I w jego duszy rozpląkała się Jesień, więc było mu wszystko jedno. Nie słyszał wycia wiatru, nie czuł wilgoci wody, która mu obficie spływała z czapki za kołnierz.

Dokładnie nawet nie zdawał sobie sprawy, skąd i dokąd idzie. Po paru minutach był już w domu i, zstępując w dół po ceglanych schodach, pierwszy raz zauważył, że schody te wyglądają, tak, jakby im kto zęby powybiiał; wreszcie otworzył drzwi do mieszkania. Była to raczej piwnica na kartofle, ale

u nas przechowuje się w takich piwnicach rodziny najbiedniejszego proletariatu — wszelkiego rodzaju parobków, tragaży, stróży i t. p. Tu ich dzieciom wilgoć rozsada kości, a kołtun zwija w strąki włosy ku wielkiej ucieście cywilizacji.

Nie było tu podłogi, ani posadzki, nędzarz i tu miał pod nogami grunt wyboisty, nierówny, aby się zbyt do wygod nie przyzwyczajał. Mrok tu panował wieczny, bo przez małe okienko, złożone z trzech szybek — pod samym sufitem nie wiele światła wpływało do wnętrza.

Mała, naftowa lampka słabo oświetlała, a przykryta dla oszczędności, wydzielala niemiłą woń, która łącząc się ze stęchlizną i parą — stwarzała powietrze nie do zniesienia! Ale czego to człowiek znieść, do czego przyzwyczaić się nie może?

Pod lampką tą, przy koślawym stole klęczało na ławce dwoje małych dzieci. Przytulone do siebie, główka przy główce — ogromnie były zajęte. Dziewczynka białym, malutkim paluszkiem wskazywała na różne punkty obrazka wymalowanego w książce i dźwięcznym jak ptaszek szczebiotem — pytała:

— A to?

— To, odpowiadał chłopiec — król Władysław Łokietek.

— A to?

— To jakiś rycerz.

— A to?

— To? czekaj! To grota w Ojcowie. Taka jama.

— Aha, jama, Ha, ha, ha! Jama, jama! i spojrzała na brata niebieskimi, radośnie błyszczącymi oczkami.

— Czego się śmiejesz? — zgromił ją chłopiec. Patrz tutaj!

— Nie, już nie chcę, — odrzekła dziewczynka i objęła rączkami szyję brata. Powiedz mi, zaczęła — przymilając się — powiedz mi, czy na dworze też tak ciemno i smutno jak u nas?

— O, nie! na dworze widno, a jak słońce świeci to bardzo wesoło, albo nie widziałaś?

— Widziałam, ale już nie pamiętam. Chciałabym zobaczyć, jak jest na dworze, ale okno zamazane i tak wysoko, że nie mogę dostać. Powiedz mi, — poco oni tak wysoko zrobili okno?

— Nie wiem — odparł chłopiec. Ale patrz jak deszcz stuka w szyby i spływa na ziemię, jak łzy po twojej buzi, kiedy płaczesz.

I oboje przez chwilę w milczeniu przypatrywali się kroplom spływającym po szybkach małego okien-

ka. Na to wszedł Rogoń. Dziewczynka skoczyła do ojca, ale ten ją łagodnie odsunął.

— Nie pchaj się, Helciu — widzisz jaka woda?

Dziewczynka odsunęła się i rozszerzonymi ze zdziwienia oczkami i rozchyloną jak kwiatek buzią przyglądała się ojcu.

— Co, matki jeszcze niema? — zapytał i nie czekając odpowiedzi dodał — a wy coście robili?

— Uczyliśmy się, pośpieszyła dziewczynka.

— Uczyliście się? To uczcie się jeszcze. Uczcie się wciąż. Uczonemu człowiekowi dobrze na świecie, a nieuczonemu gorzej niż bydłciu.

Dzieci powróciły do książki, a on usiadł pod ścianą i ogarniając je wzrokiem, myślał z goryczą. — Dobrze jest człowiekowi uczonemu i dobrze jest człowiekowi bogatemu, a człowiek biedny i ciemny — musi być pokorny jak pies i pracowity jak wół, aby wychować dzieci na takie same pokorne psy i pracowite woły.

Była niedziela. Od samego już rana siedział Rogoń przy stole i, pod kierownictwem Piotrusia wprawiał się do pisania. Obok niego klęczała mała Helka i z wielką powagą i namaszczeniem zamazywała ołówkiem kawałek papieru — ustawicznie zwracając się do brata z prośbą, aby jej odczytał — co

ona napisała. A kiedy chłopiec brał te bazgroty i ni-
by odczytywał — słuchała pilnie i z wielkiem zaję-
ciem, wierząc święcie, że tak jest właśnie napisane.

Przy tym zajęciu zastał ich gospodarz domu.

Wszedł ostrożnie, patrząc pod nogi, aby nie wpaść
w jaki dołek. Za nim, w ciemnościach sieni połyski-
wała wypolerowana blacha stróża.

Rogoniowi na ich widok wypadło z ręki pióro.

Wstał z ławy i już z pięć razy się uklonił, nie
wiedząc nawet o tem. Kulił się tylko coraz bardziej
i garbił a po głowie plątała mu się jedna jedyna
myśl: „Skąd wezmę? Skąd wezmę?“

Rogoniowa z trwogą wpatrywała się w ogoloną
i pełną jak księżyc twarz gospodarza, a mała Helka,
spojrzawszy na gości i przerażone twarze rodziców,
rozplakała się w głos.

— Tfu! Cóż to u was tak śmierdzi? — rzekł na
przywitanie gospodarz. — Trzeba okno otworzyć.

— Nie można — odparł Rogoń, wybijając pokło-
ny — bo woda by się z ulicy lała.

Gospodarz tylko poruszył groźnie węsami i przy-
stąpił do rzeczy.

— No, a jakże będzie z komornem? Cóż wy so-
bie myślicie?!

— Skąd wezmę? — jęknął Rogoń.

— A mnie to co obchodził — wybuchnął gospodarz. Cóż u diabła — myślicie, że darmo będę was trzymał?

— Niech pan się zmiłuje i zaczeka — prosiła Rogoniowa, usiłując pocałować go w rękę, ale gospodarz się usunął.

— Nie mogę — rzekł. — Ja podatki muszę płacić, a pieniądze mi z deszczem nie płyną, zresztą już 3 miesiące czekam. Musicie postarać się i zapłacić, bo inaczej, Bóg mi świadkiem, będę zmuszony wyrzucić was na ulicę.

— Skąd wezmę? — szepnął Rogoń.

— Niech się pan zmiłuje — prosiła Rogoniowa. — Pogrzeb mieliśmy. Na trumnę dla matki pożyczylimy...

— Bardzo to pięknie i owszem — mówił gospodarz — ale ja u siebie kuźni z pieniędzmi nie mam, abym mógł tego... Zresztą mieszkanie to już wynajęte. Musicie się wyprowadzić.

— Miej pan sumienie — jęknął Rogoń.

— Głupi jesteś ze swoim sumieniem! — rozgniewał się gospodarz. — Daj mi milion, to będę ci nosił sumienie na plecach jak katarynkę. Ale tymczasem macie zapłacić i wynosić się, gdyż mieszkanie to już wynajęte.

Wykręcił się majestatycznie i wyszedł.

Stróż latarką świecił mu na schodach.

Za nimi cicho wysunął się Piotruś i pobiegł przez podwórze za gospodarzem. Zbiegł mu drogę i przystanął. Serce gwałtownie zabiło mu w piersi, że o mało nie zabrakło mu tchu, ale się przemógł i przemówił cichym głosem:

— Proszę pana, bo może pan nie wie, że nasza Helcia chora i nie ma w co się ubrać i... proszę pana...

— Co on chce? Czyj to chłopak? — zwrócił się gospodarz do stróża.

— A to tych -- tam — odparł stróż.

— Jeżeli nie zapłacą — macie sprowadzić policję i wyrzucić ich won! Zadużo mi siedzi na karku tej hołoty — mówił gospodarz, wychodząc na ulicę.

A Piotruś poczuł naraz jakiś dziwny wstyd.

Zawrócił więc szybko, zbiegł po schodach, ale zamiast wejść do mieszkania wcisnął się w najciemniejszy w sieni kąt. Tu, nagłym ruchem rozpaczy chwycił się za głowę i gorzko, serdecznie zapłakał. W tem przypomniało mu się, że trzeba się modlić. Ludzie się modlą i Bóg ich modlitwy wysłuchuje. Czemużby jego nie wysłuchał?

Więc padł na kolana i z całą żarliwością serca dziecinnego, z niezachwianą wiarą w duszy, iż Bóg go usłyszy — począł się modlić: — Boże mój kochany Wszchemogący! Zrób tak aby gospodarz nas nie wyrzucił i aby rodzicom było lepiej i aby Helcia miała się w co ubrać! Ona taka maleńka, mój Boże kochany i chciałaby wyjść na dwór, kiedy słońce świeci. Ja wiem, mój Boże, że ty jesteś dobry i zrobisz to, o co ja Cię proszę! — Poczem zaczął odmawiać zwykły pacierz, ale różne inne myśli plątały mu, tedy przestał i usiadł. Oparł znużoną głowinę o mur wilgotny i zapatrzył się w mrok suteryny.

I oto z serduszka jego, jak kwiat z pąka poczęło wykwitać poczucie krzywdy, które jak chmura przysłania słońce, a ślinę zaprawia piołunem. Serce chłopca skurczyło się z żalu i do oczu napłynęły łzy. atoli naraz zrodziła się w głowie jak płomień pierwsza rewolucyjna myśl buntu i chęć walki. Chłopiec zacisnął pięści i chciał biedz dokądś, ale nagle oga-rnęła go dziwna senność, więc pochylił głowę na kolana i zasnął.

Po długiej, uciążliwej wędrówce od Ananasa do Kaifasza — udało się wreszcie Rogoniowi pożyczyć trochę pieniędzy. Siedział teraz właśnie na ławie

i trzymając w garści kilka papierków — rozmyślał co zrobić z niemi.

— Zanieś gospodarzowi — doradzała Rogoniowa. — Niech już nam da spokuj, niech się niemi udławi i niech już mi chałupy nie nachodzi, bo mu kiedy łeb garnkie n rozbiję i pójdę do kryminału. A dziecku, może Bóg da, że ta choroba przejdzie. Zresztą jak się tu z chorym dzieckiem przeprowadzać — mówiła dając — odgadując jego myśli.

Ale choroba Helci nie przechodziła, jak to przewidywała Rogoniowa.

Pewnego dnia stali oboje nad kołyską, w której leżała mała Helka. Dziecko spało, ale snem urywanym, krótkim, jak ptaszek, który zmordowany ciężką i długą drogą, usiadzie na gałązce i przymknie oczki, lecz tylko na chwilę maleńką, bo śpieszyć się musi, bo krótki już czas.

W pewnej chwili ze spieczonych ustek dziewczynki wydobyło się słowo, które jak grot ugodziło w serca obojga rodziców:

— Mama...

Rogoniowa przypadła do kolebki.

— Co Heluniu?! Co córusiu maleńka?!

Ale dziecko z niechęcią odwróciło główkę. Matka wyprostowała się i znowuż stali oboje z głowami

pochylonemi, zamarli, przerażeni, wpatrując się w obsypaną białymi lokami główkę dzieciny i w bezradności straszliwej klękały ich dusze nieszczęsne przed tą kolebką z niemą modlitwą na ustach z prośbą serca konającego w bólu i rozpacz:

— Heluniu!..

— Promieniu złoty życia naszego...

— Jasne słoneczko dusz naszych.

— Ulituj się!..

— Nie odchodź!..

I dziecko jakby usłyszało tę prośbę, bo otworzyło oczki pełne cichego smutku i zapytało:

Mamo, czy ja umieram już?..

A matce się wydało, że jej serce pękał że piersi jej rozrywa jakiś wściekły huraganowy ból, że jej rozsadza każdą kość, a ziemia zapada się w otchłań straszliwą, bezkresną. Och stokroć razy lżejsza byłaby śmierć.

Do łóżeczka zbliżył się Piotruś.

— Co ty pleciesz, Helka?

Dziewczynce na jego głos rozchyliła się buzia uśmiechem pełnym nieopisanej radości.

Przez chwilę rozpaloną rączką gładziła rękę brata.

— Piotruś, Kochany piotruś! Jak umrę, to przynieś mi do grobu trochę słońca, dobrze? Bo tam pewnie tak ciemno, jak tutaj — u nas.

— At, nie pleć. Jak będziesz zdrowsza, to zaprowadzę cię na pole. A teraz śpij, to cię przestanie boleć główka — mówił łagodnie, odgarniając jej śliczne loczki z czoła, gładząc delikatnie główkę i rączki. I mała Helka zasnęła, ale już się więcej nie obudziła.

W parę dni potem — odprowadzano małą Helkę na cmentarz. Za trumienką szło kilka kobiet i popłakując nad swoją dolą, rozmawiały o zmarłej:

— Mój Boże, mój Boże! A takie to było jak kwiateczek, ładne, a jak iskierka żywe!

— Prawda, prawda. Cościć w tym roku ogromnie dzieci umierają. Z powietrza na nich ta choroba idzie, czy co?

— Pewnie, takie w tym roku wiatrzysko, jakiego ludzie już dawno nie pamiętają.

A wiatr istotnie dał i za węglami domów chichotał „Hej, matki. gdybyście wiedziały, kto waszych dzieci zabójcą — inaczejby świat wyglądał!”

Zaś Rogoń, któremu kobiety kazały śpiewać li-tańję — przepowiadał sobie w pamięci;

— Źle jest na świecie żyć człowiekowi pracowitemu, jak wół i pokornemu, jak pies, ale dobrze jest człowiekowi bogatemu i uczoneму.

Minał tydzień, miesiąc. Przełakano stratę, czas rozproszył żań i w końcu zapomniano o Helence. Tylko Piotruś nie zapomniał.

Dla niego Helka żyła wciąż.

I skoro tylko znalazł chwilę czasu — biegł na cmentarz i stroił mogiłkę w kwiaty i kamyki, śpiewał piosenki, które Helka za życia lubiła i rozmawiał z nią, niby z żywą istotą.

Ta drobna, maleńka mogiłka, była jego przyjacielem, powiernikiem cichych świeżych myśli i pragnień i najmilszym kolegą.

Tu przybiegał, gdy pożyczył jaką książkę ładną, by przeczytać ją Helci. Tu, wreszcie, pochyliwszy się nad mogiłką, skarżył się ze swoich trosk i bólów, lub zwierzał z nadziei i radości

Helka zawsze wiedziała, jaki stopień otrzymał w szkole za rachunki i czytanie, że nauczyciel go chwalił, a na ulicy Ignac kopnął w brzuch nogą, aż mu wypadły z rąk książki.

Tak upłynęło parę lat.

Na mogiłce Helki kwitły prześliczne róże, białosnieżne narcyzy i wonne fijołki, ponad którymi roz-

wiewał wiatr wiotkie gałązki brzoź, przybranych w cudną zieleń drobnych listeczków, których szelest wraz z wonią kwiatów rozlewał się w powietrzu.

Lubił Piotruś wsłuchiwać się w ten trwożliwy, to cichy, to znów jak burza zrywający się poszum małych listeczków. Marzył nieraz, że to tysiące motyli załopotalo nad mogiłką Helki, aby ją unieść na skrzydłach z grobu na łąki, na pola, w złocistych blaskach słońca wykapać.

Czasami znowuż szelest ów wspominał mu jego pierwszą, chłopięcą modlitwę w suterynie — i smutek, jak mgła, przysłaniał mu oczy i białe czoło, a z duszy wybuchał nieugasły żal i płomieniem serce ogarniał i strzelał hen, wysoko — ku srebrnym gwiazdom na niebie! I wówczas opanowywało go gwałtowne pragnienie zemsty. Zemsty straszliwej, okrutnej — i wszystko jedno, nad kim: nad ludźmi, nad światem, czy Bogiem! I niechby zadrżał świat, niechby struchleli ludzie i niechby zapłakał sam Bóg, a wówczas by może wiedział, jaka to męka patrzeć, gdy zasypują ziemią małą Helenkę, a potem przez lata całe przychodzić co dzień i napróżno wywoływać ją z grobu!

Albowiem Piotruś prawie codziennie bywał na siostry mogiłce. A gdy się zdarzyło, że nie poszedł,

to mu się strasznie dłużył dzień i jakiś inny, ogromnie smutny i pusty wydawał świat, a w nocy nie mógł spać, bo mu się wciąż wydawało, że tam na niego czeka, że go przyzywa dzwiecznym głósikiem, a może go szuka wśród grobów cmentarza i płacze: Piotrusiu! Piotrusiu!

Zrywał się wówczas — wybiegał na dwór i nasłuchiwał. Czasem podchodził blisko pod cmentarz i przez sztachety wypatrywał, czy nie ujrzy gdzie między grobami małej dziewczynki płaczącej — w białej koszulce i boso.

Pewnego dnia przyszedł Piotruś na grób Helenki bardzo rano. Napiił wodą kwiaty, poprawił kamienie, opatrzył drzewka, poczem wyjąwszy z zanadru sztandar czerwony — rozpiął go na drewnianym krzyżu. A gdy na wschodzie rozplómięła się poranna zorza, to na sztandarze, białemi literami pisane zaśniały słowa: „Słońca dla małych dzieci!”

Piotruś stał i czytał, a sercem jego targał smutek i żal, lecz zarazem zapadało w duszy, jakieś głębokie postanowienie, które oto zatrząskiwała niby kłamra żelazna — niezłomna i twarda wola.

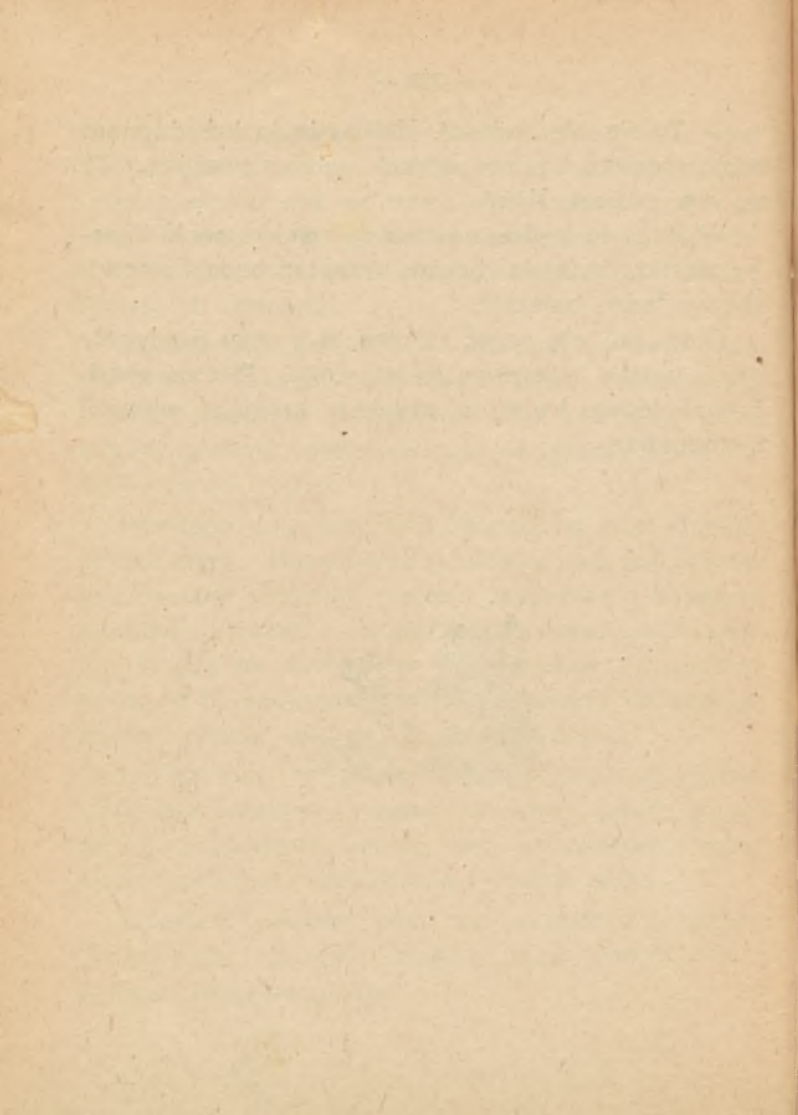
Wreszcie oderwał oczy od sztandaru przykląkł i, pochylając się nad mogiłą, począł mówić zmienionym, drżącym głósem.

— Ty się nie gninwaj, Helko, że ja już żegnam
twoją mogiłkę i już tu więcej nigdy nie wrócę. Ty
się nie gniewaj, Helu!

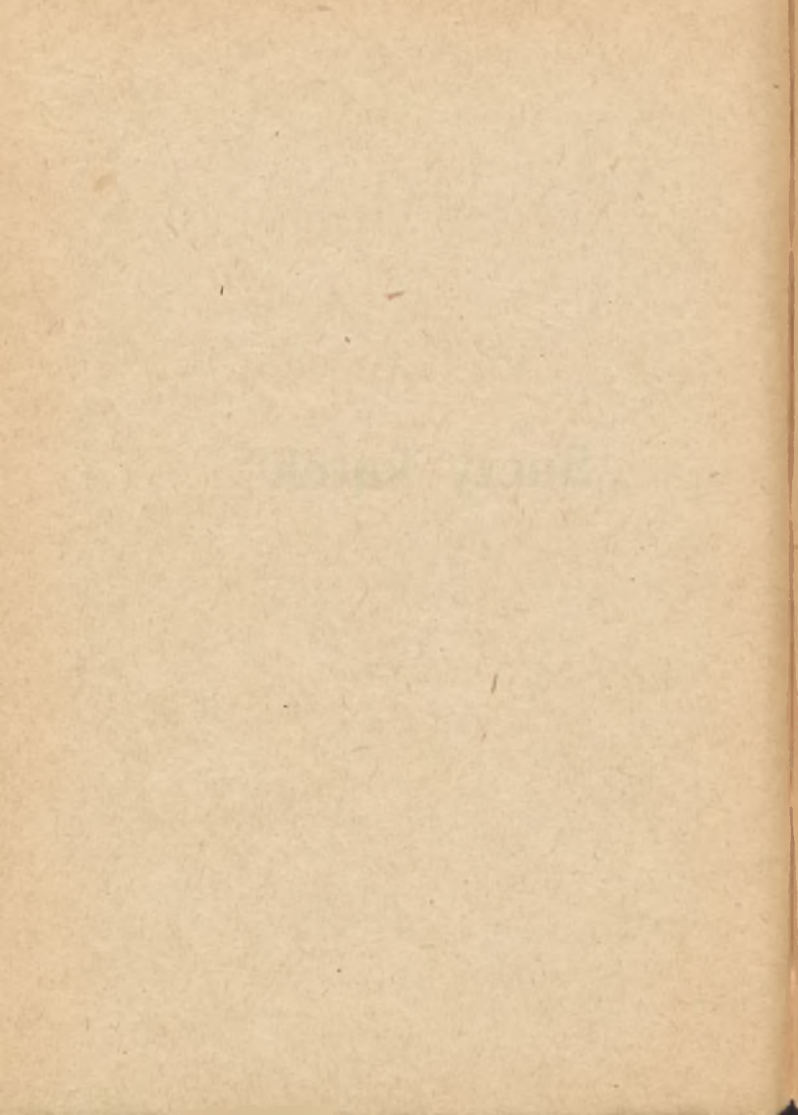
Wiatr ci tu będzie za mnie śpiewał piosenki i ma-
łe ptaszki, a białe brzoźki szeptać będą bajeczki.
Śliczne ładne bajeczki.

Głos mu się naraz załamał, a z oczu popłynęły
łzy i zrosiły czerwone kwiaty róży. Piotruś wstał.
Zerwał jeden kwiat i szybkim krokiem wyszedł
z cmentarza.





„Suczy kątek“.



Suczy kątek — to cela w której siedzieli prowokatorzy, szpicle, zdrajcy wszelkiego gatunku, podejrzani o stosunki z administracją więzienną — słowem wszyscy ci, którzy w taki czy inny sposób, podpastrując i podsłuchując ludzkie czyny i słowa — donosili o tem władzy, gwoli własnych korzyści, czy zarobku. Surowe prawo aresztanckie nakazywało bić takich bez miłosierdzia i na każdym miejscu.

Siedzący w „Suczym kątku“ nazywał się „Suka“. „Suki“ byli niejako podwójnie wyjęci z pod prawa. Byli to bezwątpienia najgorsi, ale też i najniezszczęśliwsi z ludzi. Otaczała ich nienawiść więźniów i pogarda strażników.

Dobrze jeszcze jeżeli siedzieli na miejscu, izolowani i odcięci od wszystkich, jak trędowaci, ale biada, jeżeli wysyłano którego z nich do innego więzienia, albo gdziekolwiek w drogę. Już mu nic nie pomogło: ani maskowanie się, ani przekupstwo, ani prośba

konwoju o opiekę. Bito ich w drodze i na etapach, bito bez miłosierdzia, stale, i pędzono jak wściekłe psy.

W tej nienawiści więźniów do każdego „Suki” jest coś niesamowitego, coś przerażającego! Jakaś nieubłagana straszliwa, odraza i chęć zmiżdżenia gada!

O takim śmiało można powiedzieć słowami ewangelji: — Lepiejby przywiązał sobie kamień młyński do szyi i rzucił się do morza.

„Suka” nigdy nie śmiał się zbliżyć na długość ręki do zwykłego więźnia.

Ale administracja posyłała niekiedy tego lub owego z „Suczego kątką” na jakiś oddział na próbę — a może zapomnieli?

Miała w tem administracja swoje wyrachowanie, a pozatem taka izolacja większej ilości aresztantów i dla nich nie była dogodną.

Często również i taki „Suka” zmierziwszy sobie życie, czy towarzystwo — tchnięty zwykłą ludzką tęsknotą, albo wyobraziwszy sobie niewiadomo jakim sposobem, że darowaną mu będzie wina — z całą lekkomyślnością zwracał się z prośbą do starszego strażnika o przeniesienie go na zwykły oddział.

— No, a tego... Przyjmą tam ciebie?

— Przyjmą. Czemu nie mają przyjąć! Zresztą poprobuję.

Atoli „próba“ kończyła się zwykle tak, że śmiałka odnoszono do szpitala, a kilkunastu więźniów szło do karceru na parę tygodni.

Właśnie pewnego dnia wszedł do celi jeden „taki“ z „Suczego kąłka“. Nieśmiało położył swoje zawiątko koło „paraszy“, — jakby chciał przez to zaznaczyć, że dla niego wszystko jedno gdzie, byle tutaj i, miętosząc w rękę czapczynę, pokornie ukłonił się całej celi, kierując ukłon trochę na lewo, w stronę lwana Iwanowicza — „brodiagi i obratnika“, a jak wiadomo, już jeden tylko taki tytuł wystarczy aby być starostą całego oddziału.

Ale nikt jakoś tego ukłonu nie zauważył i czynił dalej swoje, jak gdyby nigdy nic.

Wówczas „Suka“, milcząc, złożył powtórny, niski ukłon — tym razem wyraźnie zaadresowawszy do lwana Iwanowicza, ale napróżno. Natomiast ze stołka powstał Woś, który już kilkakrotnie za pobicie „Suk“ odsiadywał karcer i z najwyższym zaciekawieniem począł oglądać ze wszystkich stron nowoprzybyłego, własnym oczom nie wierząc.

— Ty, zdaje się, jesteś Ułaszow? — zapytał go wreszcie.

— Tak jest, Ułaszow — odparł ten. Zdrastwujcie, Iwan Iwanowicz.

— Zdrastwuj. A co powiesz.

Ułaszow ciężko westchnął.

— Nic, Iwanie Iwanowiczu. Ot, dusza boli, serce boli — żyć się chce między ludźmi szlachetnymi. Pozwólcie zostać u was.

— U nas? Ty się pewnie pomyliłeś, „Suczy kątek“ na górze, — informował go Iwan Iwanowicz dobrotliwie.

— Tak znaczy się, towarzysze, wy mnie do „Suczego kątk“?..

— Jakto my!? Miarkuj się i bacz co mówisz! Sam przecie tam poszedłeś!

— A po drugie, jacy my dla ciebie towarzysze!?

— wtrącił Woś z groźnym błyskiem w oczach.

Ułaszow obejrzał go tajemniczym spojrzeniem i milczał. W pewnej chwili oparł się plecami o ścianę, jakby go nagle opuściły siły. Ręce mu drżały nerwowo, a przerażone, psie, pokorne oczy włożyły się to za tym, to za owym z niemym błaganiem o litość i zmiłowanie.

Ale tylko Woś — usiadłszy naprzeciw — utkwiał weń swoje jastrzębie oczy; poza tym wszyscy starali się go nie widzieć, bo już zbierała w nich złość. Zda

się sama obecność „Suki“ podniecała ich i tylko czekali chwili, aby się rzucić na niego, jak psy na wilka.

— Więc co ja mam począć? — zapytał wreszcie „ten“.

— Ha, co chcesz, — rzekł Iwan Iwanowicz. — Twoja wola. A najlepiej idź sobie. Zresztą, co ja ci mogę poradzić? Zwróć się do ogółu. Co ogół powie tak i będzie.

Ułaszow postąpił krok naprzód.

— Wina moja jest wielka — zaczął — ale kto mnie do tego zmusił? Gorszi są, lecz wy jesteście dla nich wyrozumiali, przebaczcie więc i mnie nieszczęsnemu?

Niewiadomo, czy ton mowy, czy łzy, drżące u powiek Ułaszowa, czy inne jakie względy sprawiły, że po tej przemowie Ułaszow stał jeszcze cały i nie miał połamanych żeber i przetrąconego nosa. Tylko tu i owdzie — po celi — ozwały się nieubłagane głosy:

— Idź sobie. „Suka“ jesteś. W „Suczym kątku“ siedziałeś. A czy my wiemy, pociś ty do nas przy-szedł? Najlepiej idź sobie.

Wtedy Ułaszow wyszedł na środek celi i padł na kolana.

— Bracia sprawiedliwi i miłośnierni! Ludzie szlachetni! Zmiłujcie się! Nie wypędzajcie mnie... Cztery lata już tylko mi pozostało... Cztery lata! Dlaczego mam być zdaleka jak pies parszywy?... Ach, a „tam“ ciężko żyć... Nie sposób żyć!.. „Tam“ „oni“ się żrą jak wściekłe psy... „Tam“ przekleństwa i jęk i płacz... Piana im bryzga z ust... Oszaleć można!... Na kolonach was proszę, ludzie serdeczni — zlitujcie się! Pozwólcie zostać!...

Zamilkł i, klęcząc ze wzniesionemi do góry rękami, oniemiały, blady, rozglądał się po celi — jakby się dziwił tej ciszy, która go nagle ogarnęła.

W celi bowiem nie odezwał się ani jeden głos. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Zdałoby się — nie widzieli tego wszystkiego i nie słyszeli.

Ułaszow wstał ciężko i, posuwając łapciami powłókł się do drzwi.

Tu długo, bardzo długo, szukał po ziemi swego zawiniątka.

Działo się z nim coś, czego nie mógł zrozumieć.

Idąc tu, był przekonany, że jeżeli go nie przyjmą, to przynajmniej obiją i pójdzie do szpitala.

Tymczasem stało się inaczej. Stała się rzecz niepojęta, nie do wiary, poprostu głupstwo, ale dla niego wielka, nie dająca się naprawić krzywda. I straszny obłąkany jakiś żal rozpierał piersi Ułaszowa.

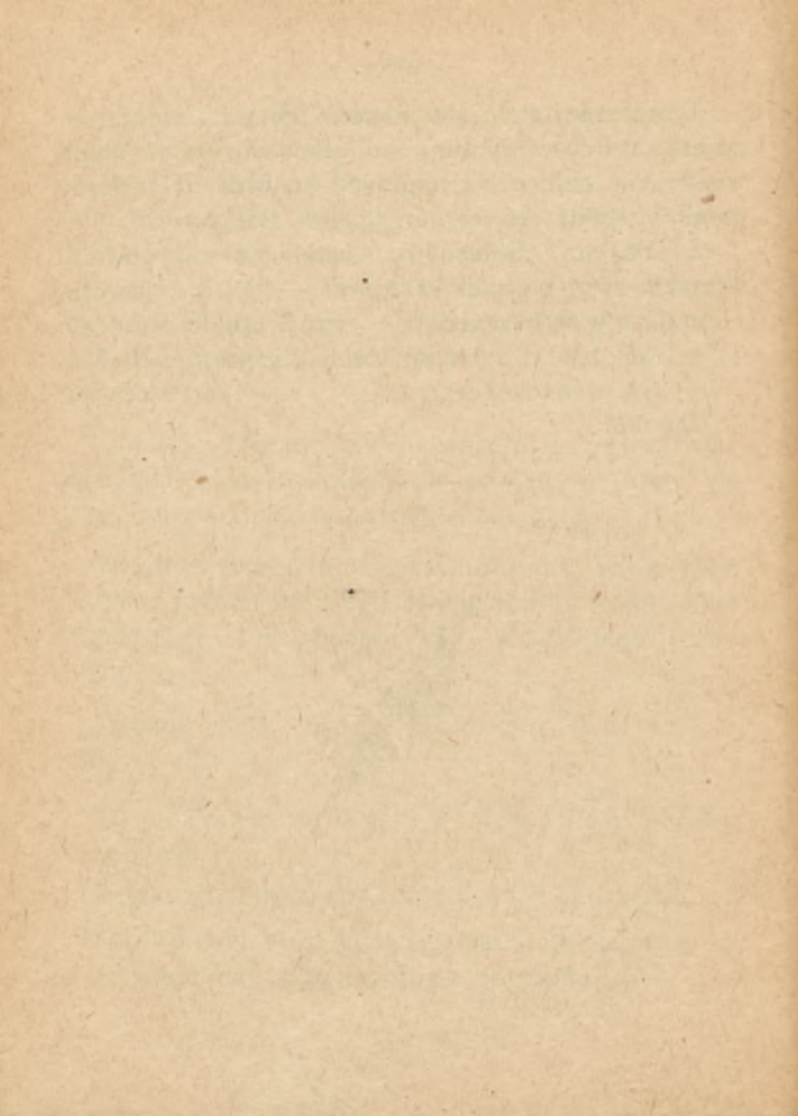
Z ciężkim, bolesnym wectchnieniem, podniósł wreszcie swój węzełek z ziemi — i, raz jeszcze, z konającą w sercu nadzieją — zwrócił się do całej celi:

— Tak, znaczy się, mam iść do „Suczego kątku“...

— Idź, dokąd chcesz.

Zapukał.





W studni.

1871

Starszy strażnik, Iwan Iwanowicz Czelabin, okropnie nie lubił samotnych pijaków na ulicy. Wszyscy djabli go brali, jeśli zobaczył człowieka latającego po chodniku od ściany do rynsztoka i z powrotem, albo z całym natężeniem podpierającego parkan, czy latarnię.

Przystawał wówczas i z litościwo-zazdrosną nienawiścią mówił sam do siebie.

— Ot, spiło się bydlę. Strach patrzeć! Sam pewnie gałgan pił, i wszystkie pieniądze przepił Egoista!

Ta okoliczność właśnie najbardziej go oburzała. Czelabin bowiem abstynentem nie był i wypić lubił, osobliwie nie za swoje pieniądze. Atoli od czasu, kiedy mu bojowcy rewolwer i szablę zabrali i w dodatku jeszcze za głupi upór gębę obili, pił nawet i za własne pieniądze. Pił nie ze strachu, ale z rozpacz, bo mu obiecano, że będzie zdegradowany,

jeśli się czemś nie odznaczy. Pił tedy i szukał bojowców, a do pomocy wziął sobie niejakiego Joska, który przy tej okazji kradzionymi końmi handlował. Pewnego wieczoru siedzieli obaj w karczmie i pili.

— Słuchajcie panie Czelabin — mowłł Jousek trochę zirytowany — dlazego wy na tę parę koni nie chcecie mi dać „przepustki“?

— Kradzione — odparł Czelabin.

— Kradzionel tfu! żeby moje wrogi mieli takie zdrowie, jak to są kradzione konie! Ale wam się już zupełnie we łbie przewróciło, panie Czelabin! Wam się zdaje, że wszystkie konie na świecie kradzionel!

— Ja ci już mówiłem — rzekł na to Czelabin — rzuć ty konie, a dawaj mi bojowców.

— No właśnie — bojowców. Ale gdybym ja na jarmark nie jeździł i koni nie kupował, tobym tyle wiedział, co wy, a tak, to ja już dużo wiem.

— No i co?

— No i to, że ja już jednego bojowca znam. On przyjechał na jarmark i kupił dobrych parę koni. Po co jemu te konie, to ja niewiem. Może do kawalerji, a może do czego innego. Ale konie jak ogień!

— Ty mi powiadaj, gdzie ten bojowiec, a nie o koniach! — wrzasnął strażnik.

— Cicho! Jest i bojowiec, ale jak wy będziecie tak głośnie krzyczeć, to ja z wami nie chcę prowadzić żadnego interesu. Mnie życie miłe i ja chcę żyć. Po co ja mam z resztą z wami gadać? Ja pójdę do samego naczelnika i on mi za to na dziesięć par koni da przepustkę. — owa!

— No ładnie. A gdzie ten bojowiec?

— Gdzie ten bojowiec? A skąd ja mogę wiedzieć? Kupił konie, wóz, siadł i pojechał.

— Mnie się widzi, że ja ci dzisiaj łeb tą butelką rozbiję — rzekł strażnik.

— Panie Czelabin -- wie pan co? Ja się teraz tym bojowców, co panu wtenczas szablę zabrali wcale nie dziwię, że oni pana nie zabili. Pan jest stanowczo za głupi do polityki. Bo po co mnie wiedzieć gdzie jest bojowiec? Ja znam konie, które on kupił. Kto będzie temi końmi jechał, to ja już wiem, co to za pasażery. Ale ja się jeszcze czegoś dowiedziałem. Ja się dowiedziałem, że ten bojowiec nazywa się Franek i że to jest ten sam, co tych trzech zandarmów zabił. Gruba ryba. Ale co on nas obchozi? My będziemy szukać tylko te konie, które on kupił. Zgoda?

— Zdoda. Twoje konie, a mój bojowiec.

Wtem przed karczmę zajechała furmanka, a po chwili do izby weszło czterech młodych ludzi i kazali podać sobie piwa.

Josek spojrział na nich, potem wyjrzał przez okno i zbladł.

— Panie Czalabin? — rzekł szeptem. — To są te same konie. A ten mały, co siedzi, to jest właśnie Franek, a te wielkie draby, to jego pomocniki.

— „Ładno“ — rzekł strażnik. — Goń do cyrkułu, a ja tu zostanę — poczem nieznacznie odpiął rewolwer.

Josek był spryciarz. Odrazu nurka pod stół i na czworakach, jak kot — już na ulicy. Nie zauważyli go, a strażnik wypił raz po raz trzy kielichy wódki i począł udawać, że drzemie. Chwilami, niewiadomo czemu przechodziły mu po skórze ciarki, ale na ogół czuł w duszy wielką błogość i z żarłoczną ciekawością przypatrywał się młodym ludziom.

— To są te straszne bojowcy — myślał. — Czego ja mam się ich bać? Zwyczajni ludzie. Piją piwo i nawet się nie domyślają, że wleźli w pułapkę.

Wtem do izby weszło jeszcze dwóch i odrazu zwrócili się do niego.

— A ty, psie, włącz pod stół!

Czelabin wyrwał z pochwy rewolwer, ale już strzelić nie zdążył.

Rozbroili go i kazali mu wleźć pod stół. Wlazł. Wiedział z doświadczenia, że nie warto stawiać im oporu, a przytem był pewny, iż lada moment wpadnie komisarz ze strażnikami. Tymczasem minęła godzina jedna i druga, a komisarz nie wpadał.

— Zdradził żyd — pomyślał Czelabin i z rozpaczyny poprosił, abu mu dano wódki.

Owszem — dali. Wypił i w wielkim strapieniu pōprzysięgł w duszy straszliwą zemstę Joskowi.

Był już dobrze pijany, kiedy go bojowcy wyciągnęli z pod stołu i zaprowadzili do studni, która stała na środku rynku. Tu przywiązawszy mu linę pod pachami — piorunem poczęli go spuszczać do studni. Wydało się Czelabiuowi, że zjeżdża do piekła! Już w połowie drogi wytrzeźwiał, a kiedy chlupnął w wodę, oprzytomniał zupełnie.

— Zmiłuj się, Boże, nad moją duszą — westchnął. Woda sięgała mu po pas. Oparł się plecami o murowaną cembrowinę i począł rozmyślać nad tem co się stało i jakby się stąd wydostać. Nagle o dwa kroki przed sobą usłyszał w ciemności jakieś sapa-

nie, plusk wody i groźne kłapanie zębami. Niepójęty strach ogarnął serce strażnika i śmierć zajrzała mu w oczy.

W nadziei, że natrafi na coś takiego, po czem mógłby się wydostać na wierzch, począł obmacywać brzegi cembrowiny i nieoczekiwanie złapał za jakieś mokre kudły niewidzialnego potwora, czy topielca, który szarpnął się nagle i chwycił go za rękę. Teraz już strażnik stracił wszelką rachubę i począł walić pięścią na oślep, nie wypuszczając z ręki mokrych kudłów onego.

Zakotłowała się woda pod niemi, bo i tamten oczywiście nie żartował i bronił się, czy napadał, nie wiadomo. Strażnika porwała wściekłość. Wyteżył wszystkie siły i począł prać na o la Boga! Nagle posłyszał dziwnie znajomy głos: Aj, waj!

Radosne zdumienie wstąpiło w serce strażnika.

— Josek, to ty?

— Ja, ja. Niech pana azjatycka cholera ściśnie!
Strażnika ogarnęło rozrzewnienie.

— Josek, bracie miły i co ty tu robisz.

— Co mam robić! Kłapię zębami i modłę się.
Niech tych bojowców cholera wydusi. Już ja nie

chcę mieć z nimi żadnego interesu! Uf, zimno, jak w piekle!

-- A ja myślałem, że ty topielec — rzekł strażnik.

— Pan zawsze głupio myśli! — irytował się Josek.

— Po co ty mnie tak mocno szarpał za brodę? Teraz ja się zaziębię i może umrę. I przez kogo? przez głupiego strażnika!

Zaczęli się klócić i klócili się już do samego rana, kłapiąc z zimna zębami.

— Rano ich dopiero, ku wielkiej radości całego miasta, wyciągnięto ze studni.



M a j d a n .

Już od dwóch miesięcy gra w karty trwała bez żadnych przeszkód. Wynikały, coprawda, na tem tle kłótnie, czasem kogoś pobito, jeżeli już zbyt bezczelnie szulerował, ale starano się robić to cicho, by nie sprowadzić na kark strażnika. Ktoś zwykle przegrał, ktoś wygrał, naogół jednak wszyscy byli zadowoleni i żyli zgodnie. Nawet dwaj „obratnicy“: Iwan Iwanowicz i Jędrzej Czmiel przestali się kłócić.

Wszystko to jednak zaniepokoiło trochę strażnika. Chodził, podpatrywał, nasłuchiwał, a kiedy dowiedział się, że w celi są prawie wszyscy kryminalni — zaniepokoił się tą ciszą jeszcze bardziej i zawiadomił swoją władzę. Przyszła władza, zrobiono ścisłą rewizję — i nic. pokręcili głowami i poszli.

I byłaby ta harmonja w celi trwała Bóg wie, do kąd, gdyby nie przyprowadzono pewnego Mołdawianina, którego co jakiś czas przeprowadzano z celi do celi.

Był to jeszcze chłopak młody, karłowatego wzrostu, z ogromnym, jak dynia, łbem i tak okropnie żarty, a tak się prędko przy tem żarcu zwiżał, że w celi formalnie wszyscy byli po obiedzie i kolacji głodni. Dlatego też przenoszono go z celi do celi.

Zaczął Mołdawianin grać i wniósł do gry tyle namiętności, co i do żarcia. Zaczęli złodzieje przegrywać wszystkie swoje kapitały. Wielu przegrało już ostatni kawałek cukru, ba, przegrali na trzy miesiące naprzód obliczone plus - minus wszystkie swoje zarobki, spodziewane od rodzin posyłki, a także pantofle, onuczki co lepsze i swoje porcje mięsa. Przegrał i Mołdawianin wszystko, co miał i w końcu sam się stał przedmiotem gry. przegrywano go z rąk do rąk, nawet do innych cel, do których kolejno miał się przenosić. W końcu wyłączono go z gry, jako przedmiot nie posiadający już żadnej wartości. Wtedy Mołdawianin „wsypał” „majdan”, a sam poszedł do „suczego kątką”.

— Oto dlaczego oni tak przycichli — mówił strażnik, przeglądając zawartość „majdanu”. A „wsypało” się nie byle co! Dwa noże, jedna brzytwa zrobiona ze stalowej blaszki, sznurek, cztery gwoździe trzydzieści rubli, w „czystaganie” i dwie talje kart.

Administracja ogłosiła, aby się przyznał ten, do kogo owe skarby należały. Oczywiście nikt się z tem nie śpieszył, ale karciarze chodzili, jak struci. Nowe karty otrzymać było niezmiernie trudno, no i nie było za co. Parę dni trwało w celi ogólne przygnębienie. Każdy chodził, jak otumaniony. Pierwszy oprzytomniał ojcobójca Sumigradow i przypomniał sobie mianowicie, że któregoś dnia podczas gry, majdaniarz Orłowski nazwał go imieniem żeńskiego rozaju, a jak wiadomo, jest to najcięższa w więzieniu obelga. Sumigradow powinien mu być zaraz na miejscu za to wybić conajmniej cztery zęby, ale ponieważ gra wówczas była nader interesującą, więc odłożył rozrachunek na później. Teraz sobie właśnie przypomniał. Zaraz się też pobili rzetelnie i bili się już codziennie rano przed umywaniem. Z tego powodu między zawodowym złodziejem Łukowym i gwałcicielem Jaszczenka wynikła sprzeczka w trakcie której jeden na drugiego powiedział nie wiadomo co oznaczający wyraz: żebra.

— Coś ty powiedział? — zapytał Jaszczenko.

— Żebra.

— Iwan Iwanowicz! Jakie to jest imię żebra?

— Żebra? Koniecznie rodzaj żeński — odparł Iwan Iwanowicz.

Ci bili się jeszcze zawzięciej. Bili się rano i wieczorem, w celj i na korytarzu — słowem, gdzie je-
no była sposobność i miejsce, byle nie na oczach
strażnika, przyczem starano się, aby operacja odby-
wała się względnie cicho.

Tłumienie odgłosów walki i rozdzielanie walczą-
cych w chwilach krytycznych, kiedy do drzwi zbli-
żał się strażnik, był to już święty obowiązek przyja-
ciół. W takich chwilach, sapiąc, plując i prychąc,
jak koty — rozlatywali się w różne kąty celi, skąd
obaraniałemi ślepiami oglądał jeden na drugiego
w milczeniu. Następnie szli obaj nad „paraszę“ i tu,
zgodnie, jeden drugiemu polewał wodę na łeb
w celu obmycia krwi, przyczem taką mniej więcej
prowadzili między sobą rozmowę:

— Zdaje się, że jutro wydadzą nam „wypisnę“.

— Wydadzą, albo nie wydadzą.

— A ty pisałeś do Grzegorza, aby on nam tro-
chę cukru przysłał?

— Pisałem, ale ty już go oblizywać nie bę-
dziesz.

— A to czemu?

— Bó do tej pory ja ci już wszystkie zęby
wybiję.

— Dobrze. pogadamy o tem przy myciu misek.

Przy końcu tygodnia biło się już pięć takich par. Epidemja bicia poczęła ogarniać całą celę, albowiem wszyscy już się między sobą kłócili i coś sobie przypominali. Pewien względny spokój panował w celi tylko wówczas, kiedy dwaj „obratnicy“ Iwan Iwanowicz i Jędrzej Czmiel rozpoczynali z sobą kłótnię, której z najwyższem zainteresowaniem przysłuchiwała się cała cela.

Iwan Iwanowicz był wzrostu wysokiego i tak gruby, iż prosto kompromitował całą katorgę, ale ponieważ w każdym więzieniu każdy Iwan Iwanowicz — „brodiaga“ i „obratnik“ — jest conajmniej starostą celi, więc i obecny Iwan Iwanowicz cieszył się wielką powagą i był autorytetem we wszystkich zawyłych sprawach, obchodzących ogół więźniów.

Iwan Iwanowicz znał wszystkie w Rosji więzienia, oraz wybitniejszych bandytów, zbójów i złodziei, ale skąd sam pochodził i za co siedział, to już i sam zapomniał.

Nazywał się Iwan Iwanowicz i tyle. A skąd, co i jak? — po co to komu wiedzieć? Z nim przecie mają tylko sprawę.

Ze syberji uciekał już trzy razy i miał niezłomne postanowienie uciekać jeszcze czwarty raz. Pozatem

Iwan Iwanowicz lubił mówić prawdę i słuchać prawdy.

— Prawda, to najwyższe dobro człowieka. Ale człowiek lubi kłamstwo, jak świnia pokrzywy, bo ona jej łaskocze gardziel. Wiele podobnych sentencji na temat prawdy wygłaszał Iwan Iwanowicz i dlatego z całej duszy nienawidził Jędrzeja Czmiela, który znowu łgał bez pamięci i zastanowienia. Na dobitkę Czmiel absolutnie nie posiadał talentu do łgarstwa!

Każde jego, choćby najmarniejsze łgarstwo było tak jakoś dziwnie wstrętne, jak wstrętny był jego wydłużony czerep przez analogję tylko nazywany głową i duża, wołowa twarz, zeszepecona ospą i pokierszowana nożami w różnych kierunkach.

Jużto, jeżeli życie jest rzeźbiarzem, to dłuto jego było dla Czmiela bezlitosne, niemal okrutne.

Otóż dopóki Czmiel opowiadał o „Warszawie“ i swoich złodziejsko-rozbójniczych wyprawach, Iwan Iwanowicz milczał; gdy jednak zaczął o Syberji, albo jak to się szalenie kochały w nim kobiety — Iwan Iwanowicz robił się czerwony i wybuchał:

— Łiesz. psie raby! Krowa by w tobie się nie kochała, a cóż dopiero kobieta!

Na to twarz Czmiela pokrywała się ciemnymi centkami i rozpoczynała się batalja.

Jednym tchem wyrzucali z siebie góry ohydnych przekleństw i straszliwych złorzeczeń. Przyczem Iwan Iwanowicz kłął po rosyjsku, a Czmiel jak popadło, nawet po żydowsku i po turecku. Te ostatnie zwłaszcza — detonowały trochę Iwana Iwanowicza. Milkł i przysłuchiwał się uważnie, a kiedy Czmiel dla braku tchu przestawał — pytał go zaraz:

— Po jakiemu ty mówisz, bo ja nic nie zrozumiałem? Więc Czmiel tłumaczył mu to wszystko akuratnie po rosyjsku, ale Iwan Iwanowicz nigdy nie wysłuchiwał do końca i zaczynał od siebie.

A kart wciąż nie było. Karciarze umierali z nudów i tęsknoty. Próbowali rzucać kości, grali w misternie wystrugane patyczki, ale to na nic. Bili się tedy z coraz większą zapalczywością i rozmyślali jakby się dostać do szpitala. Któregoś dnia chciał się nawet majdaniarz Orłowski powiesić. Ludzi ogarniała poprostu wścieklizna. Na szczęście zdarzył się wypadek, który na parę dni dał zajęcie ludziom i zwrócił na siebie uwagę nawet administracji.

Pewnego wieczoru znudzeni i źli jak szerszenie, kładli się spać — kiedy naraz Iwan Iwanowicz i Czmiel, siedząc już w bieliźnie na swoich kojках,

rozpoczęli — djabli wiedzą o co — nieoczekiwaną kłótnię i naraz — wśród najstraszniejszych przekleństw — odezwał się Czmiel spokojnie, niemal z tryumfem do Iwana Iwanowicza.

— Kiedyś taki mądry, to przewróć koszulę na wywrót, nie zdejmując jej z siebie

Zaskoczony tak niespodziewaną propozycją, Iwan Iwanowicz, urwał w połowie przekleństwo i zamilkł zdumiony.

— A, widzisz. jak ci rura zmiękła! — zawołał Czmiel.

— Powiadasz, nie zdejmując z siebie? rzekł na to Iwan Iwanowicz — zamyślając się.

— Tak, nie zdejmując z siebie, Rękawy możesz jeno z rąk zrzucić, ale koszuli nie. Na sobie ją wywróć.

— A ty wywrócisz?

— Ja wywrócę.

— „Ładno“ — rzekł Iwanowicz — obnażając swoje ogromne cielsko.

Wyciągnął ręce z rękawów, zwinął koszulę około szyi i trzymał ją tak zamyślony. Czmiel drwiąco się uśmiechał. Inni więźniowie z najwyższą ciekawością patrzyli na Iwana Iwanowicza.

W celi zapanowała uroczysta cisza.

— Nie — to niemożliwe — odezwał się naraz ktoś.

— Co niemożliwe?! Jak pragnę Boga, możliwie!
— przysięgał sie Czmiel.

— I powiadacie, aby tylko z siebie nie tego...

— Aby tylko z siebie nie zdejmować — odpowiadał, a pozatem możesz sobie wykręcać nią, jak ci się żywnie podoba.

— I ty wywracałeś? — ocknął się z zamyślenia Iwan Iwanowicz.

— Wywracałem. Jak pragnę wolności — wywracałem. Józek Trójnogi także wywracał.

— No, przekłeta twoja godzina! Całą noc będę siedział, ale jeżeli okaże się, że łżesz...

— Cobym miał łąać — odparł Czmiel — poczem ukląkł sam na swoim kojku, zebrał w ręce koszulę i — zapatrzył się na Iwana Iwanowicza. Tylko zdaje się, że już zapomniałem — szepnął.

— A na nogach można? — zapytał znowuż ktoś.

— Można. Na nogach, na brzuchu, na szyi, gdzie ci się podoba, byleś nie zdejmował z siebie.

Po chwili wszyscy, w całej celi siedzieli na swoich łózkach i w najrozmaitszy sposób przekręcali na sobie koszule.

Na drugi dzień wieczorem dyżurny strażnik, podszedszy do „judasza“ ze zdziwieniem zobaczył, iż wszyscy aresztanci w celi siedzieli nadzy na swoich

łózkach i coś robili z koszulami; ni to je wkładali na siebie, ni to zdejmowali — nie mógł wymiarkować co by to być mogło.

Ogłupiały, zajrzał do drugiej celi, i odskoczył od drzwi, tam *to samo; wolnym krokiem na palcach przydreptał do trzeciej — również.

Przetarł oczy, a przekonawszy się, że to nie sen, odchrząknął i wezwał ich następnie kilkakrotnie aby się kładli spać, ale to nie pomogło. Poszedł tedy do telefonu i zameldował pomocnikowi naczelnika, że na jego oddziale wszyscy aresztanci „pogotówno“ zwarjowali.

Na uczyniony alarm, zbiegła się cała więzienna władza.

Przyleciał pomocnik jeden, przyleciał drugi, zabrawszy ze sobą pięciu uzbrojonych strażników i felczerkę.

Wszyscy zdenerwowani do najwyższego stopnia, szepcząc do siebie, chodzili popod dzwiami, zaglądali kolejno do wszystkich cel, patrzyli, dziwili się, ale nic nie rozumieli.

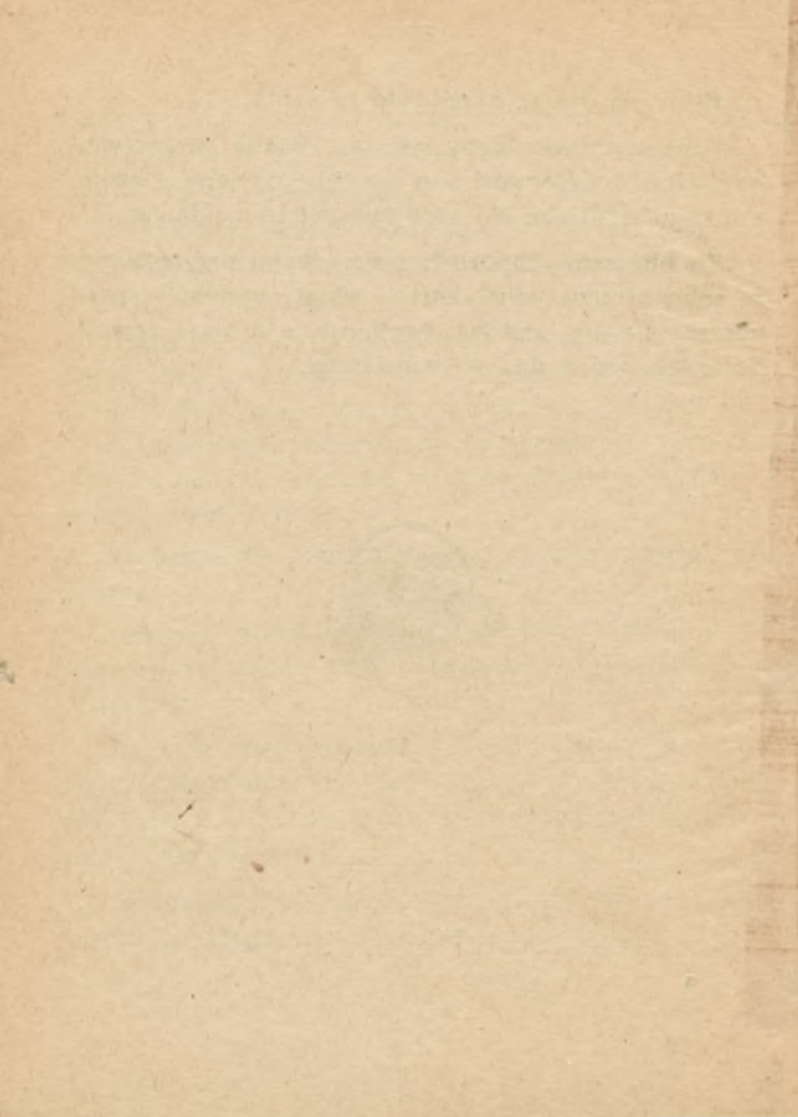
Wreszcie, po kilkakrotnem wezwaniu — pod groźbą ciężkiego karceru — rokazano więźniom kłaść się spać

Atoli na drugi dzień było to samo.

I nie wiadomo jakby się ta historia skończyła, gdyby nie przyprowadzono do celi nowego więźnia z innego oddziału. Na szczęście był to majdaniarz.

Po bliższem zapoznaniu się, wyjął przyniesione ze sobą aż trzy talje kart — objął „majdan“ i rozpoczęła się gra, szalona, namiętna, a z nią i dawny porządek wrócił do celi więziennej.





Nieudały zamach.

Czterech bojowców, idąc sobie drogą, podśpiewywało wesoło. Wokoło nich szumiały dojrzewające zboża, zieleniły się sady i ogrody, które oblewało złotą jasnością słońce, staczające się ku zachodowi.

Wesoło radośnie było na bożym świecie i wesoło, beztroskliwie biły serca bojowców.

Posuwali się wolniutko — mieli bowiem czas i darli się w niebogłosy, jakby ich kto ogniem przypiekał.

Nagle ucichli. Z tyłu za sobą posłyszeli również okropne śpiewanie, muzykę i wściekle pokrzykiwania.

— Wesele jedzie — oznajmił Walek, przysłuchawszy się lepiej.

— Jakoż wkrótce nagonili ich trzy furmanki weselników. Kiedy zaś muzyka urzęnęła oberka tuż nad uchem Walekowi — nie wytrzymał. Kopnął ziemię nogą i puścił się w tany. Weselnikom okropnie się to podobało.

— Wiwat! Hoła! Wsiadajta z nami!

Bojowcom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wsiedli — pojechali.

Huczne, przechuczne było to wesele!

„Od kulika, do kulika

Stoi karczma, rznie muzyka“!

— Niech żyje rewolucja! Precz z caratem! — śpiewał i pokrzykiwał Walek wodząc rej tańcami.

— Zbawienie w rewolucji — mówił Kuba, siedząc za stołem otoczony chłopami. Jeśli chcecie Polskę mieć i sprawiedliwość mieć, to — kosy na sztorc i za mną. Pójdziecie tam, gdzie ja każe!

— Pójdziemy, panie Kubo, bracie kochany — pójdziemy i co nie przykażecie — zrobimy! A jakże.

— Każecie na Moskali — dobrze, każecie na panów i księży — wyrzniemy!

— Dlaczego nie! Jeno wypijcie jeszcze ten kielunio gorzałczyny.

— Za zdrowie i za szczęście.

— Co? Ten kielunio! Nie. Świat i tak już szańbiony, bo pijany.

Było już dobrze pod południe, kiedy śpiącego Kubę przejął nagle niepojęty, śmiertelny lęk. Obu-

dził się i posłyszał czyjeś szybkie stąpanie po ślocie i cichy szept.

— „Dawaj skarej — taka twoja mać — wiewoku“!

W jednym okamgnieniu Kuba wytrzeźwiał. Cichutko wy dobył browning i, leżąc dał dwukrotnie po dwa — szybko jak myśl następujące po sobie strzały. Tak strzelać nauczył go Franek Gibalski.

Chciał się Kuba zerwać, lecz w tej chwili zagruchowały strzały za stołogą i kule ze wściekłym pisaniem posypały się w deski tuż nad głogą Kuby. Do stodoły wpadł chudy, wysoki strażnik — ryknął z przerażenia i padł na klepisko. Kuba spokojnie zakładał do rewolweru świeży magazyn.

Z kartoflanej naci wynurzyli się teraz Walek i Sokół. Weszli do stodoły obejrzelili trupy strażników i po chwili, nie mówiąc do siebie ani słowa, śpiesznie wszyscy czterej wyszli na drogę.

Gnali już tak z półtorej godziny. W pewnej chwili spojrział Kuba na zegarek i rzekł znękanym głosem:

— Spóźnimy się.

Na to Walek i Sokół puścili się w kłus, a za nimi pobiegł Kuba i Jasion. Pozdejmowali czapki

i kurtki, porozpinali koszule. Od słońca spływał nieznośny żar — duszność tamowała im oddech w gardle, a po ciele spływały strugi potu.

— O Boże, Boże — jęczał Jasion — trzeba nam było wziąć konie u chłopów.

— Konie — rzekł Kuba, który już dawno o tym myślał.

— Konie. A może na wesele pójdziesz jeden z drugim — bydlaki?

— A ty, niby gdzieś był?

— Słuchaj — lepiej się do mnie nie odzywaj. I biegli dalej — milcząc, ale już coraz wolniej.

— Kto ma zapalę od bomb — zagadał znowuż Kuba.

— Ja — odparł Walek.

— A niech to wszyscy djabli... Nawet gdyby chcieli sami robić, to nie mają zapalów.

— Która godzina? — zapytał Jasion.

— Wpół do czwartej. Na nic już, na nic. Hanba! Ja już nie mogę.

— Rozpękna mi się chyba piersi.

Naraz Sokół począł się rozbierać.

Zrzucił koszulę, buty i spodnie. Porwał potem od Walka pudełko z zapalnikami i popędził naprzód. Pozostali trzej podyrdali za nim. Oczy ich utkwione w Sokoła zda się popychały go i nagliły. Wkrótce Sokół zbiegł za górę i znikł im z oczu.

— Dobiegnie, dobiegnie!

Nadzieja wstąpiła w serca. Poskoczyli i oni różnie, bo oto na widnokręgu z pośród zieloności — zaczęły się wyłaniać czerwone budynki stacyjne.

— Ho! ho! — krzyknął Jasion i ruszył jak to mówią z kopyta. Naraz stanął i zapatrzył się gdzieś w sinę dal.

— Pociąg — wyszeptał z przerażeniem. Stanęli teraz Kuba i Walek i patrzyli w oniemiaaniu jak przez zielono-złociste pola sunął niby wąż szybko czarny ólbrzymi potwór. Na chwilę zatrzymał się przed stacją, poczym, buchając kłębamii dymu — jakby się zgniewał, że musiał stanąć — pomknął dalej, aż wreszcie znikł za lasem.

Oczy bojowców wyrażały rozpacz. Milcząc — zaczęły iść znowu ale już bardzo wolno, tymbardziej, że Walkowi buchnęła krew ustami. Wzięli go więc pod ręce i prowadzili aż do miejsca, gdzie leżał Sokół brudny, zakurzony i śmiertelnie znużony.

Odpocząwszy z godzinę — powlekli się ku stacji. Tu zdala od budynku zobaczyli instruktora, który miał powierzone kierownictwo tą robotą. Spacerował w cieniu drzew i nerwowo gryzł munsztuk od papierosa. A zobaczywszy ich rzucił się z taką furją, jakby go milion djabłów obstało.

— Ja was... To w tę porę! Oby was pioruny wystrzelały! Gdzie zapaly? Cały sztab przyjechał! Generałowie!

— Tfu na taką robotę! — odwrócił się i poszedł. Zdaje się, że po to tu tylko czekał.

Strapieni srodze bojowcy — poszli nad rzekę, aby się wykąpać.

— A teraz zjedzmy co — mówił Sokół już po kąpieli — a potem będziemy rozpaczali. Ponieważ nikt się nie odezwał, więc żując ogromny kawał chleba, mówił dalej:

— Ja tam wcale ani tego sztabu, ani generałów nie żałuję. Możemy ich natrzaskać jak śledzi, rozumie się, nie wybierając. Ale nasz sztab chce, żeby przymyt był zaraz efekt i żeby wybierać winnych. A jabym chciał — aby oni mi pokazali, który z nich jest niewinny. Wszyscy są godni kuli bojowca! Tylko u nas zadużo jest agitatorów. Taki z przeproszeniem agi-

tator gotów sobie ręce i nogi poucinać — siedem razy dać się powiesić — byle wiedział, że to robi efekt i zaagituje tak zwane masy. Wstrętny naród.

Hańba! — rzekł Kuba, myśląc o nieudanym zamachu.

— Ma się rozumieć, że hańba — prawil Sokół — jabym sobie w łeb strzelił, gdyby mi kazali zostać agitatore.

— Co ty partolisz! — zawołał Kuba. — Gdzieżeś ty się takiego rozumu nauczył?

— I pomyśleć tylko, cały sztab! — lamentował Walek. — Eh! jeśli jeszcze zobacę kiedy jakie wesele albo muzykę — to wprost będę w to tałałajstwo strzelał.

— Hańba! — rzekł po raz drugi Kuba.

— Wszystko mi jedno — odparł Walek — już i tak jestem shańbiony przez to opóźnienie.

Obmyśliwszy następnie powrotną drogę, bo tą co przyszli wracać już nie mogli — wstali i poszli, martwiąc się przy tej okazji oprócz Sokoła, który jak żyje nigdy się nie martwił, nie rozpaczał i nie żałował. Późnym wieczorem stanęli w jakimś miasteczku.

— Żeby tu gdzie jakie strażniki albo co... — rzekł Walek.

— Rozbijmy ten „monopol“, to może na alarm wyjdą — doradzał Sokół.

Koniecznienie chcieli wywołać jakąś awanturę. Kuba dlatego, iż miał nadzieję, że zginie, zaś inni, że im to ulży w ciężkim strapieniu.

Ponieważ „monopol“ był już od frontu zamknięty, więc obeszli z tyłu i zaczęli walić we drzwi.

— Ale ja nie mogę otworzyć; ja nie wiem czego panowie chcecie — mówił głos za drzwiami.

— Słyszałeś ty coś podobnego? — zawołał Sokół. Ona nie wie, czego my chcemy! Podkładaj, Jasion, dynamit! (a dynamitu wcale nie mieli).

— Boże miłosierny! — zapiszczał głos.

— Zaraz, zaraz.

— A na drugi raz, to się pani nie pytaj kto i co, ale jak powiedzą, że bojowcy z P. P. S. to znaczy się, że na gwałt trzeba otwierać!

Kropnął Sokół mowę do wylęknionej niewiasty.

— Boże mój — co to będzie — co to będzie?

— Nic nie będzie. Uspokój się pani, mitygował ją Kuba. Proszę o książkę kasową i pieniądze utargowane za wódkę.

Dała.

— Czy tu są może i pani pieniądze, czy tylko rządowe.

— Tylko rządowe.

— „Skonfiskowano na rzecz P. P. S. — zapisywał Kuba w książce kasowej — dwa tysiące pięćset rubli 75 kop.“.

— Brać te kopiejki, czy nie?

— Ma się wiedzieć, że brać! — zawołał Sokół waląc kołkiem w uszeregowane butelki na półkach

— Ponieważ nie mamy pieczęci, więc chyba się podpisać? — zapytał znowuż Kuba. Podpisz mnie — rzekł Sokół, stawiając mokry kołek w kącie, ale Kuba podpisał siebie.

— Ot — zwrócił się Kuba do sklepowej — ma pani tu pokwitowanie, wszystko jak się należy i w porządku. Niech się pani teraz kładzie i śpi spokojnie — dobranoc!

— A czy mnie za to nic nie będzie?

— Niech Bóg bronii! A w razie czego niech się pani zwróci do nas, do organizacji.

— Dziękuję. Dobranoc panom.

— Dobronoc. Grzeczna jakaś niewiasta i pewnie wdowa — zauważył Jasion, przyczym westchnienie uniosło mu piersi.

Noc była widna, księżycowa.

O jakimś czasie weszli bojowcy do napotkanej wsi i zdala już zobaczyli „monopol“.

— Cóż, rozbijem go chyba — zdecydował z re. zygnać Walek.

Rozbili i poszli dalej. Jasion czas jakiś wzdychał idący, aż wreszcie rzekł:

— Ale ta kobieta, osobliwie w tej koszuli była jeszcze piękniejsza od tamtej. Prawdopodobnie też wdowa.

— Ani strażnika, ani kozaków, ani żadnej rzeczy, która jego jest — z pewnym żalem w głosie dziwował się Kuba.

Była już prawie trzecia po północy, kiedy rozbili piąty „monopol“ i skierowali się do gminnej kancelarji.

— Trzeba zabrać trochę paszportów — postanowił Kuba.

Atoli pisarz za żadne skarby nie chciał im otworzyć. Owszem, zabarykadował drzwi — żonę i dzieci powciągał na strych, a sam umieściwszy się z du beltówką w „dymniku“ z tej wysokości konferował z bojowcami i uspakajał rozlamentowaną swoją rodzinę.

— Słuchaj pan, — mówił do niego Sokół. Mnie się tylko nie chce, bo całą tę rudę wysadził bym w powietrze razem z pańską żoną i dziećmi.

— Dobrze. Wysadzaj pan, — odpowiedział pisarz. Módlcie się do Boga — żono i dzieci.

— Ręczę panu słowem honoru, — przemawiał Kuba — że nic się panu nie stanie. Ani żonie i dzieciom. Jesteśmy bojowcy. Musimy i zabierzemy tylko z gminy blankiety paszportowe i pójdziemy. Żadna odpowiedzialność za to na pana nie spadnie. Zostawimy pokwitowanie. Jesteśmy bojowcy. Otwórz więc pan po dobrej woli.

— A djabli mi tam do tego, kto wy jesteście. A paszporty są rządowe, a klucz jest u wójta.

— Więc nie otworzysz pan?

— Nie.

— Cholera dopiero — zaklął Sokół. Zaraz ja cię z tej górki sprowadzę.

— Módlcie się żono i dzieci — zawołał pisarz. — Nie złaż, szczeniaku! Jabym ci otworzył!

Odnosiło się to prawdopodobnie do najstarszego syna.

— Dzielny to jednak człowiek, ten pisarz — rzekł Kuba, kiedy wreszcie jakimś drągiem wywalili wchodowe drzwi.

— Djabli teraz wiedzą gdzie one paszporty są zastanawiał się głośno Sokół — kopnięciem nogi otwierając szafy.

Tymczasem z sąsiedniej chałupy wyszedł sobie chłopowina w bieliźnie, poszedł za stodołę — przykucnął i zapatrzył się na księżyc.

— Nic innego tylko nas, gałgan podpatruje — pomyślał Jasion, który został na zewnątrz domu na warcie, przyłożył tedy mauzer do ramienia i strzelił.

Okropny huk wśród nocy stokrotnym ehem odezwał się we wsi. Chłop skoczył w górę jak opętany. Chwycił następnie mocno portki w garść i jak szalony popędził do wsi. Zbudzone psy ujrawszy na drodze lecącą jak kula białą figurę — poczęły wyc przeraźliwie.

Zbudziła się wieś. Rozniósł się szeroko zgiełk, wrzawa i rozpaczliwe krzyki, jakby ich tam conaj-

mniej w pień wyrzynano i wkrótce przed gminą sta-
nęło kilkunastu chłopów uzbrojonych w cepy, drąg
i widły. Bojowcy otoczyli ich półkolem i kazali tę
różnolitą broń wrzucić do rowu, co chłopci, widząc
w rękach bojowców złowrogo połyskujące karabinki
— wykonali bez oporu. Wtedy Sokół zaprowadził
ich do kancelarji.

— A niema czasem między wami wójta? — za-
pytał zbaraniałych chłopów, zamykając ich w małym
pokoiku.

— Nie wydawać wójta! — wrzasnął pisarz ze stry-
chu. Chciał tam już do niego Sokół wleźć, ale nie-
było czasu, bo nowa partja chłopów nadlatywała na
odsiecz. Tak samo i tych rozbrojono.

— Wójta między wami niema? — pytał Sokół.

— Niema.

Tymczasem coraz to nowi chłopci biegli z kłoni-
cami, a Sokół precz wsadzał ich do tego samego
pokoiku, chociaż formalnie już się tam dusili.

Wreszcie zaczęli protestować.

— O lo Boga! Panie! Tu już ciasno, niema gdzie!

— Pchaj się dalej! — wołał Sokół — siarczyście
przejęty tą swoją czynnością.

— No i kaź się będę pchał — zmiłujcie się ludzie. Cofcie się Michale, ano ździebko dalej.

— No i macie wy rozum! Gdzież się cofne! Gdzie! Zaczęli się chłopi między sobą kłócić.

— Nie puszcząć tam więcej nikogo! — wołali inni od okna.

— Już i tak zaśparowani jesteśwa jak śledzie!

— Wójt między wami jest?

— Niema.

— Pchaj się dale! — wrzasnął na to Sokół, Co, na korytarzu będę was trzymał!

— O lo Boga, ludzie miłosierne, bo mnie zadusita! Kaj się pchasz! Oj! Jest pan wójt, jest!

— Nie wydawać wójta! — wrzasnął znowu ze strychu pisarz.

— Słyszeliśta! — zawołali niektórzy chłopi. — Pisarz mówi, coby wójta nie wydawać!

— Hale, mądry jucha. Co tam będzietalapserdaka słuchać! Jest, panie, wójt.

— Gdzie jest?

— Pod łóżkiem siedzi.

— Dawać go tutaj.

Wyciągnęli chłopci zmiętoszonego wójta z pod łóżka za nogi i kułakami wypychali go czempredzej za drzwi.

— A dy przedzej wynoście się, bo jedzie cosik od was jak od zapowietrzonego.

— Choroba dopiero — mówił Sokół zaciskając nos palcami.

— Chodź jeno Kuba i przemów coś do chłopów.

— Słuchajcie ludzie — przemówił Kuba. W kasie są blankiety paszportowe, które my zabierzemy, ale tam są również i wasze pieniądze, ale nie bójcie się. My zabierzemy tylko pieniądze rządowe — dajcie więc sześciu chłopu na świadków, aby was potem nie oszukano.

Zabrali tedy bojowcy co im było potrzeba. potłukli na ostatku carskie portrety i poszli.

Byli już jednak bardzo zmęczeni i spracowani. Z użyczyli tedy jakiegoś chłopu, po drodze, kazali mu zaprząd konie do wozu i pojechali.

Sokół, skoro tylko znalazł się na wozie, momentalnie zasnął. Jasion wdychał i opowiadał Walkowi, jak wdzięcznie wyglądała sklepowa z tego drugiego „monopolu“, która według wszelkiego prawdopodobieństwa musi być wdową — a Kuba, wciąż smutny — powtarzał. Hańba, hańba. Nie wypełniliśmy swego obowiązku, zamach się nie udał. 2

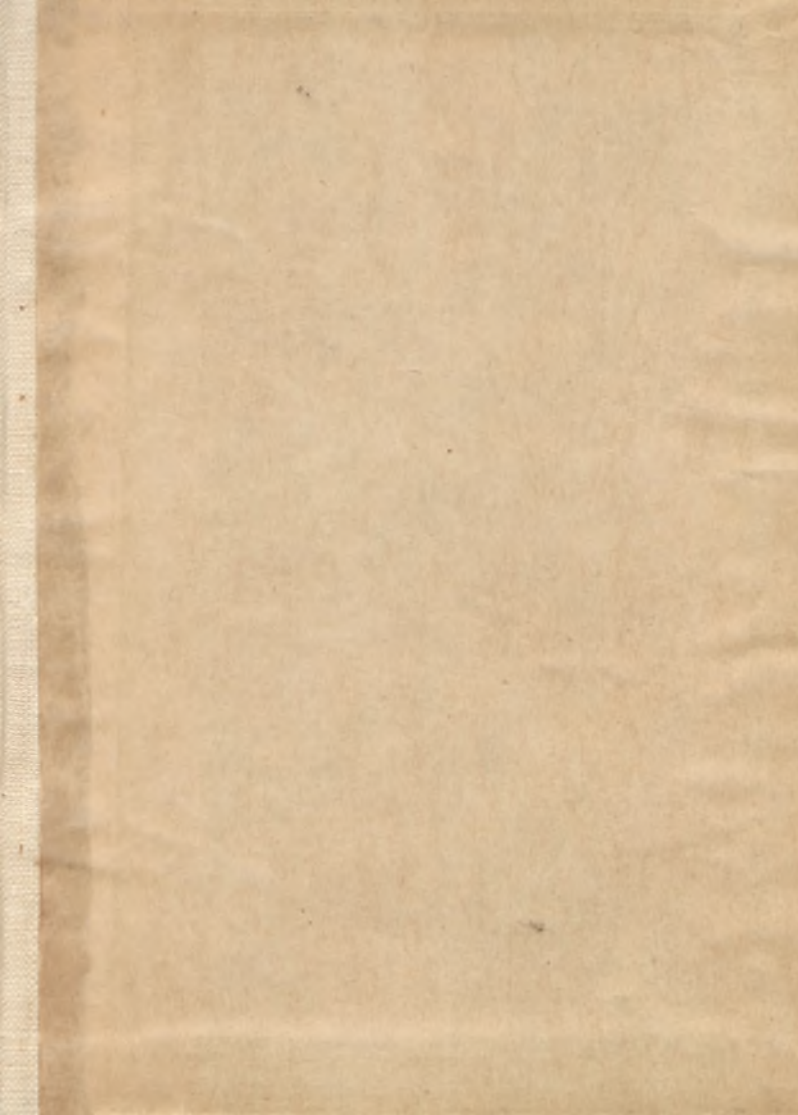


Spis rzeczy.

THIS LIBRARY

- I Wstęp. napisany przez Z. K.
- II Ostatnia deska ratunku.
- III Między młotem a kowadłem.
- IV Monopol w Promniku.
- V Czaty.
- VI Dwa śluby.
- VII Polityk.
- VIII Korespondencja.
- IX Jak Ojciec Ryczek chciał „robić“ żandarma.
- X Woś.
- XI Mogiłka siostry.
- XII Suczy kątek.
- XIII W studni.
- XIV Majdan.
- XV Nieudały zamach.





WYŻSZA SZKOŁA NAUCZYCIELSKA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

43271

Biblioteka WSP Kielce



0194157